

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA SKAŁY
ROZBITKÓW**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożył: JAN JACKOWICZ)

SŁOWO OD ALFREDA HITCHCOCKA

Witajcie, miłośnicy tajemniczych zagadek! Czekają was kolejne spotkanie z najnowszymi wyczynami zadziwiających Trzech Detektywów. Tym razem niez mordowani młodzi wywiadowcy pogrążają się po uszy w skomplikowanej aferze, najzupełniej niewinnie fotografując uczestników rodzinnego zlotu. Tego rodzaju spotkania dają zwykle okazję do wesołej zabawy, w tym przypadku jednak pojawiają się również tajemnicze groźby, straszące po nocach duchy i wilcze wycia, a także ludzie, którzy nie życzą sobie, aby robić im zdjęcia!

Jeżeli nigdy dotąd nie spotkaliście się z młodymi detektywami, pozwolę sobie przedstawić ich wam w paru słowach. Przywódcą zgranej trójki jest trochę zbyt... krępy Jupiter Jones, czyli po prostu Jupe (jak nazywają go jego koledzy), znany ze względu na godną uwagi inteligencję i bystrość umysłu. Drugim Detektywem jest Pete Crenshaw, wysoki, doskonale umięśniony i rozwinięty fizycznie chłopak, który jednak robi się dziwnie nerwowy na widok byle zjawy czy ducha. Trzecim, ale bynajmniej nie ostatnim członkiem grupy jest Bob Andrews, szczupły, delikatny, lubiący się uczyć chłopiec, który odznacza się też poczuciem humoru i zdolnościami badawczymi.

Wszyscy mieszkają w Rocky Beach, kalifornijskim miasteczku leżącym na wybrzeżu Pacyfiku niezbyt daleko od Hollywoodu. Ich Kwatera Główna mieści się w mieszkalnej przyczepie, sprytnie przez nich ukrytej w składnicy złomu Jonesów. To jedyne w swoim rodzaju złomowisko należy do cioci i wuja Jupitera, którzy są jego opiekunami.

Ta garść informacji powinna wam na razie wystarczyć. Czas na przygodę, która czeka na Skale Rozbitków!

Alfred Hitchcock

ROZDZIAŁ 1

BITWA MORSKA

Naprzeciwko ogromnej skały, wznoszącej się wysoko u zachodniego cypla małej wysepki, kołysała się na długiej, oceanicznej fali nieduża łódź z zaburtowym silnikiem.

- Wygląda prawie jak Skała Gibraltarska - powiedział Bob Andrews.

- Może i tak - odpowiedział Jupiter Jones, mierząc urwisko okiem znawcy. - Ale nie wydaje ci się, że jest odrobinę mniejsza?

- Pewno z tysiąc razy - wtrącił z uśmiechem Pete Crenshaw. - Gdyby postawić ją obok tamtej Skały, wyglądałaby jak kamyk!

Trzej członkowie młodzieżowej agencji wywiadowczej, znanej jako "Trzej Detektywi", zabawiali się tego dnia łowieniem ryb na morzu, o jakieś dziesięć mil na południe od kalifornijskiego miasteczka Rocky Beach. Wciśnięty we fluoryzującą kamizelkę ratunkową Jupiter przypominał pulchną kielbaskę z telewizyjnej reklamy. Trzeba bowiem przyznać, że sylwetka Pierwszego Detektywa, obdarzonego świetnym analitycznym umysłem, nie kojarzyła się z osobnikiem szczególnie wysportowanym. Był nim za to wysoki, doskonale umięśniony Drugi Detektyw, czyli Pete. Przystrojony w taką samą kamizelkę wyglądał w niej niczym żywa reklama sportowego ekwipunku. Trzeci z młodych detektywów, Bob, którego domeną działania była dokumentacja i analizy, zatopił właśnie wzrok w wodzie, tak jakby miał nadzieję, że uporczywe wpatrywanie się w głębiny przyciągnie ławicę wspaniałych ryb.

Chłopcy wybrali się na cętkowane kalifornijskie okonie, żerujące w pobliżu bujnych wodorostów, starając się przyciągnąć ich uwagę za pomocą żywych sardynek, przymocowanych do lekko obciążonych wędek. Jak dotąd jednak ich wysiłki nie znalazły prawie żadnego uznania u morskich drapieżników. W plastikowym wiaderku z wodą pływały leniwie zaledwie trzy średniej wielkości okoniki.

- Mówiłem wam, że lepiej by nam poszło na płyciźnie koło Genoa Reef - poskarżył się Pete, kręcąc kołowrotkiem z zamiarem założenia na haczyk nowej przynęty. - Powiedz, Bob, co właściwie miał na myśli twój stary, prosząc nas o zrobienie paru zdjęć w tej okolicy?

Ojciec Boba pracował jako reporter w jednej z wychodzących w Los Angeles popołudniówek.

- Nie powiedział mi nic konkretnego - odparł Bob, zajęty wolniutkim wypuszczaniem linki, szarpniętej dopiero co przez jakąś rybę. - Wspomniał tylko, żebyśmy wybrali się we

wtorek na okonie w pobliże Skały Ragnarsona i wzięli ze sobą mój aparat. Obiecał zapłacić za dobre zdjęcia, ale nie sprecyzował, czego. Kiedy zapytałem go o to, roześmiał się tylko i stwierdził, że domyślimy się sami, co to ma być, jak tylko to zobaczymy.

- Co do mnie, to najbardziej interesuje mnie honorarium - oświadczył Jupiter. - Finanse "Trzech Detektywów" znajdują się w opłakanym stanie. Jeżeli w najbliższym czasie nie odnowimy naszych rezerw, będziemy musieli harować u cioci Matyldy.

- Och, tylko nie to - jęknął Pete.

Smętna perspektywa roboty, wyznaczonej przez ciotkę Jupitera na terenie Składu Żłomu Jonesów sprawiła, że wszyscy trzej wzdrygnęli się. Trwały właśnie letnie wakacje, tradycyjnie już uważane przez groźną ciotkę Matyldę za wspaniałą okazję do wykonania różnych prac na podwórzu i wokół niego. Zgrana detektywistyczna paczka postanowiła jednak nie poddawać się i w inny sposób zarobić parę dolców. Dlatego właśnie w takim napięciu starali się wywabić nieuchwytnie okonie z ich bezpiecznego schronienia pośród wodorostów. Gdyby udało im się złowić choć kilkanaście sztuk, otrzymaliby za nie tak im potrzebne kieszonkowe. Niewdzięczne ryby nie okazywały jednak żadnego zrozumienia dla finansowych kłopotów chłopców. Znużony Pete ziewnął i rozejrzał się bystro po otaczającej ich błękitnej toni. W jego oczach pojawił się nagły błysk.

- Ej, chłopaki! - wykrzyknął podnieconym głosem, wskazując ręką w kierunku rozciągającej się w pobliżu wyspy.

Zza jej wschodniego cypla wypływała właśnie niska i długa łódź o kształtach, jakie tego rodzaju jednostkom nadawali niegdyś Wikingowie. W wiszących wzdłuż obu burt tarczach odbijały się promienie popołudniowego słońca. Mknący żwawo stateczek rozcinał fale ostrym dziobem, zakończonym rzeźbioną w drewnie głową bajecznego smoka, w którego rozwartej szeroko paszczy groźnie połyskiwały ostre zęby. Łódź wypełniali brodaci wojownicy o dzikim wyglądem, przystrojeni w hełmy z rogami i grube, futrzane kaftany; potrząsali w powietrzu mieczami i bojowymi toporami. Na maszcie i wysoko uniesionej rufie powiewały flagi, zaś z gardeł wojowników dobywały się chrapliwe, wojenne okrzyki.

- Tak! - powiedział Jupiter. - To na pewno to!

- Tata powiedział mi, że kupi wszystkie zdjęcia, jakie uda się nam zrobić - stwierdził Bob, wyciągając aparat fotograficzny.

Statek Wikingów niezmordowanie parł do przodu. Kiedy znalazł się całkiem blisko, chłopcy zobaczyli, że w rzeczywistości jest to duża łódź z zaburtowym motorem, której pokład i burty zostały zabudowane na wzór dawnych skandynawskich statków. Płynęło nią

nie więcej niż sześciu czy siedmiu “wojowników”, których brody były sztuczne, a miecze wykonane z drewna i pomalowane. Mijając chłopców, mężczyźni pomachali im swą drewnianą bronią, wykrzykując coś ze śmiechem. W chwilę potem ich łódź wpłynęła do małej zatoczki.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zamyślił się głośno Pete.

- Nie mam pojęcia - odparł Bob - ale zrobiłem parę fajnych zdjęć tym przebierańcom.

- Coś mi się wydaje... - zaczął Jupiter, ale w tej samej chwili urwał w pół słowa. Zza wschodniego cypla wyspy wyłoniła się druga zwawo mknąca łódź.

- Co to za dziwoląg? - zdziwił się Pete.

Tym razem łódź była długa i o niskich burtach. Przypominała po trosze wiosłową szalupę, a po trosze indiańskie canoe. Jej kadłub zbudowany był z szerokich listew, dziób i rufa uniesione w górę. Niezwykły stateczek mknął poruszany siłą sześciu unoszących się równo wiosł, trzymany przez sześciu pokrzykujących “Indian”, przystrojonych w barwne pióropusze, brody i spodnie z kozłej skóry.

- To z pewnością zbijane z desek canoe Czumaszów - stwierdził Jupiter. - Było takie indiańskie plemię żyjące w tych stronach. Niedaleko Santa Barbara mieli wielką osadę, w której znaleziono resztki ich canoe. Najwidoczniej wypływali w nich na dłuższe wyprawy, żeby łowić wieloryby i foki. Odznaczali się bardzo pokojowym charakterem, a niektórzy z nich mieszkali tu, na przybrzeżnych wyspach.

- Daj spokój, Jupe. Nie musisz nam robić historycznego wykładu - zaprotestował Pete.

- Pamiętam ich z “Tajemnicy śmiejącego się cienia”.

Pete miał na myśli jedno z prowadzonych wcześniej przez chłopców dochodzeń, w którym pewną rolę odegrało miejscowe plemię Czumaszów.

- Ale nie wiedziałem o tym, że mieszkali oni właśnie tu, na Skale Ragnarsona.

Jupe pokręcił przecząco głową.

- Nie, Pete, nie myślałem o tej wysepce - powiedział. - Oni zajmowali większe wyspy, trochę bardziej na północ.

- Co za różnica, gdzie oni mieszkali!- wykrzyknął Bob. - Postarajcie się lepiej unieruchomić łódkę, żebym mógł jeszcze trochę popstrykać.

Aparat specjalisty od dokumentacji i analiz wycelowany był w canoe i wydających wojenne okrzyki Indian, którzy mknęli, potrząsając włóczniami w stronę tej samej zatoczki, w której przed chwilą wylądowali Wikingowie. Dobiwszy do brzegu, Indianie natychmiast rzucili się do pozorowanej bitwy z Wikingami, której stawką było zapewne panowanie nad Skałą Ragnarsona. Zatrzepotały chorągiewki, uderzyły o siebie miecze i wojenne topory.

Zakołysały się pióropusze i w kierunku kryjących się za tarczami Wikingów poszybowały indiańskie włócznie. Każdy z wojowników miał wetknięty za pas kawałek płótna, Indianie - płótno czerwone. Wikingowie - białe. Każdy z walczących starał się wyrwać przeciwnikowi tę jego "flagę", a potem rzucał się pędem w kierunku górującego nad wyspą urwiska.

Przyglądający się ze swej łódki trzej chłopcy ze śmiechem zachęcali zmagających się na brzegu przeciwników: Pete i Bob kibicowali Indianom, Jupiter ponaglał Wikingów. Kiedy bitwa przeniosła się w pobliże wielkiej skały na zachodnim cyplu. Bob założył do aparatu nową rolkę.

- Chłopaki, podpłyńcie trochę bliżej wyspy! Jeżeli uda się nam złapać w obiektyw całą bitwę, gazeta potraktuje zdjęcia jako wielką osobliwość i tata kupi ich więcej.

- Doskonały pomysł - zgodził się Jupiter.

W chwilę potem zawarczał motor. Pete chwycił za ster i skierował łódkę do wejścia do zatoczki. Bob strzelał teraz jedno zdjęcie za drugim aż do końca bitwy, zakończonej zwycięstwem Wikingów, którzy wdrapali się na sam czubek skały, dzierżąc w dłoniach wszystkie czerwone flagi. Stanąwszy na szczycie, zaczęli wymachiwać nimi, a także powiewać własnymi, białymi proporczykami. Na wyspie zapanowała ogólna wesołość, zaś niedawni wrogowie gratulowali sobie nawzajem walecznej postawy.

Bob opuścił aparat. Siedzący w łódce chłopcy zaczęli ze śmiechem komentować obejrzaną dopiero co zabawną scenę na wyspie. Ich wesołe głosy zamilkły nagle, kiedy Jupiter przypadkiem obejrzał się za siebie.

- Pete! Bob!

Tuż obok kołysała się, dotykając niemal burty ich łódki, jeszcze jedna łódź!

ROZDZIAŁ 2

PUSTA ŁÓDKA

Mała motorówka sunęła powolutku prosto na nich, a w końcu uderzyła lekko o burtę ich łódki, podskoczyła na falującej łagodnie wodzie zatoki i jeszcze raz dotknęła ich łodzi.

- Ona dryfuje z prądem - powiedział Pete. - Motor jest wyłączony.

- I nikogo w niej nie ma! - zawołał Bob. - Popatrzcie, ciągnie się za nią w wodzie jakaś cuma czy linka kotwiczna. Musiała po prostu skądś się urwać.

Pete przyciągnął do siebie i obejrzał poszarpany koniec linki.

- Na pewno nie została odcięta. Wygląda tak, jakby się przetała o coś, kiedy kotwica była na dnie. Może o jakąś skałkę albo o betonowe nabrzeże, lub coś w tym rodzaju.

Jupiter w milczeniu przepatrywał swym bystrym wzrokiem wnętrze pustej łodzi. Nagle wyciągnął rękę w kierunku nadburcia na wysokości środkowej ławki.

- Popatrzcie, chłopaki. Na tę dulkę i koło ławki!

Jego dwaj koledzy przyjrzeni się z uwagą ciemnej plamie, widocznej na szarej, metalowej dulce na wiosła, i tuż obok, na krawędzi burty. W popołudniowym słońcu plamy przypominały rozmazaną, ciemnoczerwoną, niemal czarną farbę.

- Tto wygląda jjak... - zająknął się Pete drżącym z przejęcia głosem.

- Krew! - dokończył za niego Bob.

- Tak - kiwnął głową Jupiter. - Tak, jakby ktoś się skaleczył, albo... - krępy szef detektywistycznej paczki zawiesił z wahaniem głos i powiódł wzrokiem po twarzach kolegów - ...albo może przewrócił się i rozbił sobie o tę dulkę głowę.

Pete przyciągnął pustą łódź tak, że stanęła burta w burtę z ich własną. Wszyscy trzej z zainteresowaniem zaczęli oglądać jej wnętrze. Zobaczyli przymocowaną do dna w pobliżu środkowej ławki skrzynkę na osprzęt, wiadro wody z pływającą w niej grubą warstwą zdechłych sardynek, otwarty pojemnik na lunch, w którym widać było kilka nie zjedzonych kanapek i jabłko, wreszcie dużych rozmiarów kamizelkę ratunkową takiego samego rodzaju jak te, które chłopcy mieli na sobie.

- Jest wszystko - powiedział w namyśle Jupiter - oprócz wędk i kołowrotka.

- Jupe? - odezwał się niepewnie Bob. - Tam, pod ławką... Widzisz to? Czy to kapelusz?

Pete jedną ręką mocniej przyciągnął dryfującą łódkę, drugą zaś sięgnął pod jej środkową ławkę. W chwilę potem wydobył stamtąd podobną do kaptura rybacką czapę z

obwisłymi brzegami, z rozdarciem z jednej strony. Widać było na niej kilka plam, takich samych, jak na nadburciu.

- Wygląda na to, chłopaki - zabrzmiał poważny głos Jupitera - że ktoś porządnie oberwał w tej łódce. Nasuwa się pytanie: gdzie ona się znajdowała w chwili, gdy wydarzył się ten wypadek?

- Co chcesz przez to powiedzieć, szefie? - nachmurzył się Pete.

- Jakie znaczenie może mieć to, gdzie ona wtedy była?

- Jupe zastanawia się, czy ta łódź znajdowała się w tym momencie gdzieś na pełnym morzu, czy też stała przycumowana do brzegu - odezwał się Bob. - To rzeczywiście sprawa o kapitalnym znaczeniu.

- No i czy ten amator ryb był w niej wtedy sam - dodał po chwili Jupiter. - Chodzi mi o to, czy podpłynęła do niego jakaś inna łódź, aby zabrać go na ląd dla udzielenia mu pomocy, pozostawiając jego łódkę dryfującą bez opieki po oceanie? Czy też może jej właściciel po prostu... wypadł za burtę?

Pete i Bob wymienili trwożliwe spojrzenia.

- Albo też - podjął Jupiter - w tej łódce był prócz niego jeszcze ktoś inny?

Pete zbladł.

- Myślisz, że ten człowiek mógł zostać zamordowany?

- Nie wyciągajmy tak prędko wniosków - odparł z namysłem Jupiter. - To, co tu widać, może być tylko rezultatem przypadkowego zbiegu okoliczności.

Przez chwilę trzej chłopcy siedzieli w milczeniu, wpatrując się w pustą łódkę i widoczne w niej brunatne plamy.

- Może ta łódź należy do któregoś z przebierańców, którzy zabawiają się tam, na wyspie - odezwał się w końcu Bob. - Mam na myśli tych Wikingów i Indian. Któryś z nich mógł się skaleczyć albo przytrafiło mu się jakieś inne nieszczęście.

- Tak, to jest możliwe - przytaknął Jupiter. - Proponuję, żebyśmy się dowiedzieli, czy tak rzeczywiście było.

Rzekłszy to, wraz z Bobem chwycił wystrzępioną linkę od pustej łódki, Pete zaś uruchomił motor i skierował ich własną łódkę w kierunku brzegu. Indianie i Wikingowie zaczęli już gromadnie schodzić z wysokiej skały z powrotem ku zatoce, wywijając radośnie wojennymi proporczykami i poklepując po plecach niedawnych przeciwników. Niektórzy z nich zauważyli Boba i jego aparat. Kiedy chłopcy przybliżyli się do brzegu zatoczki, na którym leżały wyciągnięte z wody łodzie Wikingów i Czumaszków, przebierańcy zaczęli pokrzykiwać:

- Hej, zrób nam zdjęcie!

- Chodź tu na brzeg, będziemy ci pozować!

- Najpierw Indianom!

- Nie, Wikingom! To my zwyciężyliśmy!

- Chodźcie tu wszyscy trzej, zapraszamy na poczęstunek!

Śmiejąc się, trzej chłopcy pomachali im w odpowiedzi rękami.

- Czy ta łódka należy do któregoś z was? - zawołał głośno Jupiter, nie czekając, aż łódź dobije do brzegu.

- Nie, ona nie jest nasza! - odkrzyknął mu któryś z Wikingów.

- Chodźcie tu, zróbcie nam jeszcze parę zdjęć! - zawołał jakiś mężczyzna przebrany za Indianina.

Aby zachęcić Boba, kilku przebierańców zaczęło przybierać groźne pozy, zamierzając się na przeciwników toporami albo przykładając im groty włóczni do gardeł.

Bob wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i pstryknął parę razy swym aparatem, kierując obiektyw na te grupki wojowników, które wydały mu się bardziej interesujące od innych. Na niewielkim płaskowyżu, przylegającym urwistym brzegiem do wód zatoki, ujrzał kilka rzędów namiotów, a wokół wielkiego ogniska uwijały się kobiety i dzieci, przygotowując piknikowe wiktuały. Bob zrobił jeszcze jakieś zdjęcia, starając się zmieścić w obiektywie jak największe połacie całej, pozbawionej zadrzewienia wyspy.

- Pospiesz się - ponaglił go Pete - bo inaczej nie starczy nam czasu na złowienie choć paru ryb i zostaniemy bez grosza.

- To już ostatnie klatki z tej rolki - odparł Bob.

- Przykro mi, Pete, ale myślę, że powinniśmy natychmiast odholować stąd tę pustą łódkę - powiedział Jupiter. - Jej właścicielowi mogło się przydarzyć coś naprawdę strasznego.

- Może dałoby się wezwać przez radio policję - zasugerował Pete. - Któraś z tych łodzi na brzegu ma być może radiotelefon.

- Świetny pomysł, Pete - wykrzyknął Jupiter, a potem odwrócił się ku niedawnym wojownikom, przemienionym w uczestników wesołego pikniku. - Przepraszam panów, czy to są wasze łodzie?

Kilka osób odpowiedziało mu skinieniem głowy.

- Czy ktoś z was ma w swojej łodzi radiotelefon?

- Niestety, nie - odkrzyknął mu jakiś Indianin.

- Mój jest zepsuty! - zawołał któryś z Wikingów.

Bob pstryknął ostatnie zdjęcie.

- Nie mam już ani jednej wolnej klatki. Co robimy, płyniemy na ryby czy z powrotem do portu?

- Chyba będziemy musieli odholować do brzegu tę łódź - mruknął z ponurą miną Pete.

- To jest w tej chwili najważniejsza rzecz do zrobienia - stwierdził stanowczo Jupiter.

- Nie jest wykluczone, że ktoś znalazł się w niebezpieczeństwie i straszliwie potrzebuje pomocy.

Nie tracąc ni chwili dłużej, chłopcy przywiązali kotwiczną linkę pustej łódki do rufy własnej motorówki i siedzący u steru Pete wziął kurs w kierunku brzegu. Mieli do pokonania spory kawał drogi, toteż od czasu do czasu Jupiter spoglądał niecierpliwie na zegarek, tak jakby chciał w ten sposób przyspieszyć mozolne pokonywanie kolejnych grzbietów długiej, oceanicznej fali. Nic nie wyszło z rozglądania się za jakąś łodzią z radiotelefonem. Bob wykorzystał ten czas na wyczyszczenie paru okoni, które udało się im złowić.

- Mamy ich przynajmniej tyle, że powinno wystarczyć każdemu z nas na kolację - powiedział z wesołym uśmiechem.

Ciągnięta na holu pusta łódka działała niczym potężny hamulec, toteż kiedy dotarli wreszcie do jachtowego portu w Rocky Beach, było już po czwartej.

- Ej, chłopaki - powiedział siedzący przy sterze Pete. - Czy to przypadkiem nie komendant Reynolds stoi tam koło basenu na nabrzeżu?

Jupiter i Bob jak na komendę odwrócili głowy we wskazanym przez Pete'a kierunku.

- W dodatku ma ze sobą paru swoich ludzi! - wykrzyknął Bob.

I rzeczywiście, w miarę zbliżania się do długiego nabrzeża, przy którym cumowała większość prywatnych motorówek i jachtów, coraz wyraźniej widzieli masywną sylwetkę szefa policji w Rocky Beach. Wraz z trzema umundurowanymi funkcjonariuszami zajęty był rozmową z jakąś szczupłą, ubraną w modną, zieloną suknię kobietą, najwyraźniej mocno czymś wzburzoną. Co chwila spoglądała ku morzu, ocierając przy tym oczy, a jej rude włosy tańczyły bezustannie w ostrym, popołudniowym słońcu.

- Znacie tę panią? - zapytał Pete.

- Nie widziałem baby nigdy w życiu - odparł Bob - ale ona gapi się prościutko w naszą łódkę, tak jakby czekała na nas!

Spostrzeżenie Boba było słuszne, bowiem kobieta przestała rozglądać się po wodach zatoki i utkwiała wzrok w trójce zbliżających się do brzegu chłopców. Pochyliwszy się do przodu wpatrywała się w nich szeroko otwartymi oczami.

- Ale ona nie patrzy na nas - stwierdził Jupiter. - Chodzi jej o tę pustą łódkę. Chyba ją rozpoznaje.

- W takim razie rozpozna też może ten rybacki kapelusz - zauważył Pete.

Kiedy łódź chłopców znalazła się tuż przy nabrzeżu, Pete sięgnął po pokryty rdzawymi plamami kaptur i uniósł go w górę. Kobieta zbladła jak płótno i osunęła się zemdlona prościutko w ramiona komendanta Reynoldsa.

ROZDZIAŁ 3

GNIEWNY WIKING

Policjanci wraz z chłopcami otoczyli półkolem ławkę na nabrzeżu, na której komendant Reynolds posadził na pół zemdloną kobietę.

- Odsuńcie się trochę, chłopcy. Ta pani nie ma czym oddychać - powiedział komendant. - No dobrze, a teraz powiedzcie mi, gdzie znaleźliście tę łódkę.

Pete i Bob przedstawili w kilku słowach to, co przydarzyło się im przy Skale Ragnarsona. Komendant Reynolds uważnie przysłuchiwał się ich relacji. Kiedy skończyli, kobieta otworzyła oczy i poruszyła się z wysiłkiem, tak jakby chciała stanąć na nogi.

- Muszę natychmiast tam popłynąć! - zawołała.

Policjanci rzucili się, aby powstrzymać ją przed jakimś nierozważnym krokiem, a komendant Reynolds zwrócił się do niej łagodnym, uspokajającym tonem.

- Proszę pani, za dwadzieścia minut poleci tam helikopter. A teraz, pani Manning, niech pani usiądzie z powrotem na ławce i spróbuje odzyskać spokój. Zrobimy wszystko, co należy. Wydałem już odpowiednie dyspozycje.

Rzekłszy to komendant uśmiechnął się do pani Manning, która opadła ciężko na ławkę, jej niebieskie oczy zaczęły błąkać się po twarzach skupionych wokół niej osób. Pan Reynolds odwrócił się w stronę stojących razem chłopców.

- Wczoraj późnym wieczorem mąż tej oto pani wypłynął z wędką na ryby uprzedziwszy ją, że wróci rano o takiej porze, żeby zdążyć na ósmą trzydzieści do pracy. W przeszłości często zdarzało mu się wędkować właśnie w nocy. Jego łódź zaopatrzona była w reflektory, miał też dwukanałowy radiotelefon, no i nigdy nie oddalał się zbytnio od brzegu. Dziś rano nie wrócił jednak do domu i pani Manning zadzwoniła do nas w południe. Przyjechawszy tu, znaleźliśmy jego zamknięty samochód, nigdzie jednak nie było śladu po nim samym. Nikt nie widział jego łódki od chwili, gdy wypłynął wczoraj wieczorem. Aż do tej pory.

Aby nie niepokoić zbytnio pani Manning, komendant Reynolds starał się przemawiać do niej spokojnym głosem, kiedy jednak zabrał się do oglądania przycumowanej do pirsu pustej łodzi, jego twarz sposepniała nagle.

Pani Manning spojrzała z zakłopotaniem na chłopców.

- Co mój Bili robił tak daleko? Wypływając samotnie nigdy nie oddalał się aż tak bardzo od brzegu. Nie umiał pływać... i z tego powodu zawsze zabierał ze sobą kamizelkę

ratunkową.

- Nie mamy żadnej pewności, proszę pani, że pani mąż dopłynął aż do tej wysepki - zapewnił ją komendant Reynolds. - Są tu silne prądy, które czasami kierują się wprost do Skały Ragnarsona. Chłopcy znaleźli dryfującą swobodnie łódź wczesnym popołudniem. Mogła ona z łatwością dopłynąć tam sama, choćby nawet od samego brzegu.

- W takim razie, co się stało z Billem? Gdzie on zniknął?

Odpowiedziało jej pełne napięcia milczenie.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć, proszę pani - stwierdził po chwili komendant Reynolds. - Jestem pewien, że istnieje jakieś proste wyjaśnienie tej zagadki. Być może pani małżonek wyszedł na ląd, a łódka urwała się z cumy i zdryfowała na pełne morze.

- Jeśli było tak, jak pan mówi - odparła pani Manning - to dlaczego nie wrócił do domu? Albo przynajmniej nie odjechał stąd samochodem?

- Dowiemy się tego - zapewnił ją komendant. - Poprosiliśmy już straż przybrzeżną, aby podjęła poszukiwania. Prowadzą je także wszystkie policyjne komisariaty z nadbrzeżnych miejscowości na północ i południe od Rocky Beach. Możliwe, że mąż wróci bez niczyjej pomocy i sam dostarczy rozsądnego wyjaśnienia swego zniknięcia.

- Mówi pan, że to możliwe? I nie ma pan nic więcej do powiedzenia?

Rzekłszy to pani Manning obrzuciła błędnym spojrzeniem stojących z boku funkcjonariuszy z lotnego patrolu, potem chłopców, a w końcu przeniosła wzrok na komendanta Reynoldsa. Na jej twarz wróciła poprzednia bladość. Przez chwilę chłopcy myśleli, że znowu straci przytomność. Pani Manning pokiwała jednak tylko powoli głową.

- Chce pan powiedzieć, że jego odnalezienie się jest możliwe, ale mało prawdopodobne? - podjęła po chwili, a potem podniosła się nagle i wzięła z rąk Pete'a rozdarty rybacki kapelusz. - To jego nakrycie głowy, a plamy, które na nim widać, to krew, prawda?

- Możliwe - przyznał komendant. - Raczej tak.

- A ślady w łodzi? - zapytała, pochylając się nad kołyszącą się przy pomoście łódką. - Widzę krew na górnej krawędzi burty i na dulce. No i brakuje części ekwipunku. Nie ma wędki ani kołowrotka. Jestem pewna - dodała po chwili, potrząsając głową - że mojemu mężowi musiało się coś przydarzyć. Jakieś nieszczęście. On nie wróci już nigdy.

Opadłszy z powrotem na portową ławkę, pani Manning zaczęła płakać. Chłopcy przyglądali się z zakłopotaniem, jak ociera oczy wyjętą z torebki chusteczką. Ani im, ani policjantom nie przychodziło do głowy nic, czym mogliby ją pocieszyć.

- Proszę pani, nie trzeba tracić nadziei - odezwał się spokojnym tonem Jupiter. - Jego

kamizelka ratunkowa... Ona znajduje się nadal w łodzi. A ponieważ pani mąż nie umiał pływać, prawdopodobnie miałby ją na sobie przez cały czas, przebywając na wodzie z dala od brzegu. Jest więc bardzo możliwe to, co sugeruje pan komendant... Że z własnej woli wyszedł gdzieś na brzeg, a potem łódka urwała się z uwięzi.

- Jasne - wtrącił Pete. - To znaczy, chcę powiedzieć, że znajdując się na brzegu nie wkładałby przecież czegoś tak wielkiego i niewygodnego, jak kamizelka ratunkowa.

- No i nie zostawiłby w łodzi wędki i kołowrotka - dodał Bob. - Ktoś mógłby je przecież ukraść.

Pani Manning uśmiechnęła się smutno i znowu potrząsnęła głową.

- Przyznaję, mili z was chłopcy, ale Bili bardzo nie lubił wkładać tej kamizelki w czasie wędkowania. Mówił, że ona zbyt ogranicza jego ruchy. Miał ją zawsze pod ręką, ale wolał mieć swobodę w operowaniu wędką. A poza tym lubił słuchać radia, które wkładał do kieszeni swojej rybackiej kurtki. Ono także zniknęło, prawda?

- Ehe... rzeczywiście zniknęło, proszę pani, ale... - zaczął niepewnie Pete.

Pani Manning przerwała mu energicznym ruchem głowy.

- Nie, Bili nie wróci już do mnie. Coś musiało mu się przydarzyć. Może upadł i rozbił sobie głowę, a potem stracił przytomność i wyleciał za burtę - powiedziała błędząc wzrokiem po twarzach chłopców. - Przypominałam mu zawsze, żeby wkładał kamizelkę, kiedy wpływa na morze. Ale nie chciał mnie słuchać. A teraz już po nim.

Na pomoście zapadło znowu kłopotliwe milczenie.

- Szczerze pani współczuję - powiedział po chwili komendant Reynolds. - Muszę przyznać, że sprawa nie wygląda dobrze, ale wciąż jeszcze istnieje jakaś szansa.

- A może - podsunął z nadzieją w głosie Jupiter - wyłowiła go jakaś łódź, na której nie było radia, i dotąd jeszcze nie wróciła?

- Albo wyrznął się w głowę tak mocno, że stracił chwilowo pamięć? - dodał Pete.

- Mógł też wsiąść na tej skalistej wysepce! - zakończył to gdybanie Bob.

Pani Manning podniosła się z ławki i wygładziła dłonią suknię, a potem uśmiechnęła się bez przekonania.

- Dziękuję wam, chłopcy, i panu, panie komendancie, za te słowa pociechy. Ale Bili nigdy nie wypłynąłby tak daleko, aby mogła się spełnić któraś z tych możliwości. Wędkował zawsze nie dalej niż o milę od brzegu. Powiadał zawsze, że gdyby przydarzyło mu się jakieś nieszczęście, mógłby pokonać tę milę w kamizelce ratunkowej. Nie, on już nie wróci. Wypadł z łódki na długo przedtem, zanim dopłynęła ona do wyspy już bez niego. Panie komendancie, zabiorę teraz samochód męża i wrócę do domu. Gdyby znalazł pan jego ciało, proszę

powiadomić mnie o tym telefonicznie.

Rzekłszy to, pani Manning ruszyła wolnym krokiem w kierunku auta, zaparkowanego obok rampy ze slipem do wyciągania łodzi. Komendant Reynolds gestem dłoni posłał za nią dwóch swoich ludzi, a potem odwrócił się do chłopców.

- No, chłopaki, odwaliliście dobrą robotę holując tu tę łódź.

- Panie komendancie, czy... czy jest jakaś szansa, że on się uratował? - zapytał Pete.

- Wygląda na to, że, tak jak powiedziała jego żona, musiał wyrznąć się głową i wypadł za burtę. Była noc, a on siedział w łodzi sam jeden... - Komendant urwał w pół zdania i wzruszył ramionami. - Przeprowadzimy jednak dokładne poszukiwania. A wy, będąc tam, nie zauważyliście czegoś, co pomogłoby nam stwierdzić, co też mu się przytrafiło?

- Nie, panie komendancie, nie widzieliśmy żadnych innych śladów - odparł Pete.

- No to trzymajcie się, chłopaki, i nie zapomnijcie dać mi znać, gdybyście przypomnieli sobie o czymś - rzucił na pożegnanie Reynolds. Już nieraz Trzej Detektywi współpracowali z policją z Rocky Beach w rozwiązywaniu różnych trudnych zagadek i komendant doceniał ich spryt i bystrość spojrzenia.

Chłopcy kiwnęli głowami i odprowadzili komendanta wzrokiem aż do jego samochodu. Kiedy pani Manning i policjanci opuścili teren portu, umocowali porządnie swoją łódkę, a potem ruszyli do stojaków, przy których zostawili zabezpieczone łańcuszkami rowery.

- Ej, wy tam! Małolaty!

Wołanie dochodziło od strony portowego basenu, do którego wpłynęła właśnie mała łódź z zaburtowym motorem. Przy sterze siedział jeden z uczestników niedawnej bitwy na wyspie, przebrany za Wikinga. Widząc oglądających się za siebie chłopców, groźny wojownik pomachał im energicznie ręką.

- Zaczekajcie. Chcę z wami pogadać.

Dobiwszy zręcznie do przystani tuż obok slipu, Wiking obłożył linę na cumowniczym pachołku i lekko wyskoczył na pirs. Będąc z natury niewysokim mężczyzną, mocno w dodatku pogrubionym przez ciężką, futrzaną tunikę, przypominał trochę małpę, która uciekła z jakiegoś ogrodu zoologicznego. Jego nogi owinięte były poniżej kolan płóciennymi tasiemkami i skórzanymi rzemykami. Dolna część twarzy kryła się za sztuczną, żółtawą brodą, a górna - w hełmie z rogami i długą, sięgającą poniżej nosa przednią osłoną. Kiedy zbliżał się po nabrzeżu, widać było wyraźnie tylko jego niebieskie oczy.

- Czy to wy zabawialiście się dzisiaj pstrykaniem zdjęć na Skale Ragnarsona?

- A czy było w tym coś złego? - zapytał lekko zaniepokojony Bob.

Jupiter nie dał zbić się z tropu.

- Mamy pełne prawo fotografować tego rodzaju publiczne widowisko - oświadczył spokojnym głosem.

- Ej, co się rzucasz - powiedział pojednawczo Wiking. - Ja nie mam do was żadnych pretensji, chcę tylko kupić te zdjęcia. Wezmę wszystkie.

- Ale my nie zdążyliśmy ich jeszcze nawet wywołać - odparł Bob. - A poza tym, zamówił je mój stary do swojej gazety, i on ma pierwszeństwo.

- No to świetnie. Pojadę z wami i zaczekam, aż je wywołacie. Bo tak naprawdę potrzebuję tylko paru sztuk, ale chciałbym sobie wybrać te, które mi się przydadzą.

- Obawiam się, że ojciec Boba będzie chciał obejrzeć wszystkie - powiedział Jupiter - a na te, które od nas kupi, będzie miał wyłączność. Ale z przyjemnością pokazemy panu zdjęcia, które odrzuci.

- Tak będzie najlepiej - poparł go Bob. - Jutro, jak już mój ojciec wybierze sobie to, co go będzie interesowało, opylimy panu zdjęcia, które się panu spodobają, panie...

- Sam Ragnarson - przedstawił się Wiking. - Ale zastanówcie się chłopaki, zapłacę wam naprawdę dobrze. Dajcie mi tylko rzucić na nie okiem zaraz po wywołaniu.

Bob zaczął się wahać. Trzem Detektywom naprawdę brakowało żywej gotówki...

- Przykro mi, panie Ragnarson - powiedział w końcu z ciężkim westchnieniem. - Mój stary liczy na to, że będzie mógł zabrać klisze do Los Angeles zaraz po wywołaniu. Niech pan przyjdzie jutro.

W niebieskich oczach Sama Ragnarsona pojawił się groźny błysk.

- Powiedziałem wam, że muszę mieć te zdjęcia - rzucił twardo, zaciskając pięści. - A to oznacza, że macie oddać mi je natychmiast. Jeżeli trzem takim głupkom jak wy brakuje rozsądku, spróbuję przemówić do was inaczej...

Chłopcy cofnęli się z przestraszeniem. Nagle doszedł ich odgłos szurania kół hamującego samochodu, a zaraz potem usłyszeli, że ktoś do nich woła.

- Zapomniałem zapytać was, chłopcy, czy nie ruszaliście czegoś w tej pustej łodzi - komendant Reynolds, który wjechał aż na drewniany pomost, wychylił się przez otwarte okno swego wozu.

- Wyjęliśmy z niej tylko rybacki kapelusz, proszę pana - odpowiedział Jupiter, podbiegając do auta, a potem wyliczył wszystko, co w znalezionej łódce zwróciło uwagę jego i kolegów.

Komendant kiwnął głową, a następnie włączył bieg i odjechał. Chłopcy rozejrzeli się szybko na wszystkie strony. Nigdzie nie było śladu po Samie Ragnarsonie. Zniknęła nawet

jego motorówka. Rzucili się biegiem do swych rowerów.

- Zdaje się, że ten typek nie przepada za glinami - powiedział Pete.

- Chyba masz rację - potwierdził Bob. - Nie zczekał, żeby zapisać choćby moje nazwisko i adres. Musiało mu się bardzo spieszyć. Może się teraz pożegnać z tymi zdjęciami.

- Zabiorę filmy do Kwatery Głównej - zaproponował Jupe. - Bob, wpadnij do składnicy jutro z samego rana. Zaczniemy dzień od robienia odbitek. A dziś wieczorem - dodał po chwili - starajcie się obaj słuchać radia. Może podadzą jakąś wiadomość o tym zaginionym wędkarzu.

ROZDZIAŁ 4

KIM SĄ PRZEŚLADOWCY?

Rankiem następnego dnia Bob bez ociągania się zbiegł na dół na śniadanie, chcąc opowiedzieć ojcu o zrobionych zdjęciach. Wróciwszy poprzedniego wieczoru do domu nie zastał bowiem rodziców, ponieważ pojechali już wcześniej do Los Angeles, aby zjeść tam kolację i pójść do teatru. A że był zbyt zmęczony, aby czekać na ich powrót, poszedł spać nie zobaczywszy się z ojcem. Wbiegłszy do kuchni, zastał go pochylonego nad poranną gazetą.

- Widzę, że ty i twoi koledzy mieliście wczoraj całkiem niewesołe przygody - powiedział pan Andrews, przyglądając się synowi.

Bob kiwnął potakująco głową.

- Czy znaleźli już może tego pana Manninga?

- Nie mam pojęcia. To wydanie drukowano w nocy.

- Niedługo będą lokalne wiadomości - odezwała się pani Andrews, włączając radio.

I rzeczywiście, spiker miejscowej rozgłośni kończył właśnie czytanie ogólnokrajowego dziennika, a potem zdał relację z jakiegoś lokalnego pożaru i powiedział: "Funkcjonariusze straży przybrzeżnej nadal poszukują zaginionego Williama Manninga, samochodowego dealera z Rocky Beach, którego łódź wczoraj znaleźli koło Skały Ragnarsona trzech młodzi mieszkańcy tego miasta - Robert Andrews, Peter Crenshaw i Jonathan Jones".

- Och, nie mogę! - wykrzyknął Bob. - Znowu przekręcili Jupe'owi imię!

"Żona pana Manninga powiedziała nam, że jej mąż nie umiał pływać, toteż szansę na to, aby niefortunny wędkarz mógł przeżyć wypadek, są bardzo niewielkie".

- Biedna kobieta - powiedziała współczującym tonem pani Andrews.

- To rzeczywiście paskudna historia - przytaknął jej mąż. - Ale wiesz, Bob, byłem pewien, że będziesz miał mi coś jeszcze do opowiedzenia.

- Jasne, że mam, tatusiu! - zawołał Bob, zabierając się żwawo do dymiącej przed nim owsianki, po czym, nie przerywając jedzenia, opisał widowisko, które rozegrało się poprzedniego dnia na skalistej wysepce.

Pan Andrews roześmiał się.

- Sądząc po twoich słowach, zabawa musiała być naprawdę szalona, tak zresztą, jak się tego spodziewaliśmy w redakcji. Jutro zamieścimy całostronicowy reportaż.

- A w jakim to właściwie celu? - zapytała zdumiona pani Andrews. - Przecież to nic

innego, jak tylko banda dziecięcych i do tego pukniętych starych byków.

- No właśnie, tato - zapytał Bob - dlaczego oni tak bardzo cię interesują?

- Ponieważ jest to fragment dziejów Kalifornii - wyjaśnił pan Andrews. - W roku 1849 przyjechał tu z Illinois niejaki Knut Ragnarson. Panowała wtedy gorączka złota. A że Ragnarson był szewcem, zarobił mnóstwo pieniędzy szyjąc buty z cholewami i sprzedając je poszukiwaczom złota. Zarobił o wiele więcej, niż to się udało któremukolwiek z kopaczy. Tak więc w rok później wsiadł w San Francisco na statek, chcąc udać się na wschodnie wybrzeże i przywieźć stamtąd resztę rodziny. Był to statek pasażerski, ale wiózł także ładunek złota. Drugiej nocy po wyjściu w morze kapitan poodkręcał zawory denne, żeby zatopić statek, a potem zabrał złoto i odpłynął w wiosłowej szalupie. Większość pasażerów wpadła w panikę i zatonęła, ale Knut Ragnarson zdołał zerwać drewnianą pokrywę luku i wiosłując jakąś deską dopłynął do tej małej wysepki. Znalazł na niej porzucone przez Czumaszów canoe i przedostał się w nim z powrotem na ląd. Od tamtej pory wyspa nazywana jest Skalą Ragnarsona. A jego potomkowie i ich przyjaciele zbierają się co pięć lat, aby zainscenizować bitwę i przypomnieć o swoich "prawach" do wysepki. Rozbijają namioty i obozują na niej przez cały tydzień. A wszystko to powiedział mi Karl Ragnarson, kierownik twojej szkoły.

- Pan Karl? - wykrzyknął Bob. - Czy on także brał udział w bitwie?

- Jestem pewien, że tak - odparł pan Andrews - choć przypuszczam, że zostawia młodszemu od siebie najbardziej hałaśliwe zabawy. Bardziej interesuje go historia rodziny.

- A jeśli już mowa o historii - wtrąciła pani Andrews - to co się stało z tym skradzionym złotem?

- I ile czasu spędził Knut Ragnarson na wyspie? - zamyślił się głośno Bob.

Pan Andrews uniósł w górę obie ręce i roześmiał się.

- Och, sam chciałbym to wiedzieć! Ale na razie wiem tylko tyle. Nasz reporter buszuje tam w tej chwili, zbierając szczegółowe informacje. Wraz ze zdjęciami Boba powinien powstać z tego całkiem niezły reportaż.

Bob wysączył ze szklanki resztę mleka.

- Kasetka z filmem jest u Jupe'a. Zaraz wskoczę na rower i pojadę do niego. Wywołamy film piorunem i przywiozę go tutaj. Powinniśmy...

- Nie tak prędko, młody człowieku - przerwała mu pani Andrews. - Pewno zapomniałeś o tym, że na dziś rano zaplanowaliśmy mycie okien?

- Ależ, mam! - zaprotestował Bob. - Muszę przecież wywołać te zdjęcia dla taty!

- Chyba nie trzeba przypominać ci tego, cośmy ustalili? Przez całe lato miałeś

pomagać raz w tygodniu w pracach domowych. Wybrałaś środę jako stały dzień, żeby móc bez przeszkód planować sobie zajęcia na resztę tygodnia. Umówiliśmy się, że nie będzie od tego absolutnie żadnych wyjątków, bo w przeciwnym razie musiałabym polować na ciebie przez całe lato i nic nie byłoby nigdy zrobione na czas.

- Mamo - powiedział błagalnie Bob. - Dlaczego właśnie dziś? Przyrzekam zrobić...

- Zabiorę kasetkę do redakcji i poproszę, żeby wywołali film w naszym laboratorium - przerwał mu ojciec. - Dziś rano będę pracował w domu i na pewno nie pojedę tam przed południem. Będiesz miał dość czasu, żeby pomóc mamie przy oknach i skoczyć po ten film.

Widząc, że stawianie dalszego oporu nie zda się na nic. Bob zaakceptował propozycję, po czym zadzwonił do Kwatery Głównej. Na wieść o kłopotach kolegi Jupiter westchnął ciężko.

- Pete też wpadł dziś rano na minę - powiedział do słuchawki. - Musiał zostać w domu, żeby posprzątać swój pokój. Obiecał przyjechać, jak tylko z tym skończy. Ty też staraj się wyrwać najprędzej, jak będziesz mógł.

Bob jednym susem wskoczył w robocze ubranie i zabrał się do roboty. Starał się pracować jak najprędzej, ale w domu było mnóstwo okien. Kiedy uporał się wreszcie z ostatnim, była prawie jedenasta. Cisnął do schowka robocze ciuchy i skoczył do garażu po rower.

- Nie zapomnij wrócić na czas - zawołał za nim ojciec. - Muszę wyjechać stąd za mniej więcej godzinę!

- Okay, tato - odkrzyknął naciskając mocno na pedały i pomknął w kierunku ulicy.

Wyjeżdżając z podjazdu musiał ostro skręcić, aby ominąć poobijanego, białego pickupa, który stał zaparkowany na wprost domu. Zdziwiło go to, ponieważ w tym miejscu nie stawiano prawie nigdy żadnych samochodów. Od czasu afery z wandalem tłukącym szyby w stojących na ulicy autach, nawet jego rodzice wjeżdżali zawsze swymi samochodami do garażu. W dodatku Bob tak był zaaferowany tym, żeby się nie przewrócić, że nie zdążył nawet zerknąć do kabiny furgonetki i zobaczyć, kto siedzi za jej kierownicą.

Dopiero na zakręcie obejrzał się za siebie i zobaczył, że pickup odjechał już od krawężnika i posuwa się wolno za nim. Dochodził go nawet klekot obluzowanych części karoserii.

Nacisnął mocniej na pedały i na pełnym gazie skręcił najpierw w jedną, a potem w kilka następnych bocznych uliczek. Kiedy obejrzał się znowu, stwierdził, że pickup uporczywie podąża jego śladem. Próbował odczytać jego numery rejestracyjne, ale okazało się, że samochodowi brak przedniej tabliczki.

Zaniepokojony nie na żarty zaczął pędzić najszybciej, jak tylko mógł. Od czasu do czasu zerkał przez ramię, aby się upewnić, czy zdezelowane auto śledzi go nadal. I ciągle dostrzegał kątem oka jego sylwetkę.

Zaczął gorączkowo analizować sytuację. Dojeżdżał już prawie do składnicy i jeżeli rzeczywiście był przez kogoś śledzony, oznaczało to, że ten ktoś chce wiedzieć, dokąd jedzie Bob. Albo gdzie znajduje się Kwatera Główna Trzech Detektywów. A najprawdopodobniej i jedno, i drugie. Bob postanowił trzymać się z daleka od złomowiska i przystanąć dopiero przy jakiejś budce telefonicznej, aby zadzwonić do Jupe'a i Pete'a.

Dojechawszy do ostatniej przecznicy przed składnicą złomu, skręcił w nią i zatrzymał się na stacji benzynowej, gdzie znajdował się umieszczony na zewnątrz, publiczny aparat telefoniczny. Szybko wybrał numer telefonu, zainstalowanego przez Trzech Detektywów w Kwaterze Głównej.

Nikt nie podniósł słuchawki! Najwidoczniej i Jupe, i Pete gdzieś poszli.

Wyszedłszy z kabiny Bob rozejrzał się po ulicy. Biała furgonetka gdzieś znikła. Aby się upewnić, że odjechała na dobre, obszedł dookoła budynek stacji. Przyszło mu do głowy, że może wcale nie był śledzony. Mógł to być przecież zwykły zbieg okoliczności.

Wskoczywszy na rower, wrócił na główną ulicę i przejechał obok składnicy złomu aż do najbliższej przecznicy. Biała furgonetka po prostu wyparowała. Wydało mu się, że teraz może już bezpiecznie podjechać do złomowiska.

Znalazłszy się obok niego popedałował ostrożnie aż do tylnego, drewnianego płotu. Trzy lata temu został on pokryty ogromnym malowidłem, przedstawiającym pożar San Francisco, który strawił to miasto w 1906 roku wskutek trzęsienia ziemi. Można tu było zobaczyć mnóstwo płonących domów, zaprzężone w konie strażackie wozy, a także mieszkańców, unoszących na własnych plecach uratowany od ognia dobytek. W odległości około piętnastu metrów od rogu parkanu namalowany był mały piesek, przyglądający się smutno zgliszczom budynku, który był jego domem.

Bob jeszcze raz rozejrzał się uważnie, aby upewnić się, że w pobliżu nie ma zagadkowej furgonetki, a potem wyjął z jednej z desek sęk, udający oko małego pieska. Następnie szybko włożył do powstałego w ten sposób otworu dwa palce, uniósł haczyk i odsunął trzy deski. Było to jedno z sekretnych wejść na teren składnicy, nazwane przez chłopców Czerwoną Furtką Pirata. Właząc do środka Bob był pewien, że nikt niepowołany nie podpatrzył go przy tym.

Całkowicie niewidoczny od strony biura składnicy i głównej bramy, postawił rower i zaczął pełznąć na czworakach. W leżącym na wprost niego stosie materiałów budowlanych

znajdował się otwór, przypominający wejście do małej grotty. Bob prześliznął się przez nie i znalazł się w wąskim tunelu między zwałami złomu. Była to ścieżka, prowadząca do Wejścia Numer Cztery, ostatniego z tajemnych wejść do Kwatery Głównej, stanowiącej operacyjną bazę Trzech Detektywów. Ze względu na panującą tu ciasnotę droga ta była rzadko używana przez nieco zbyt... krępego Pierwszego Detektywa. Mógłby się w niej zakleszczyć na amen!

Pokonawszy kilka ostrych zakrętów w wąskim korytarzyku, Bob znowu musiał popełnić parę kroków na czworakach, wreszcie znalazł się przed zamykającą drogę drewnianą płytą. Wstał na równe nogi i zapukał. Raz... dwa... trzy.

Jeśli Jupe i Pete byli w środku, płyta powinna się uchylić. Jeśli nie, to...

Płyta otworzyła się!

Bob wśliznął się do wnętrza starej mieszkalnej przyczepy, służącej Trzem Detektywom za Kwaterę Główną. Ukryta pod zwałami złomu i zapomniana przez wszystkich, została wyposażona przez chłopców w biurko, telefon z automatyczną sekretarką, magnetofon i mnóstwo innych urządzeń, naprawionych albo zbudowanych przez Jupitera z części zepsutych aparatów, znalezionych na złomowisku. Miała też maleńką ciemnię fotograficzną i kącik służący za laboratorium.

- Gdzieście byli? Dzwoniłem do was, ale nikt nie podniósł słuchawki.

- Zrobiliśmy fatalny błąd, pokazując się w warsztacie - odparł rozgoryczonym tonem Pete. - Skończyło się na tym, że przyskrzynyła nas tam ciocia Matylda i musieliśmy targać jakieś klamoty.

Nie tracąc czasu, którego miał już niewiele. Bob opowiedział kolegom o przygodzie z białą, poobijaną furgonetką. Jupe i Pete słuchali go z wielkim zainteresowaniem.

- Zauważyłeś, kto nią jechał? - zapytał Pete.

- Nie, nie udało mi się zajrzeć do kabiny.

- Jesteś pewien, że ona cię śledziła? - spytał Jupiter.

- Tak, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości aż do momentu, gdy podjechałem na stację benzynową, żeby zadzwonić do was. Kiedy wróciłem na ulicę, już jej nie było. Być może wydawało mi się tylko, że ona jechała za mną.

- Tak, to możliwe - zamyślił się Jupiter, marszcząc brwi. - Musimy jednak mieć oczy otwarte na to, co się dzieje wokół nas. A co robimy z filmem?

- O rany, całkiem o tym zapomniałem! - wykrzyknął Bob, spoglądając na wiszący na ścianie zegar. Było już prawie pół do dwunastej. - Najpóźniej za pół godziny muszę dostarczyć kartę mojemu staremu!

- Nie zdążymy wywołać dwóch rolek przez pół godziny - zauważył Pete.

- Nie musimy tego robić. Staruszek powiedział mi, że każe wywołać je w redakcji gazety.

- To nie będzie konieczne - stwierdził Jupiter. - Wywołałam obie w czasie, gdy wy obaj skazani byliście na ciężkie roboty. Oba negatywy na pewno już wyschły, możesz więc zawieźć je swojemu tacie.

- Gdzie je masz?

Jupiter podniósł się z krzesła i wszedł do ciemni. Po chwili wyniósł stamtąd brązową kopertę i wręczył ją Bobowi, który natychmiast odepchnął płytę, zamykającą Czwórkę.

- Zawiozę je tacie i wracam natychmiast.

Rzekłszy to specjalista od dokumentacji i analiz chyłkiem pomknął krętym i wąskim korytarzem, a potem, zabrawszy rower, wy dostał się Czerwoną Furtką Pirata na zewnątrz. Tuż za rogiem ogrodzenia wskoczył na siodło i ruszył w kierunku ulicy, przy której znajdował się wjazd na złomowisko. Skręciwszy w nią, usłyszał charakterystyczny odgłos zapuszczania samochodowego silnika. Zaniepokojony obejrzał się szybko przez ramię. Spod krawężnika ruszała właśnie biała furgonetka!

ROZDZIAŁ 5

RUCHOMY CEL

Krótki rzut oka pozwolił Bobowi dostrzec jedynie dwie majaczące w kabinie pickupa głowy. W chwilę potem gnał już ile sił w nogach, starając się trzymać jak najbliżej krawężnika.

Klekot zdezelowanej karoserii zaczął się przybliżać. Bob poczuł się tak, jakby uciekał przed ogromnym grzechotnikiem!

Mimo iż naciskał mocno na pedały, furgonetka jechała już o niecałe pół metra za tylnym kołem jego roweru. Pochylony nad kierownicą wykręcił do tyłu głowę, aby choć przelotnie dostrzec twarz kogoś ze swych prześladowców, ale zobaczył jedynie kratę chłodnicy samochodu.

Przez dłuższą chwilę furgonetka utrzymywała ten dystans, poruszając się z taką samą szybkością jak on, tak jakby jadący nią ludzie na coś czekali.

Zauważył, że wzdłuż odcinka ulicy między dwoma przecznicami, na który właśnie wjeżdżał, nie ma domów. Po jednej stronie widać było jakieś przydomowe ogródki, po drugiej zaś nieduży, przecięty paroma alejkami skwer, porośnięty drzewami i krzewami. Zdał sobie nagle sprawę, że ścigający go osobnicy czekają właśnie na to - aż znajdzie się w miejscu, w którym nie będzie ludzi.

Był już na wysokości skweru. Furgonetka przyspieszyła i minawszy go, zaczęła skręcać w prawo, aby odciąć mu drogę!

Błyskawicznie sięgnął do dźwignienek hamulców.

Furgonetka skoczyła do przodu, a potem zatrzymała się nagle z piskiem opon, omal nie wjeżdżając na chodnik.

Zaskoczony tym Bob zdążył tylko musnąć wzrokiem oblepioną błotem tylną tabliczkę rejestracyjną ze znakami Kalifornii, której numery zaczynały się od "56". W ostatnim momencie udało mu się skręcić i wjechać na skwer. Popędził krętą alejką w kierunku wyjścia po drugiej stronie.

Przejechawszy kilkadziesiąt metrów obejrzał się. Nikt go nie gonił.

Wyskoczywszy na ulicę, po przeciwnym brzegu skweru, równoległą do tej, którą jechał przedtem, skręcił nie ku domowi, lecz z powrotem, w kierunku składnicy złomu. Po chwili dopędził go duży samochód typu combi, zasłaniając go niczym ruchomy parawan. Przejechawszy dalszych kilkadziesiąt metrów, obejrzał się znowu i roześmiał się na widok

białej furgonetki, która wyjeżdżała właśnie zza rogu przylegającej do skweru przecznicy, po czym skręciła w odwrotnym kierunku.

Upewniwszy się, że prześladowcy stracili go z oczu na dobre, zawrócił i pokręciwszy się jeszcze przez chwilę po bocznych uliczkach, ruszył znowu w stronę domu.

Nie ujechał daleko, kiedy doszedł go znajomy już warkot silnika i klekot karoserii. Błyskawicznie obejrzał się za siebie. Biała furgonetka znów następowała mu na pięty!

Nie skradała się jednak jak poprzednim razem, lecz zrównawszy się z nim prawie, skręciła ostro, celując błotnikiem w tylne koło roweru. Bob zachwiał się, ale zdołał zachować jakoś równowagę, nie przestając naciskać na pedały.

Furgonetka powtórzyła niebezpieczny manewr.

Bob zobaczył nagle pod sobą głęboki rów, ciągnący się wzdłuż drogi. Zdażył zeskoczyć z roweru, zanim zwałił się on na pochyłą skarpe.

W ułamku sekundy, mając mglistą świadomość, że furgonetka się zatrzymuje, wylądował na dnie rowu. Przejechawszy na brzuchu metr czy półtora, przekoziółkował do przodu i zerwał się na nogi. Jego koszulka i spodenki były w strzępach, a kolana i łokcie podrapane i utyłane w błocie. Nie tracąc czasu na oglądanie się za siebie, puścił się biegiem dnem rowu. Wyskoczył z niego dopiero wtedy, gdy zorientował się, że znajduje się w pobliżu jakiegoś domu. Złapał parę głębokich oddechów i zaczął nasłuchiwać. Nie doszły go jednak żadne odgłosy pościgu, kroki czy krzyki.

Obejrzał się za siebie. Stał u wejścia na czyjeś podwórze, wokół nie było jednak żywego ducha. Ujrzał tylko swój rower, leżący na krawędzi rowu o jakieś sto pięćdziesiąt metrów z tyłu. I to wszystko. Nikt go nie atakował, nikt nie próbował nawet biec za nim. Także biała furgonetka gdzieś znikła!

Przeszyła go nagle niepokojąca myśl. Zaczął odruchowo przetrząsać kieszenie, w końcu utkwiał wzrok w swych pustych rękach. Co się stało z brązową kopertą?

W jednej chwili znalazł się znowu na dnie rowu. Rozglądając się na wszystkie strony ruszył wolno do miejsca, w którym zeskoczył z roweru. Brązowa koperta wyparowała gdzieś bez śladu.

Zniechęcony wygramolił się na brzeg i ze smutkiem popatrzył na leżący na ziemi rower.

Stracił kopertę. Jacyś ludzie ukradli mu negatywy wszystkich zdjęć!

Powinien był domyślić się, o co im chodziło, i zabezpieczyć ją lepiej! Nie miał wprawdzie jasnego poglądu na to, co powinien był zrobić, aby uchronić się przed jej utraceniem, był jednak gotów przypisać tylko sobie winę za ten przykry wypadek.

Podniósłszy z ziemi rower, otrząsnął się jednak prędko z tych myśli i postanowił nie rozczulać się tak nad samym sobą. Przypomniały mu się powtarzane często przez Jupitera słowa, że martwienie się tym, co już się wydarzyło, jest tylko niepotrzebną stratą czasu i energii. Powinien skupić się teraz wyłącznie na tym, w jaki sposób odzyskać utracone negatywy!

Wskoczył na rower i popędził z powrotem do składnicy złomu. Tym razem wjechał przez główną bramę. Nie musiał już kryć się z tym, dokąd jedzie. Nie goniła go przecież żadna biała furgonetka.

Zeskoczywszy z roweru, pobiegł prosto do warsztatu, urządzonego przez Jupitera pod gołym niebem w kącie podwórza. Tu właśnie Pierwszy przerabiał różne rupiecie na pełnowartościowy sprzęt detektywistyczny. Znalazłszy się u wylotu grubej, zardzewiałej rury, nieco odsunął zasłaniającą go żelazną kratę, która niby to przypadkiem stała w tym miejscu. W rzeczywistości rura pełniła rolę Tunelu Drugiego, czyli jeszcze jednej sekretnej drogi do Kwatery Głównej. Bob prześliznął się przez nią najszybciej, jak tylko mógł, starając się tylko nie poobijać zbyt swych chudych łokci i kolan, i w chwilę później znalazł się pod klapą w podłodze przyczepy, stanowiącą wejście do Kwatery Głównej. Kiedy uniósłszy ją, przecisnął się do środka, Pete i Jupiter spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Dobra robota. Bob - powitał go Pete. - Od tej pory będę cię nazywał "Bbbłyskawica".

Wzrok Jupitera spoczął na podartej koszulce i spodenkach Boba.

- Napadli cię faceci z tej białej furgonetki!

- Nie, zepchnęli mnie tylko na pobocze drogi. Ale zabrali mi negatywy! - jęknął rozpaczliwym tonem Bob. - Obie rolki!

- Zorientowałeś się, co to za jedni? - zapytał prędko Jupiter.

- O rany, nie zarobimy nawet centa! - westchnął ciężko Pete.

- Bob, opowiedz nam dokładnie, co ci się przytrafiło - powiedział rzeczowo Jupiter.

Bob zrelacjonował pokrótce, jak doszło do staranowania jego roweru.

- Wydaje mi się, że było ich dwóch. Nie miałem okazji dobrze się im przyjrzeć, a jeżeli chodzi o tablicę rejestracyjną, to zauważyłem tylko, że miała znaki Kalifornii, a numer zaczynał się od pięćdziesiąt sześć. Musimy odzyskać te negatywy.

- Nie mamy pełnego numeru ani nie wiemy, kto jeździ tym samochodem - powiedział Pete. - Więc jak dotrzemy do nich?

- Nawet gdyby się nam to udało, stracilibyśmy parę dni - jęknął Bob, a potem spojrzął na zegarek. - Tata za pół godziny jedzie do redakcji.

Jupiter kiwnął głową.

- Tak, Bob ma rację. Najpierw powinien dostarczyć zdjęcia swemu staremu, a dopiero potem zająć się tymi bandziorami.

Bob i Pete wytrzeszczyli na niego oczy.

- Zzzaraz, zzzaraz, Juuupe - zaczął Pete - przecież to oni mają te zdjęcia.

- Jupe, oni zabrali mi obie rolki! - zauważył Bob.

- Nie - odparł szczerząc zęby Jupiter - nie całkiem. Tak się złożyło, że dziś rano nie miałem nic do roboty, więc zrobiłem komplet odbitek. Kiedy przyjechałeś, Bob, one jeszcze schły, musiałem więc dać ci same klisze.

Mówiąc to Pierwszy Detektyw znikł w fotograficznej ciemni. W chwilę potem ukazał się w drzwiach z plikiem gotowych zdjęć w ręku. Wciąż jeszcze były trochę wilgotne. Pete zareagował na to radosnym okrzykiem, a Bob aż podskoczył z podniecenia.

- Fenomenalnie! Bierzmy je i walmy do mojego staruszka!

- Zaczekaj! - wrzasnął Pete. - Trzeba zobaczyć najpierw, dlaczego tym bandziorom tak na nich zależało! - dodał, biorąc zdjęcia z rąk Jupe'a a potem rozłożył je szybko na biurku.

Bob i Jupiter podbiegli do niego z obu stron i cała trójka pochyliła się nad błyszczącymi obrazkami. Było ich czterdzieści osiem i z trudem pomieściły się na blacie biurka. Ale mimo iż chłopcy starali się nie pominąć żadnego szczegółu, już po chwili zaczęli kręcić głowami.

- Nie widzę nic prócz walczących ze sobą Indian i Wikingów - powiedział Bob.

- Nawet na zbliżeniach, które udało ci się zrobić, widać wyłącznie tych przebierańców i piknikowe zamieszanie - przytaknął mu Pete.

Jupiter pokiwał powoli głową.

- Także na pierwszych ujęciach, które zrobiłeś jeszcze wtedy, gdy byliśmy na oceanie, nie zauważyłem niczego, co nie byłoby widoczne gołym okiem. Jestem jednak pewien, że udało ci się złapać na tych zdjęciach coś, co ci faceci chcieliby zachować tylko do swojej wiadomości. Boją się, żeby się to nie wydało.

- Może chcą zachować w sekrecie, co przywieźli ze sobą na lunch? - zażartował Pete.

- Albo chcieliby mieć te zdjęcia tylko dla siebie - wtrącił Bob. - Jako pamiątki.

- Czy byłby to wystarczający powód, aby taranować cię i spychać na pobocze drogi, a może nawet poranić? - zapytał Pierwszy Detektyw. - To się nie trzyma kupy.

- Ej, chłopaki, może to był ten Sam Ragnarson? - wykrzyknął Bob.

- Wiesz, Bob, mnie też coś takiego przeleciało przez głowę - powiedział Jupiter. - Ale teraz podrzućmy lepiej te zdjęcia twojemu ojcu. Poprosimy go, żeby zrobił nam kopie, a

potem przyjrzymy się im bliżej.

- Jasne, Jupe - zgodził się Bob. - Laboratorium taty przygotowuje nam duplikaty jeszcze na dziś wieczór.

Włożywszy zdjęcia do koperty, chłopcy precyzyjnie przeszli przez Tunel Drugi i wskoczyli na rowery. Tym razem jazda do domu Boba odbyła się bez żadnych nieprzewidzianych przygód. Pan Andrews wsiadał właśnie do swego samochodu na podjeździe.

- Witaj, Bob. Już prawie położyłem krzyżyk na tych zdjęciach - powiedział, wskazując ręką brązową kopertę w rękę Jupitera. - Czyżbyście przywieźli mi gotowe obrazki? Powiedziałem Bobowi, żebyście nie tracili czasu na wywoływanie filmów i robienie odbitek. Niewiele brakowało, a byśmy się rozminęli.

- One były już gotowe, proszę pana - wyjaśnił Jupiter. - Spóźniliśmy się nie z tego powodu.

Bob opowiedział ojcu o swej przygodzie z bandziorami i ich białą furgonetką.

- Tak więc te zdjęcia są jedynymi egzemplarzami, jakie mamy do dyspozycji, tato. Czy mógłbyś poprosić w redakcji, żeby zrobili nam komplet kopii?

- Oczywiście - odparł pan Andrews. - Wykorzystam te odbitki do zrobienia reportażu, a laboratorium wykona dla was duplikaty całej serii.

- Będziemy panu bardzo za to wdzięczni - powiedział Jupiter. - Chcielibyśmy dowiedzieć się, dlaczego ci dwaj faceci tak rozpaczliwie starali się je zdobyć.

Pan Andrews roześmiał się.

- Być może Bob trochę przesadza w ocenie tego, co mu się przytrafiło. Wiecie, chłopcy, on ma wielki pociąg do takich tajemniczych historii. Prawdopodobnie uczestnicy tej zabawy na wyspie chcieli po prostu poprosić go o zdjęcia, które tam zrobił, a on myślał, że go ścigają.

Jupiter westchnął ukradkiem i wymienił porozumiewawcze spojrzenia z kolegami. Był już aż nadto przyzwyczajony do dorosłych, którzy uważali, że chłopcy nie mają w głowach nic innego prócz zabawy w gliniarzy i bandziorów.

- Może jednak, proszę pana... - zaczął, nie tracąc nadziei, że ojciec Boba okaże się wyjątkiem od reguły.

- Ależ ja wcale nie przesadzam, tato! - przerwał mu Bob, który stracił w tym momencie resztkę cierpliwości. - Oni naprawdę próbowali mnie staranować i zepchnąć do rowu!

- No, dobrze, może tak i było - uśmiechnął się pan Andrews, także co nieco wyprowadzony z równowagi. - Lepiej będzie, jeżeli pozwolicie mi teraz zawieźć te zdjęcia do

redakcji, bo inaczej wydawca wyrzuci mnie z pracy! A wieczorem przywiozę wam ich duplikaty.

Rzekłszy to, pan Andrews wszedł do samochodu, włączył tylny bieg i zaczął wycofywać się powoli z podjazdu. Kiedy jego auto znikło w głębi spokojnej, osiedlowej uliczki prowadzącej do autostrady, Bob uśmiechnął się ironicznie.

- Ci dorośli... Piekielne zgreby - rzucił ze złością. - Czasami myślę... chociaż... to, co tata opowiedział o Skale Ragnarsona, było nawet do rzeczy...

Jupiter uśmiechnął się i obrzucił obu przyjaciół wyrozumiałym spojrzeniem, a potem spojrzął na zegarek.

- Co do mnie - oświadczył z przesadnie poważną miną - to doszedłem do dwóch konstruktywnych wniosków. Po pierwsze, Bob ma za sobą wyczerpujące przedpołudnie i zasłużył na dobry lunch. A po drugie, finanse Trzech Detektywów nie wyczerpały się jeszcze na tyle, żebyśmy nie mogli pozwolić sobie na smaczną pizzę...

- Pepperoni z dodatkową porcją sera? - nie dał mu dokończyć Pete.

Jupiter przytaknął skinieniem głowy.

- W czasie lunchu - podjął przerwany wątek - Bob przekaże nam wszystko, czego się dowiedział o Skale Ragnarsona. A potem spróbujemy ustalić parę rzeczy, dotyczących się tego Sama Ragnarsona.

ROZDZIAŁ 6

DZIWNE SPOTKANIE

Miejscem zamieszkania Sama Ragnarsona okazał się zrujnowany domek, położony niedaleko wybrzeża na północnym krańcu Rocky Beach. Zielona niegdyś farba dawno poodpadała, a to, co z niej zostało, poszarzało od słonych bryzgów i braku jakiegokolwiek konserwacji, zaś mały ganeczek zapadł się do połowy w ziemię. Ogródek zarośnięty był zbitym gąszczem nigdy nie przycinanych krzewów ketmi, bugenwilli, dzikiego wina i licznych odmian kaktusa.

- Rany Julek - powiedział Pete. - Nie wiem, czym on się zajmuje, ale na pewno nie jest ogrodnikiem.

- Ani cieślą czy malarzem pokojowym - roześmiał się Bob.

Jupiter z niesmakiem rozejrzał się po zaniedbanym domostwie.

- Rzeczywiście, bałaganik jest niewąski. Ale tam, z tyłu, widać coś, co chyba udaje garaż. Proponuję, żebyśmy sprawdzili najpierw, czy nie ma w nim białej furgonetki, a dopiero potem rozejrzemy się za gospodarzem.

Przymocowawszy łańcuszkami rowery do ogrodzenia sąsiedniej posesji, chłopcy przemknęli chyłkiem przez chaszcze krzewiące się koło bocznej ściany domku i podeszli do garażu. Zbudowany z niemalowanych desek, z których wiele wyglądało na całkiem spróchniałe, znajdował się on w jeszcze gorszym stanie niż dom. W paru miejscach przeświecały między deskami szerokie szpary. Chłopcy przylgnęli do nich, starając się dojrzeć, co znajduje się w środku.

- Chłopaki! - szepnął Pete. - Widzę odkrytego pickupa! Cały poobijany i zardzewiały!

- Zgadza się, Pete, masz dobre oko - kiwnął głową Jupiter.

- Bob, czy to ten furgon cię ścigał?

Bob przyłożył do głowy obie dłonie, aby osłonić oczy przed promieniami popołudniowego słońca, i z uwagą przyjrzał się wnętrzu garażu.

- Nie ten kolor. Tamten gruchot był całkiem biały, a tu widzę coś w rodzaju beżu czy bladego brązu. Karoseria też jest trochę inna. A poza tym, rzuć okiem na tabliczkę rejestracyjną. Nie zaczyna się od pięćdziesiąt sześć.

- Jak by nie było - powiedział trochę zawiedziony Pete - facet także jeździ furgonetką. Może ma jeszcze jedną.

- Rzeczywiście, w garażu jest dość miejsca na jakiś inny pojazd - stwierdził w

zamyśleniu Jupiter. - Mógł wysłać po nasze negatywy jakichś kumpli, którzy pojechali innym samochodem. Chodźmy.

Znalazłszy się z powrotem przed frontem domu, chłopcy skierowali się ku schodkom prowadzącym na zapadnięty, przekrzywiony ganek. Po drodze minęli dwa okna, zasłonięte wyblakłymi, poplamionymi firankami. Jupiter nacisnął dzwonek. Musiał być jednak zepsuty, bo z wnętrza nie doszedł ich odgłos dzwonienia.

Jupiter nacisnął jeszcze raz.

- Prawdopodobnie nie działa - uśmiechnął się Bob. - Właściciel tej rudery wyłączył go ze strachu, żeby mu się chałupa nie zaważyła od wibracji brzęczyka.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było - zgodził się z nim Jupiter, a potem zapukał do drzwi.

Chłopcy nastavili uszu. W środku nadal panowała jednak głucha cisza. Jupiter zastukał głośniejsze.

- Chyba nie ma go w domu - powiedział. - Będziemy musieli przyjechać tu jeszcze raz.

Pete podszedł do okna, mając nadzieję, że uda mu się zajrzeć do wnętrza przez jakąś dziurę w firance. Osłonił oczy i przylepił nos do zakurzonej szyby.

- Ej, szefie! Zdaje się, że coś się tam rusza!

- Jesteś tego pewien? - zapytał Jupiter, starając się także zapuścić żurawia przez okno.

Ciemne wnętrze domku było tak samo zaniedbane i zdewastowane, jak i reszta obejścia. Widać było wyściełane krzesła z wyłazającym z siedzeń i oparców włosiem. Stojąca pod ścianą kanapa straszyla dziurawym obiciem i wystającymi na zewnątrz sprężynami. Środek zajmował długi stół z kilkoma zakurzonymi, drewnianymi krzesłami, w kątach leżały zwalone na kupę podarte dywany. Co tylko można było dostrzec w nikłym świetle, dochodzącym przez zasłonięte okna, było połamane, pogięte albo zdezelowane na wszystkie możliwe sposoby.

- Zwróćcie uwagę na pomieszczenie w głębi - pouczył kolegów Pete.

Poprzez brudne szyby, mimo firanek i panującego w środku mroku, można było dostrzec mglisty cień postaci, chodzącej w kółko po pokoju, zajmującym tylną część domu. Tajemnicza zjawa, kimkolwiek by nie była, zachowywała się w sposób wielce osobliwy. Wymachiwała ramionami, aby w chwilę potem zamrzeć w bezruchu, odwracając jednocześnie głowę w bok. Następnie przykuciała, wpatrując się przed siebie, a potem pochylała się do przodu, jakby gotując się do skoku na jakąś zdobycz. Jej ruchy odznaczały się nienaturalną sztywnością i gwałtownością, niczym u aktorów w dawnych filmach.

- Co tto mmoże być? - wyjąkał Pete. - W każdym razie świetnie działa na apetyt. Mam ochotę skoczyć na hamburgera.

- Jak myślisz, czy to jest Sam Ragnarson we własnej osobie? - zapytał szeptem Bob.

Pete jeszcze bardziej przyłgął nosem do szyby i lepiej osłonił oczy przed odbijanym przez nią światłem.

- Kim by ten pajac nie był, ma na sobie coś w rodzaju uniformu.

- Prawdę mówiąc - wtrącił Jupe, wpatrując się we wnętrze domku - to my wcale nie wiemy, jak ten Sam Ragnarson wygląda. Kiedy stał przed nami na nabrzeżu, nie było go widać spod przebrania.

- Ale ten tutaj nie wygląda na Wikinga - stwierdził Pete.

- Przede wszystkim - powiedział Jupiter - zastanawia mnie to, dlaczego on nie podchodzi do drzwi.

- Może nie usłyszał pukania - podpowiedział Bob. - Za bardzo pochłania go ten taniec świętego Wita. Wpadł w trans.

- Albo zwyczajnie udaje, że nas nie słyszy - mruknął zniecierpliwionym tonem Pete. - Po prostu nie chce otworzyć drzwi. Niewykluczone, że to jakiś czubek.

- Sądziś - szepnął Bob, przełykając ślinę - że on zachowuje się tak, jakby dostał pomieszania zmysłów?

- Proponuję - powiedział rzeczowo Jupiter - żebyśmy jeszcze raz poszli na tyły i zobaczyli z bliska, co się dzieje w tej chałupie.

Okna w tylnej ścianie budynku były jednak zabite deskami. W żaden sposób nie dało się zajrzeć do środka z tamtej strony.

- I co robimy? - zapytał Pete.

Jupiter powoli przeniósł wzrok z zasłaniających okna desek na zamknięte tylne drzwi.

- Nie ma innego wyjścia - powiedział - jak tylko zastukać do tych drzwi, ale tak, żeby na pewno usłyszał. Zobaczymy, może otworzy.

Pete zawahał się.

- Jesteś pewien, że naprawdę chcemy, żeby się pokazał?

- Tak, oczywiście - odparł stanowczo Pierwszy Detektyw.

- Musimy dowiedzieć się, czy temu Samowi coś się nie stało. Albo dowiedzieć się, gdzie go szukać.

Przekonany tymi argumentami Pete zaczął stukać do drzwi. Jego koledzy przyłączyli się do niego po chwili. Nadal bez skutku.

- Czy tam w środku jest pan Sam Ragnarson? - zawołał Jupiter.

- Chcemy porozmawiać o naszych zdjęciach! - starał się go przekrzyknąć Bob.

- To my je zrobi... - zaczął Pete.

Tylne drzwi otworzyły się z hałasem. Chłopcy ujrzeni stojącego w przyćmionym świetle tuż za progiem mężczyznę, wpatrującego się w nich ze złością.

- Skończycie z tym dzwonieniem, waleniem do drzwi i wrzaskami, albo każę was wychłostać przy grotmaszcie!

Człowiek, który wypowiedział tę groźbę, był szczupłym mężczyzną o przenikliwym, szyderczym głosie i całkiem białych, sumiastych wąsach. Jego bladoniebieskie oczy spoglądały spod małego daszka marynarskiej czapki, obszytej złotym otokiem. Miał na sobie obcisły, granatowy płaszcz z wysokim, sztywnym kołnierzem, zapięty aż do kolan na błyszczące, mosiężne guziki. Reszty stroju dopełniały wąskie, granatowe spodnie i sięgające do kostek, czarne, sznurowane trzewiki oraz białe rękawiczki. W ręku trzymał mosiężną, składaną teleskopowo lunetę.

- Chcielibyśmy porozmawiać z panem Samem Ragnarsonem - powiedział Jupiter, starając się nadać swemu głosowi możliwie najbardziej wyniosły, arystokratyczny odcień.

- Nie ma go tutaj.

Rzekłszy to, mężczyzna odwrócił się i odszedł w głąb domu.

- Chcemy się dowiedzieć, czy ma on jeszcze jedną odkrytą furgonetkę - rzucił bez zastanowienia Bob.

- Pomalowaną na biało i całkiem poobijaną - dodał Pete.

Mężczyzna nie raczył nawet odwrócić się w stronę chłopców.

- Powiedziałem, że go tu nie ma - warknął przez ramię.

- Jest bardzo prawdopodobne, miły panie, że Sam Ragnarson ukradł pewną liczbę cennych fotografii - nie dawał się zbić z tropu Jupiter, który zawsze wtedy, gdy ktoś dorosły odnosił się arogancko do niego i do jego kolegów, starał się przybierać istic lordowskie maniery. - Jeśli to zrobił, czekają go poważne kłopoty.

Mężczyzna w granatowym płaszczu znieruchomiał, a potem łypnął przez ramię jednym okiem w stronę chłopców.

- Radziłbym takim wyrostkom jak wy, abyście lepiej uważali, kogo oskarżacie o podobne przestępstwo. Sam Ragnarson jest prawdziwym Wikingiem. Nie wolno stroić sobie z niego żartów, słyszycie? A teraz precz z pokładu, bo inaczej każę przeciągnąć was pod kilem!

Rzuciwszy tę pogroźkę, dziwny mężczyzna zatrzasnął chłopcom drzwi przed nosem.

- Co za wredny typek - stwierdził Pete, wpatrując się ponurym wzrokiem w wyrosłą

przed nim przeszkodę.

- Tak - zgodził się Jupiter. - Ale zastanawia mnie, dlaczego on się w ten sposób zachowuje. Przecież nie pytaliśmy o nic zdrożnego.

- Więc co teraz robimy, szefie? - zapytał Pete. - Czekamy, aż Sam Ragnarson tu wróci? Może popłynął na tę ich skałę i nie pokaże się przez parę godzin?

- Myślę - odparł Jupiter - że najwyższy czas, abyśmy dowiedzieli się czegoś więcej o tych Ragnarsonach i o samej wyspie. Pete, pojedziesz do redakcji tutejszego dziennika i do Izby Handlowej i postarasz się zdobyć jak najwięcej informacji o rodzinie Ragnarsonów.

- A ja - powiedział Bob - skoczę do Muzeum Historycznego i zbadam, co ci Ragnarsonowie mają naprawdę wspólnego z tą Skałą.

- W porządku, Bob, a w takim razie ja pojedę do biblioteki - zakończył to rozdzielanie zadań Jupiter. - Nie mamy żadnej pewności, że to Sam Ragnarson ukradł nasze negatywy, ale nie ulega wątpliwości, że próbował je zdobyć. Chciałbym się dowiedzieć, do czego były mu potrzebne.

ROZDZIAŁ 7

CHODZĄCY DUCH!

Wyszedłszy z budynku mieszczącego redakcję ukazującej się w weekendy gazety Rocky Beach News, Pete Crenshaw jęknął i roztarł dłonią zbolałą szyję. Nie cierpiał tego rodzaju biurowych zajęć, a przyszło mu ślęczeć całe popołudnie nad stosami starych wycinków i wydań. Odetchnął głęboko idącym od oceanu powietrzem, łagodnym jak chylące się ku zachodowi słońce i wskoczywszy na rower, ruszył powoli w kierunku składnicy. Czuł się szczęśliwy, że po kilku godzinach czytania i rozmawiania z ludźmi mógł choć trochę rozruszać zeszytniałe mięśnie.

W warsztacie stał tylko rower Jupe'a. Postawiwszy swój obok tamtego, Pete przecisnął się Tunelem Drugim do zamaskowanej Kwatery Głównej.

- Bob nie przyjechał jeszcze?

- Obawiam się, że w Muzeum Historycznym jest więcej materiału do przejrzania niż tam, gdzie my byliśmy. A tobie jak poszło? Znalazłeś coś ciekawego o tych Ragnarsonach?

- Przede wszystkim odkryłem, że jest ich tu na pęczki - odparł Pete. - Właścicielem tego dużego sklepu żelaznego w południowej części miasta jest niejaki George Ragnarson, a kierownikiem naszej szkoły oczywiście Karl Ragnarson. Doktor Ingmar Ragnarson ma w mieście gabinet dentystyczny, i to on jest ojcem Sama. Dwóch inżynierów o takich nazwiskach pracuje w Los Angeles, a jeszcze inny to księgowy w Ventura. Poza tym spora ich liczba rozrzucona jest po całym stanie. Wszyscy oni przyjeżdżają tu na cały tydzień, żeby wziąć udział w tej improwizowanej bitwie. Zapisałem adresy tych, którzy mieszkają w Rocky Beach. Panuje opinia, że są to sympatyczni, godni zaufania ludzie. Z wyjątkiem Sama...

- A czego dowiedziałeś się o nim? - zapytał z zaciekawieniem Jupiter.

- To czarna owca tej rodziny. Wyleciał z ogólniaka i stał się bezrobotnym włóczęgą. Mimo że ma już dwadzieścia dwa lata, nigdy jeszcze nie podjął żadnej stałej pracy. Żeby coś zarobić, próbował różnych ciemnych interesów. Parę razy stawał przed kolegium dla nieletnich, a raz o mało nie znalazł się za kratkami po dokonaniu jakiegoś oszustwa. Z tego, co wszyscy mówią, to kawał nicponia, jeśli nie gorzej. Myśli tylko o tym, jak zdobyć parę dolców, nie kalając rąk pracą.

- A ja nie dowiedziałem się w bibliotece o wiele więcej od tego, co Bob usłyszał od ojca - podsumował swoje poszukiwania Jupiter. - Knut Ragnarson z takim sukcesem sprzedawał w 1849 roku buty, że postanowił sprowadzić tu z Illinois rodzinę. Wsiadł więc na

statek "Gwiazda Panamy", który miał wziąć kurs na przesmyk panamski. A ponieważ wtedy nie było jeszcze kanału, pasażerowie mieli przedostać się drogą lądową na drugi brzeg i tam wsiąść na inny statek, pływający już po Atlantyku. Tyle że kapitan, którym był niejaki Henry Coulter, miał całkiem inne plany. Na jego statku znajdowało się złoto, które jego właściciele chcieli przewieźć do wschodnich stanów. Były tam monety, wykopane z ziemi samorodki i złoty piasek. Kiedy statek wypłynął z Rocky Beach, kapitan załadował złoto do barkasa, odkręcił zawory denne, żeby zatopić statek, po czym odpłynął wraz z paroma majtkami z załogi, którzy usiedli przy wiosłach.

- Holender, przecież to zwykły bandzior i morderca! Na czym on właściwie opierał nadzieję, że mu się uda? - zamyślił się Pete. - To znaczy, w jaki sposób zamierzał wytłumaczyć się z tego, co zaszło?

- Pewnie postanowił oświadczyć, że statek zatonął i całe złoto poszło na dno razem z nim - odparł Jupiter. - I prawie udało mu się dopiąć celu. Była noc, wszyscy pasażerowie już spali i żaden z nich nie zdołał uratować się przed utonięciem, z wyjątkiem Knuta Ragnarsona. Przeżył tylko on, ponieważ, jak to już wiemy od Boba, lubił spać na pokładzie i udało mu się dopłynąć do tej skalistej wysepki na pokrywie luku.

- O rany, miał facet szczęście! - powiedział Pete.

Jupiter kiwnął potakująco głową.

- Tak, miał go rzeczywiście niemało, i to nie tylko tej nocy. Wysepka jest właściwie jedną wielką skałą, na której nic prawie nie rośnie. Nie ma tu żadnych zwierząt, nie ma wody do picia ani niczego, co by się nadawało do jedzenia. Gdyby nie znalazł indiańskiego czółna, na którym dopłynął jakoś do lądu, byłby skazany na śmierć. Kapitan Coulter wybrał to miejsce na zatopienie statku dlatego, że znajdowało się ono daleko od zwykłych szlaków żeglugowych.

- I czym się to wszystko skończyło dla kapitana i jego ludzi? - zapytał Pete.

- Nie mam pojęcia. Nie znalazłem w bibliotece żadnej wzmianki na ten temat. Dogrzebałem się tylko informacji, że trzydzieści lat temu wnuk Knuta, jakiś Sven Ragnarson, który mieszka w północnej części stanu, odkrył tę skałę na nowo i postanowił uczcić pamięć dzielnego dziadka organizowaniem co pięć lat rodzinnego pikniku i inscenizowaniem bitwy na niby, którą widzieliśmy. Historia z tym indiańskim czółnem podsunęła mu myśl, żeby była to bitwa między Czumaszami i Wikingami o panowanie nad wyspą. Bo tak naprawdę to ci Czumasze nie prowadzili nigdy żadnych wojen. Mimo to pomysł spodobał się wszystkim członkom rodziny Ragnarsonów i od tamtej pory systematycznie spotykają się na tych imprezach.

- A niech to wszyscy diabli! - ozwał się nagle ochryply głos, na dźwięk którego obaj detektywi wzdrygnęli się mimo woli.

Obróciwszy się jak na sprężynie, zobaczyli roześmianą twarz Boba, wyłazącego przez zapadkowe drzwi nad Tunelem Drugim. Tak ich pochłonęła historia nieszczęsnej “Gwiazdy Panamy”, że nie usłyszeli żadnego szelestu.

- Co ty wyprawiasz, Bob? - wykrzyknął Pete, złapawszy oddech. - Może byś wreszcie przestał nam robić takie kawały?

Bob opuścił klapę włazu i wyprostował się.

- Dowiedziałeś się może, co się stało z kapitanem Coulterem? - zapytał Jupe.

- Niestety, nie - odparł Bob. - Od tamtej nocy nikt nie widział ani jego, ani załogi statku, wszelki ślad zaginął też po zrabowanym złocie! Tak jakby kapitan zapadł się ze swymi ludźmi i łupem pod ziemię.

Udzieliwszy tych wstępnych wyjaśnień, Bob opowiedział teraz kolegom, czego jeszcze udało mu się dowiedzieć w Muzeum Historycznym. Z grubsza biorąc, pokrywało się to z informacjami, uzyskanymi w bibliotece przez Jupitera.

- Kiedy Knut Ragnarson dotarł do lądu - powiedział - ani on, ani nikt inny nie natknął się na żaden ślad po kapitanie i złocie. Nie zauważono, aby on sam czy ktoś z jego załogi wylądował na brzegu czy choćby przepływał w zasięgu wzroku. Przypuszczano, że mógł zaczekać na pełnym morzu na jakiś inny statek, który go zabrał. Snuto też domysły, że mógł urządzić sobie na okres oczekiwania kryjówkę na skalistej wysepce, i dlatego właśnie przyłgnęła do niej druga nazwa - “Skała Rozbitków”!

Jupiter z uwagą słuchał relacji kolegi.

- Chcesz powiedzieć, że być może kapitan Coulter i Knut Ragnarson znaleźli się na tej wyspie jednocześnie?

- Tak właśnie sądziło wówczas wiele osób - stwierdził Bob.

- Jest zatem prawdopodobne, że jeśli jeden z nich miał do ukrycia jakieś sekrety, to ten drugi mógł je łatwo poznać - podsumował zdobyte przez kolegę informacje Pierwszy Detektyw. - Dobra robota, Bob. Czy to już wszystko?

- Niezupełnie - odparł Bob, wyciągając z kieszeni bluzy złożoną kartkę. - Znalazłem coś jeszcze. Pozwolili mi nawet zrobić z tego kserograficzną odbitkę.

Kartka, którą trzymał w ręku, okazała się kopią dużej i bardzo starej fotografii wysokiego, sztywno wyprostowanego mężczyzny.

- Takie fotografie nazywano dagerotypami. Człowiek, któremu robiono tego rodzaju zdjęcie, musiał stać nieruchomo przez bardzo długą chwilę.

Jego koledzy nie słuchali go jednak. Z wytrzeszczonymi oczami wpatrywali się w widocznego na odbicie, wysokiego, szczupłego mężczyznę, ubranego w sięgający kolan ciemny płaszcz z wysokim kołnierzem i mosiężnymi guzikami. Człowiek ten miał sumiaste, białe wąsy, a jego blade oczy spoglądały spod marynarskiej czapki z krótkim daszkiem i złotym otokiem. Nie zabrakło też wąskich spodni i sznurowanych trzewików. Ani białych rękawiczek i mosiężnej, teleskopowej lunety.

- To przecież facet, którego niedawno widzieliśmy... - zaczął Pete.

- W domu Sama Ragnarsona! - dokończył Jupiter.

- Wiecie, jak on się nazywa? - zapytał Bob. - To kapitan Henry Coulter, dowódca "Gwiazdy Panamy"!

- Tto jest kkkapitan "Gwiazdy Ppppanamy"? - wyjąkał zdumiony Pete.

Jupiter utkwił wzrok w oczach specja od dokumentacji.

- Bob, jesteś tego pewien? Skąd wytrzasnąłeś tę fotografię?

- Znalazłem ją w książce o niewyjaśnionych zbrodniach, jakie popełniono w Kalifornii. Jeden rozdział poświęcony jest aferze związanej ze zniknięciem "Gwiazdy Panamy". Tam właśnie wyczytałem, że nikt nie widział po tym wypadku ani kapitana Coultera, ani jego załogi.

- Ale przecież - odezwał się niepewnie i cicho Pete - wydarzyło się to przeszło sto lat temu! Kapitan Coulter miałby teraz...

- Afera miała miejsce sto pięćdziesiąt lat temu - poprawił go szybko Jupiter - a to oznacza, że kapitan musiałby mieć w tej chwili około stu siedemdziesięciu lat. Nie zdarzało się w tamtych czasach prawie nigdy, aby ktoś otrzymał ten stopień przed trzydziestką.

- W takim razie - powiedział Pete - facet, którego widzieliśmy, nie mógł być kapitanem Coulterem!

- A przynajmniej żywym kapitanem Coulterem - wtrącił Bob.

- Coś mi się zdaje, że wołałbym nie usłyszeć dalszego ciągu - jęknął Pete.

- Tak, z pewnością nie mógł być żywym kapitanem - potwierdził w zamyśleniu Jupiter. - Możemy więc wyciągnąć z tego trzy wnioski: po pierwsze, zobaczyliśmy kogoś, kto całkiem przypadkowo przypominał kapitana Coultera, po drugie, że ktoś próbuje z jakiegoś powodu wcielić się z jego postać, i po trzecie, że to był duch.

- Powiedziałem wam, że nie życzę sobie słuchać dalszego ciągu - powtórzył jęklwym tonem Pete.

Bob i Jupe nie zwrócili najmniejszej uwagi na skargi nerwowego kolegi.

- Wiesz, Jupe - zwrócił się do przyjaciela Bob - to nie mógł być jednak ktoś, kto

przypadkowo upodobnił się do człowieka z tej fotografii. Nikt nie nosi dziś takich ciuchów. A poza tym, on wyglądał dokładnie tak, jak facet na tym obrazku. To wyklucza przypadkową zbieżność.

- W takim razie chciał celowo upodobnić się do kapitana - stwierdził Jupiter.

- Albo rzeczywiście był chodzącym duchem - powiedział Bob.

- A może Bob sfotografował tego ducha wtedy na skale? - podsunął Pete. - I dlatego Sam Ragnarson chciał zdobyć negatywy? Mógł przecież wpaść w łapy temu duchowi, kiedy łąził po skale, i teraz działa pod urokiem złych mocy!

- Och, Pete, przestań się wygłupiać - zachnął się Jupiter. - Upiorów nie da się sfotografować. A poza tym, duchów nie ma, więc musi to być ktoś, kto próbuje wcielić się w postać kapitana.

- Może to i prawda, że nie można ich fotografować - mruknął do siebie Pete - ale istnieją na pewno. Tyle że ich nie widać.

- Ale, Jupe, po co ktoś miałby się wcielać, jak mówisz, w kapitana "Gwiazdy Panamy"? - dopytywał się Bob.

Jupiter potrząsnął głową.

- Skąd mam to wiedzieć? Sam stwierdziłeś przecież, że to nie może być przypadek.

- Więc może to nie Sam Ragnarson zwędził nam te negatywy? - rzucił śmiałą hipotezę Bob. - Tylko człowiek, który przebrał się za kapitana Coultera?

- Ale przecież tym przebierańcem mógł być Sam - zauważył Jupiter. - Tyle, że mamy wciąż jeszcze za mało danych, aby uzyskać bezbłędną odpowiedź na to i na wiele innych pytań. Musimy kontynuować dochodzenie, żeby dowiedzieć się jak najwięcej i o nim samym, i o pozostałych Ragnarsonach.

- Jak to zrobić, Jupe? - zapytał Bob.

- Jutro przeprowadzimy rozmowy z Ragnarsonami.

- Jupe, myślisz, że wszyscy oni mogą coś mieć na sumieniu? - wykrzyknął Bob.

- Wszystko, co na razie wiemy, kolego analityku, to to, że Sam próbował zmusić nas groźbą do oddania filmów, jacyś dwaj faceci ukradli je po wywołaniu, a ktoś próbuje upodobnić się do kapitana "Gwiazdy Panamy". Nie wiem, po co to robi, ale nie daje mi spokoju jedna sprawa, mianowicie to, co sam powiedziałeś - że po zatonięciu statku nie widziano już nigdy więcej ani kapitana i jego załogi, ani złotego łupu. Być może złoto, zrabowane z "Gwiazdy Panamy", wciąż jeszcze znajduje się gdzieś na tej Skale!

ROZDZIAŁ 8

TRUDNE ROZMOWY

Następnego ranka Bob obudził się później niż zwykle. Uciekanie po całym Rocky Beach przed ścigającą go białą furgonetką zmęczyło go bardziej, niż przypuszczał. Kiedy zbiegł do kuchni na śniadanie, znalazł tam przymocowaną do lodówki kartkę:

Dzień dobry, śpiochu!

Wczoraj obsługiwałem do późnych godzin dla mojej gazety pożar lasu, a dziś muszę z samego rana jechać do redakcji. Przykro mi, że rozminęliśmy się wczorajszego wieczoru. Kiedy wróciłem do domu, byłeś już w łóżku. Poza tym nie zdążyłem wrócić do redakcji, żeby zabrać kopie zdjęć, które ci obiecałem. Przyrzekam przywieźć je do domu dziś wieczorem.

Trzymaj się, kochany, tata

PS Mama pojechała do supermarketu. Kazala mi poprosić cię, żebyś skoczył po bieliznę do pralni, podlał trawnik...

W miarę czytania listu oczy Boba robiły się coraz bardziej szkliste. Odłożywszy kartkę, zjadł szybko śniadanie, a potem zabrał się do wypełniania punkt po punkcie zleconych mu robót. Kiedy dotarł wreszcie do składnicy złomu, było już południe. W warsztacie siedział z ponurą miną Pete.

- Hans musiał iść do dentysty, wuj Tytus poprosił więc Jupitera, żeby pojechał z nim i z Konradem i pomógł przy załadowywaniu ciężarówki.

Hans i Konrad byli braćmi z Bawarii, zatrudnionymi przez wuja Jupitera w składnicy.

- Moglibyśmy zacząć bez Jupe'a - zaproponował Bob.

- Nie wiem nawet, o co pytać tych ludzi - odparł Pete.

- Może po prostu o to, co aż tak ciekawego może być na tej Skale. Albo kto.

Pete nachmurzył się.

- Coś mi mówi, że popełnilibyśmy błąd. Poczekajmy lepiej na Jupe'a.

Czas oczekiwania na szefa upłynął im na drobnych naprawach w warsztacie i w samej Kwaterze Głównej. W końcu rozsiedli się i w milczeniu spoglądali na wiszący na ścianie zegar. Bob zauważył stos porannych gazet, uratowanych przed wyrzuceniem na makulaturę, ponieważ wydrukowano tam ich nazwiska.

- A niech to! - powiedział. - Całkiem zapomniałem o tym panu Manningu. Ciekawe,

czy już go odnaleźli.

Pete pokręcił przecząco głową.

- Mój stary twierdzi, że facet nie umiejący pływać nie miał z pewnością prawie żadnych szans tak daleko od brzegu.

Bob podniósł słuchawkę telefonu.

- Chyba zadzwonię do komendanta Reynoldsa, żeby zapytać go o to. Może jednak William Manning wrócił mimo wszystko zdrowszy i cały do domu.

Musiał odczekać jednak dłuższą chwilę, aż komendant skończy rozmowę prowadzoną z innego aparatu. W końcu usłyszał spokojny głos szefa policji.

- Nie, Bob, obawiam się, że nie ma już prawie żadnych nadziei. Straż przybrzeżna odwołała poszukiwania.

- Ojej, to fatalnie - powiedział ze smutkiem Bob.

W czasie, gdy Bob zajęty był rozmową telefoniczną, Pete zabawiał się zamontowanym w kwaterze peryskopem. Był to kawał zwyczajnej rury od piecyka, w której umocowano dwa lusterka. Można ją było wysuwać przez dach i obserwować podwórze złomowiska i najbliższą okolicę. W pewnym momencie Pete omal nie podskoczył w nagłym odruchu.

- Ciężarówka wraca! Widzę szefa! - zawołał i natychmiast opuścił zmyślne urządzenie. W jednej chwili znalazł się wraz z Bobem na podwórzu.

- Chłopaki, pomóżcie nam rozładować te graty! - wystękał sfatygowanym głosem Pierwszy Detektyw.

Bob i Pete zabrali się żwawo do roboty. W chwilę potem ciężarówka była już pusta. Wuj Tytus zdumiony był tempem, w jakim zniknęły ze skrzyni przywiezione przez niego skarby. Jak zazwyczaj zresztą, tak i tym razem ładunek składał się z nader oryginalnych rupiec. Chłopcy złożyli na podwórzu osiemdziesiąt sześć nóg od fortepianów, części od porzuconego gdzieś tam tak zwanego "diabelskiego młyna", który służył zapewne amatorom mocnych wrażeń w jakimś wesołym miasteczku, trzydzieści jeden stojaków na peruki oraz dziewięć klatek na chomiki. Tak więc już w kilka minut po przyjeździe ciężarówki Trzej Detektywi wyjeżdżali ze składnicy na swych rowerach.

Po króciutkim postoju pod barem sprzedającym hamburgery, Pete poprowadził wzmocnionych "na duchu" kolegów ku południowej części miasta, gdzie znajdowała się hurtownia i wielki sklep żelazny George'a Ragnarsona. Ogromne przedsiębiorstwo zajmowało cały blok między dwoma przecznicami i miało się tak do zwykłych sklepików sprzedających gwoździe i młotki, jak składnica złomu Jonesów do normalnego punktu skupu

surowców wtórnych. George Ragnarson zajęty był właśnie przeglądaniem zapasów w magazynie na zapleczu. Niski, grubawy i niesamowicie ruchliwy, prowadził rozmowę z chłopcami, nie przerywając zajęć.

- No więc, chłopcy, co mogę dla was zrobić?

- Interesuje nas bardzo historia wysepki znanej jako Skała Ragnarsona - powiedział Jupiter, wysunawszy się trochę do przodu. - Nauczyciel historii ze szkoły zadał nam napisanie wypracowania na ten temat i bylibyśmy panu bardzo wdzięczni, sir, gdyby zechciał nam pan opowiedzieć o ewentualnych odkryciach, które być może zrobił pan na niej ostatnio.

- O odkryciach? - George Ragnarson sprawdził szybko kolejną partię towaru na półkach i porównał z rachunkiem, który trzymał w ręku. - O ile mi wiadomo, nie odkryliśmy absolutnie nic prócz tego, że postarzeliliśmy się wszyscy o pięć lat. A ja dostałem ekstra garbu od tych ciągłych kantów, kapujesz, chłopcze? Marzę tylko o tym, żeby znaleźć się tam znowu z całą tą kochaną bandą. Ale jak widzisz, business is business. Na razie nie mam czasu.

- Słyszeliśmy, że znalazł pan, być może, jakiś dowód na to, co stało się z kapitanem Coulterem - ciągnął z niewinną miną Jupiter.

- Z kim? - zapytał George Ragnarson, wpatrując się w górne półki regału i zapisując jednocześnie jakieś liczby w swoim notesie.

- Z kapitanem "Gwiazdy Panamy", sir - powiedział Bob.

- A! Chodzi wam o ten zatopiony statek, którym płynął mój dziadek Knut. Nie, nic nie wiem o losie jego kapitana.

- A może pana bratanek Sam mógłby mieć jakieś informacje na ten temat - rzucił bez zastanowienia Pete.

George Ragnarson przestał pisać i spojrzał spode łba na chłopców.

- Ten wyrodek nie jest żadnym moim bratankiem. Z przykrością przyznaję, że to mój krewny. Jeżeli macie z nim coś wspólnego, nie życzę sobie rozmawiać nawet z wami!

- Nie, proszę pana - pospieszył z wyjaśnieniem Jupiter. - Prawdę mówiąc, nawet go nie znamy. Ostatnio dowiedzieliśmy się tylko, że wyczynia jakieś dziwne rzeczy. Czy wie pan może o jakiejś aferze, w którą mógł się wplątać?

- A czy on przeżył choć jeden dzień bez jakiegoś szwindlu, oszustwa czy kręactwa? Ten bezczelny włóczęga ma to wszystko wypisane na swojej gębie.

- Mieliśmy na myśli coś bardziej konkretnego, sir - wyjaśnił Jupiter. - Być może coś, co ma związek z waszym rodzinnym zlotem.

George Ragnarson prychnął pogardliwie.

- Byłem zdumiony, że ośmielił się tam zjawić. Musicie wiedzieć, że któregoś lata

zatrudniłem go u siebie, a on miał czelność rozpowiadać wszystkim, że ja jestem sknerą, kutwą i dusigroszem. Kapujecie, chłopaki, ja! Ja, który zapłaciłem mu za to, że zamiast pracować, przespał większość czasu tu, w pokoiku na zapleczu!

- W każdym razie ostatnio nie kombinował nic podejrzanego? - zapytał Pete.

- I nie wpadł w jakieś kłopoty z policją czy coś takiego? - dodał Bob.

- Powiedziałem wam, że ten nicpoń uprawiał szwindle przez całe życie i nie ma chwili, żeby nie siedział w kłopotach po same uszy - odparł George Ragnarson. - Tyle, że nie wiem nic konkretnego o żadnej aferze, w którą jest, być może, wplątany dokładnie w tym momencie - dodał niechętnie.

Podziękowawszy mu, chłopcy opuścili magazyn, pomrukując coś tam pod nosem na temat ciemnych sprawek Sama Ragnarsona. Kiedy znaleźli się na ulicy, Pete poprowadził kolegów do gabinetu doktora Ingmara Ragnarsona, ojca niepoprawnego młodzieńca. Lecznica dentystryczna znajdowała się w nowym, dwupiętrowym budynku z żółtej cegły, stojącym przy cichej, wysadzonej drzewami, bocznej uliczce.

W drzwiach gabinetu powitała ich uśmiechem asystentka doktora.

- No, no, cóż to was sprowadza, chłopcy? Niemożliwe, aby całej trójce przytrafił się jednocześnie ból zęba. Któremu z was trzeba pomóc?

- Nie mnie! - wyrwał się Pete, pokazując w uśmiechu dwa rzędy bielutkich ząbków.

- Żadnego z nas nic nie boli - wyjaśnił Bob. - Mamy wstręt do bormaszyny.

- Chcielibyśmy porozmawiać z panem doktorem o jego synu - przedstawił cel wizyty Jupiter. - Jeśli oczywiście zechce poświęcić nam parę minut.

- Którego z synów pana doktora macie na myśli, chłopcy?

- Sama - odparł Pete.

- Tego się właśnie obawiałam - stwierdziła z ciężkim westchnieniem pielęgniarka. - Prawie zawsze chodzi o niego. Zaczekajcie jedną chwileczkę.

Rzekłszy to, nacisnęła guzik w stojącym na biurku aparacie i podniosła słuchawkę, a potem zaczęła do niej mówić spokojnym tonem. Niedługo potem w drzwiach gabinetu ukazał się wysoki mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w biały lekarski kitel. Miał dość niewyraźną minę.

- Powiedzcie, chłopcy, co on znowu zmalował? Ze swą ogorzałą od wiatru twarzą o ostrych, kanciastych rysach i odrobinę zbyt długimi włosami mężczyzna wyglądał tak, jakby dopiero co zszedł z pokładu prawdziwej łodzi Wikingów.

- Nie wiemy, panie doktorze, czy on robi coś złego w tej chwili - wyjaśnił z powagą Jupiter. - Ale może zechciałby pan poświęcić nam kilka minut. Chcielibyśmy zadać panu parę

pytań.

- Czy ja już gdzieś was nie widziałem? - zapytał doktor Ragnarson, przyglądając się z zaintrygowaną miną twarzom chłopców. Nagle rozjaśnił się i strzelił palcami. - Och, oczywiście, to wy robiliście nam zdjęcia na Skale! I jak one się udały?

- Całkiem znośnie - odparł Bob. - Chcemy zapytać pana o parę rzeczy, które mają związek właśnie z tymi zdjęciami.

- Bardzo proszę, wejdźcie do gabinetu.

Rzekłszy to, doktor Ragnarson poprowadził chłopców do typowego dentystycznego gabinetu, wyposażonego w odchylany fotel i wszelkiego rodzaju chromowane przybory stomatologiczne. W fotelu siedział także jasnowłosy mężczyzna, osłonięty po szyję płatem białego płótna.

- To mój brat Karl, chłopcy, który wie na temat Sama prawie tyle samo, co ja. Prawda, Karl?

Cała trójka ukloniła się jak na skinienie kierownikowi podstawówki.

- Proszę pana, my znamy pana Karla Ragnarsona - powiedział śmiało Bob. - Chodzimy do szkoły, której jest kierownikiem.

- Także Sam był moim uczniem - powiedział Karl Ragnarson, a potem skrzywił się lekko, przykładając jednocześnie dwa palce do dolnej szczęki. - I co, kochany doktorze, czyżbyś zamierzał znećać się przez cały dzień nad tym zębem? Chciałbym zdążyć na kolację przy ognisku na Skale. Dam radę?

- Ci chłopcy chcieli zapytać o jakieś sprawy dotyczące Sama - odparł doktor Ragnarson. - Ale możemy przecież rozmawiać, nie przerywając borowania, no nie? - dodał, biorąc do ręki jakieś narzędzie, a potem pochylił się nad szeroko rozwartymi szczękami swego brata. - Powiedzcie mi, chłopcy, dlaczego właściwie interesujecie się moim synem?

W odpowiedzi Jupiter wyrecytował przeciwioną już opowiastkę o specjalnym wypracowaniu szkolnym na temat rodziny Ragnarsonów, po czym dodał, że uszu chłopców doszły wieści o tym, jakoby Sam miał robić jakieś dziwne rzeczy i mógł popaść nawet w kłopoty.

- Sam bez przerwy wyczynia jakieś dziwne rzeczy - zauważył doktor Ragnarson - ale już od ładnych paru lat nie miał żadnych poważniejszych problemów. Zgadza się, Karl?

- Garrgggh-ruggghhhhh - odpowiedział mu jękliwy charkot dobywający się z gardła kierownika szkoły. Pracujący w jego otwartych ustach doktor z lusterkiem w jednej i ostrym szpikulcem w drugiej dłoni musiał niechcący urazić bolące miejsce.

- Uch! Przepraszam cię, Karl- powiedział dentysta. Pan Karl spojrzał na swego brata.

- Tak, od czasu tego kolegium dla nieletnich nie zarzucono mu nic poważnego. To prawda, że niezły z niego miglanc, ale on przeważnie robi więcej krzywdy samemu sobie niż innym.

- Sam to ktoś w rodzaju takiej czarnej owcy, która woli nie trzymać się stada i chodzić samopas - podjął doktor, sięgając ręką po wielką strzykawkę do znieczulania - ale tak naprawdę jest całkiem nieszkodliwy, zgadza się, Karl?

- Można by powiedzieć, że zdania na ten temat są co najmniej podzielone - odparł kierownik szkoły, spoglądając z niepokojem na długą, stalową igłę strzykawki. - Co do mnie, to zgodziłbym się z opinią, że przypomina on pieska, który dużo i głośno szczeka, ale mało gryzie.

- Pan George Ragnarson ma na jego temat całkiem inne zdanie i niedawno powiedział nam o tym - wtrącił Pete.

Doktor pokręcił z powątpiewaniem głową.

- George nigdy pewno nie wybaczy Samowi, że tak gonił jego synka, kiedy obaj mieli po około dziesięć lat, że ten musiał uciekać przed nim na drzewo. A co do tej historii z zatrudnieniem Sama, bo jestem pewien, że opowiedział wam o tym, to zapewniam was, że za takie pieniądze, jakie ten kutwa płaci swym ludziom, ja także nie robiłbym nic innego, tylko spał na zapleczu, ile tylko by się dało.

I jakby dla uwydatnienia wagi wygłoszonej kwestii, doktor wbił nagle igłę strzykawki w dziąsło Karla i nacisnął tłoczek.

-Aaaahhhhhhhhhhh! - wrzasnął nieszczęsny pacjent, chwytając się kurczowo oparcie fotela. - George rzeczywiście nie ma opinii człowieka zbyt szczodrego - powiedział po chwili trzęsącym się głosem.

- Tak, to jedyny członek naszej rodziny, który w czasie tych spotkań nie urywa się z pracy na cały tydzień - dodał dentysta, zwracając się do chłopców. - Pokazuje się tylko raz albo najwyżej dwa razy.

- A dlaczego obaj panowie nie jesteście tam teraz? - zapytał Jupiter.

- Wyższa konieczność. Właśnie kiedy tam byliśmy, Karla rozboleł ząb.

Nagle od strony poczekalni dały się słyszeć jakieś podniesione głosy. Ktoś sprzeczał się z siedzącą tam przy biurku sekretarką doktora. Przez chwilę pan Karl zdawał się wsłuchiwać w te hałasy, a potem popatrzył na chłopców.

- Czy chcielibyście wiedzieć coś konkretnego, chłopcy? - zapytał, cedząc słowa. Jego usta zdążyły już zdrętwieć pod działaniem nowokainy.

- Słyszeliśmy, że na Skale dzieją się jakieś dziwne rzeczy - strzelił na ślepo Bob.

- Powiadacie, że... - zaczął doktor Ragnarson.

Młodzieniec o markotnej twarzy, który w tym momencie wtargnął do gabinetu, był szczupły i niewiele wyższy od Pete'a. Miał na sobie obszarpane dżinsy i wybrudzoną podkoszulkę z krótkimi rękawami. Był boso, a jego twarz domagała się maszynki do golenia.

- Tato... - zawołał od progu, ale na widok Trzech Detektywów zamilkł z szeroko otwartymi ustami. - Co oni tu robią? Założę się, że oskarżają mnie o jakieś niestworzone rzeczy. A ja chciałem tylko odkupić od nich zdjęcia. Jeżeli powiedzą ci o czymś jeszcze, będzie to bezczelne kłamstwo.

- Zdjęcia? - powtórzył doktor Ragnarson. - Do czego były ci potrzebne ich zdjęcia?

Młodzieniec zaczerwienił się.

- Ja... ja miałem tylko zamiar zrobić wszystkim niespodziankę, żeby każdy miał pamiątkę po tej zabawie.

Stojąc tak bez włochatego odzienia Wikinga, bez hełmu z rogami i sztucznej brody, Sam Ragnarson wyglądał o wiele młodziej i zdawał się być dużo niższy.

- O chym chy chłopchy mieliby chłamac, Ham? - wybełkotał kierownik szkoły.

- Że potraktowałem ich brutalnie i gonilem za nimi po całym mieście w złych zamiarach! - odparł z gniewnym błyskiem w oczach Sam. - Zapewniam cię, stryjaszku, że nic takiego nie zrobiłem. Chciałem tylko kupić te zdjęcia, żeby je porozdawać uczestnikom naszego zlotu - dodał, uśmiechając się przymilnie do stryja.

- Jeżeli nic nie zrobiłeś - zauważył zgryźliwie doktor Ragnarson - to skąd wiesz, że oni oskarżyli cię o cokolwiek?

Sam zaczerwienił się znowu.

- Ja... sam rozumiesz... nietrudno się domyślić, co takie szczeniaki mogły tu nagłędzić.

Doktorowi wyrwało się ciężkie westchnienie.

- Wiesz co. Sam? Nigdy nie potrafiłeś zręcznie kłamać. Bo jeżeli chodzi o tych chłopców, to jak dotąd nie powiedzieli ani słowa, które by było wymierzone przeciwko tobie. Obawiam się, że pogrążasz tylko sam siebie tymi protestami.

Sam Ragnarson wytrzeszczył oczy na stojących bez ruchu chłopców.

- Pochynghelech pchepchosich chych chłofchóff - próbował bohaterstwo wydusić ze swych zdrętwiałych ust pan Karl.

Doktor Ragnarson uśmiechnął się szczerząc zęby i wziął do ręki końcówkę bormaszyny.

- Karl, może lepiej będzie, jeżeli pomilczysz. Otwórz szerzej usta, zabieramy się do roboty.

- Przeprosiny nie będą potrzebne, proszę pana - stwierdził z posępną miną Jupiter. - Nie jest wykluczone, że on ma na sumieniu coś o wiele gorszego niż kłamstwo. Bo wczoraj ktoś nam ukradł nasze fotografie. Jacyś dwaj mężczyźni w starym i poobijanym, białym pickupie. Staranowali jadącego na rowerze Boba i zepchnęli go na pobocze, a potem zabrali negatywy.

- Niczego nie ukradłem! - odparował ze złością Sam Ragnarson.

- Ale pan był jedynym człowiekiem, który żądał od nas tych zdjęć! - powiedział Bob.

- A w dodatku strasznie się panu gdzieś spieszyło - dodał Jupiter.

Sam Ragnarson znowu wpadł we wściekłość.

- Jesteście kłamcy! - wrzasnął z całej siły.

Doktor Ragnarson obrzucił chłopców niespokojnym spojrzeniem. Karl z takim samym niepokojem utkwiał wzrok w kołyszącym się w ręku dentysty wiertle. Po chwili doktor odwrócił się twarzą do syna.

- Sam, jesteś pewien tego, co mówisz? Zdaje się, że rzeczywiście chciałeś mieć te zdjęcia.

- Nie wiem nawet, gdzie mieszkają te szczeniaki!

- On mógł nas śledzić tamtego wieczoru, kiedy wracaliśmy z ryb - powiedział Pete.

- Poinformowałem go, że zdjęcia są przeznaczone dla dziennika mojego taty - zaznaczył Bob. - A on usłyszał nasze nazwisko i z łatwością mógł się dowiedzieć, gdzie mieszkamy. Złodzieje czekali wczoraj rano przed naszym domem.

Na twarzy doktora Ragnarsona pojawił się jeszcze większy niepokój. Karl wciskał się coraz głębiej i głębiej w fotel, nie odrywając oczu od wiertła.

- W każdym razie ja niczego nie ukradłem - powtórzył Sam. - Kiedy to się wydarzyło?

Usłyszawszy odpowiedź któregoś z chłopców, Sam roześmiał się z triumfującą miną.

- Byłem w tym czasie na Skale! Możesz im to potwierdzić, ojczule!

Doktor Ragnarson skinął potakująco głową.

- To prawda, chłopcy, wczoraj Sam był z nami na wyspie.

Jeżeli dobrze pamiętam, to dojechaliśmy tam razem około jedenastej rano.

- Mógł nasłać na nas swoich dwóch kumpli, żeby go w tym wyręczyli! - nie ustępował Pete.

- No, wiecie, chłopaki, posuwacie się chyba trochę za daleko - odparł powątpiewającym tonem doktor Ragnarson, przybliżając wiertło do otwartych ust pana Karla.

- Łydaje chię hę Ham heft niełinny - próbował wybronić swego bratanka Karl, który prawie całkiem zniknął w głębinach fotela. - Chałaffimy chię łrechcie f fym kšębem, chy nie?

- Prawdopodobnie ma pan słuszość, sir - powiedział spokojnie Jupiter, starając się nadać swej twarzy wyraz całkowitej obojętności. - Przykro nam, panie doktorze, że zakłóciliśmy panu wypełnianie pańskich obowiązków. Chodźcie, chłopaki, będziemy musieli poszukać tego złodzieja gdzie indziej.

Doktor Ragnarson włączył elektryczny silnik wiertarki. Jupiter pospiesznie popchnął Boba i Pete'a w kierunku drzwi. W chwilę potem byli już na dworze. Bob przeciągnął pytającym wzrokiem po trochę zbyt puco... pełnych policzkach szefa.

- Jupe, dlaczego poddałeś się tak łatwo?

- Myślisz, że to nie on zwędził nam te zdjęcia? - dołączył do niego Pete.

- To jest bardzo prawdopodobne - stwierdził Jupiter - ale nie jestem jeszcze całkowicie o tym przekonany. Musimy najpierw dokładnie wykapować, dlaczego temu Samowi tak strasznie zależało na naszych zdjęciach. Jeżeli to on zabrał negatywy, to pewnie zrobił to dlatego, że nie chciał, aby ktokolwiek inny zobaczył coś, co musiało zostać na nich uwiecznione.

Powiedziawszy to. Pierwszy Detektyw spojrzał na zegarek.

- Już po czwartej. Proponuję, żebyśmy pojechali teraz do Boba. W każdej chwili może wrócić do domu jego ojciec z kompletem kopii tych zdjęć.

- No to walimy! - powiedział Pete, wskazując na swój rower. - Im prędzej przyskrzynimy tego Sama Ragnarsona, tym więcej sprawi mi to przyjemności.

W chwilę potem chłopcy pedałowali zgodnie spokojną, boczną uliczką w kierunku domu Andrewsów. Jadący na czele Pete nadawał mocne, równe tempo.

- Chłopaki! - rozległ się nagle ostrzegawczy szept jadącego na końcu Boba.

Jego dwaj koledzy obejrżeli się. Do skrzyżowania, które dopiero co minęli, podjeżdżał właśnie na motocyklu Sam Ragnarson. Już z daleka wpatrywał się w nich rozwścieczonym wzrokiem.

- Ja was oduczę, gnojki, wtrącania się w moje sprawy! - rzucił im przez zaciśnięte zęby.

ROZDZIAŁ 9

FACECI W MASKACH

Chłopcy nacisnęli, ile sił, na pedały, ale warkot motocykla przybliżył się. W chwilę potem dudniąca maszyna wyprzedziła Boba i przecięła mu drogę. Chłopiec rozciągnął się jak długi wraz z rowerem na przylegającym do ulicy trawniku.

- Tylko nie to! - wrzasnął spec od dokumentów i analiz. - Wystarczy raz!

- Pierwszy! - krzyknął Sam Ragnarson, spoglądając spode łba w jego kierunku, a potem podkręcił gaz i pomknął za Jupe'em i Pete'em, minął ich, zakręcił i z grzmotem silnika ruszył prosto na obu chłopców. Jupiter skręcił szybko w bok i przejechał kilkanaście metrów po wyboistej ścieżce, ginącej w eukaliptusowym zagajniku, wpadł prosto na potężną kopę zakurzonych liści tych drzew.

- Drugi! - ogłosił triumfalnie Sam.

Rozwścieczony Pete zatrzymał się i odwrócił w jego kierunku w chwili, gdy tamten podkręcił znowu rączkę gazu, aby powtórzyć poprzedni manewr. Schyliwszy się po leżącą na ziemi grubą gałąź eukaliptusa. Drugi Detektyw zaparł się obiema nogami o ziemię, nie schodząc z roweru, i czekał na nowy atak. Rozzłoszczony Sam, który zakręcił właśnie przed najbliższą przecznicą, zawahał się, mierząc wzrokiem potężny konar w rękę chłopca i jego zdecydowaną minę.

- Co masz zamiar zrobić za pomocą tego patyczka, dzieciaku? - zawołał z daleka.

- Zobaczą, co mi się uda - odkrzyknął mu Pete.

Sam roześmiał się.

- No, no, dwóch załatwionych z takiej dzielnej trójki to całkiem niezły wynik. Od tej chwili macie siedzieć wszyscy w domu i bawić się zabawkami, rozumiecie? Bo jak nie, to możecie wpaść w prawdziwe kłopoty.

Rzuciwszy tę groźbę, Sam jeszcze raz zawrócił swym motocyklem i z grzmotem silnika odjechał. Pete odrzucił gałąź i natychmiast popędził do miejsca, w którym zostali jego obaj koledzy. Bob włókł się, utykając na jedną nogę, przez trawnik oddzielający pobliskie domy od jezdnii, zaś Jupiter otrząpywał się z liści i kurzu, oglądając z uwagą swój sponiewierany rower.

- Co za bezczelny typek - wysapał Jupiter. Podrażnione ostrym zapachem eukaliptusa nozdrza nie wytrzymały i Pierwszy Detektyw wydał z siebie potężne kichnięcie. Przez chwilę jego koledzy obawiali się, że szef rozleci się na kawałki.

- Doprowadził mnie do białej gorączki - powiedział Pete. - Myślałem, że wyjdę z siebie. Nic się wam nie stało, chłopaki?

- Wygięła mi się trochę obręcz w przednim kole, ale chyba dojadę jakoś do domu - odparł Bob. - Coś mi się zdaje, że w tym tygodniu nie powinienem w ogóle wsiadać na rower.

- Będę śmierdział tym eukaliptusem przez najbliższych pięć lat - zauważył Jupiter - ale poza tym nic mi chyba nie jest. Proponuję, żebyśmy się pozbiali i ruszyli dalej. Może staruszek Boba już jest w do... O rany!

W tej samej chwili krępy szef zgranej trójki rozciągnął się jak długi i... szeroki na ziemi, zagrzebując się znowu w kopie eukaliptusowych liści! Coś trzepnęło go w plecy.

- Padnij! - wrzasnął Pete do Boba. Obaj chłopcy przyłgnęli plackiem do trawnika.

- To znowu ten Sam! - krzyknął Bob.

Sapiąc i wymachując kończynami. Pierwszy Detektyw zaczął wygrzebywać się spomiędzy długich, oblepionych kurzem liści. Ktoś, kto zobaczyłby go w tym momencie, mógłby go wziąć za wieloryba, którego fale wyrzuciły na brzeg. Uniósłszy głowę, aby rozejrzeć się za napastnikiem, Pete nie wytrzymał i roześmiał się na całe gardło, a potem zerwał się na równe nogi, krzywiąc z niesmakiem usta.

- To był tylko gazeciarz!

Obejrzawszy się, Bob i Jupe zobaczyli oddalającego się na rowerze chłopaka z przewieszoną przez plecy torbą wypchaną gazetami. Roznosiciel gazet uśmiechnął się do nich przepraszająco. Bob zerwał się z miejsca.

- To gazeta mojego taty! Trzeba sprawdzić, czy wydrukowali te zdjęcia! - wykrzyknął, schylając się po złożony egzemplarz, który z podmuchem wiatru sfrunął właśnie z leżącego na ziemi Jupitera. Szybko zerwał opaskę i rozłożył gazetę na chodniku. Jupiter i Pete podbiegli i pochylili się nad jego plecami.

- Są! - ogłosił triumfalnie.

Chłopcy przyłgnęli oczami do barwnego reportażu, przedstawiającego zlot rodziny Ragnarsonów i pozorowaną bitwę na skalistej wyspie. Nie zawracając sobie głowy czytaniem komentarza, skupili się wyłącznie na sześciu wydrukowanych w gazecie zdjęciach. Przez dłuższą chwilę przyglądali się przebierańcom udającym groźnych Wikingów i broniących się Czumaszów, tak jakby mieli nadzieję dojrzeć gdzieś u ich stóp stos zrabowanych monet i sztabek złota. W końcu Bob pokręcił z rezygnacją głową.

- Nie widzę tu nic, co mogłoby niepokoić tego Sama. Widać tylko całą tę wesołą bandę, rozbieganą tak, jakby była złożona z jakichś szaleńców.

- Nic, rzeczywiście - przytaknął mu Pete. - Chyba, że martwią go te rybitwy albo

może tłusta foka, którą widać po lewej stronie. To śmieszne, ale nie przypominam sobie, żebym ją tam widział.

- Obiektyw często łapie rzeczy, których się nie dostrzega przy robieniu zdjęcia. Człowiek jest zbyt skupiony na tym, co chce sfotografować, aby zauważyć jeszcze, co znajduje się po bokach. Ale obiektyw to dostrzega - wyjaśnił Jupiter z miną kardynała, celebrującego wielkanocne nabożeństwo. - Ale ja też nic tu nie widzę - dodał po chwili ze znacznie skromniejszą miną. - Nic, prócz tych Ragnarsonów, skał, oceanu i bezchmurnego nieba.

- No, tak - stwierdził rzeczowo Bob - ale w reportażu umieścili tylko sześć zdjęć. A ja zrobiłem ich czterdzieści osiem, więc to, czego szuka Sam, znajduje się, być może, na którymś z pozostałych. Walmy do mojej chałupy, a jak tata przywiezie resztę, obejrzymy je dokładnie.

Z powodu buksującego koła w rowerze Boba i nękających Jupitera napadów kichania od kurzu i zapachu eukaliptusowych liści, którym przesiąknięte było jego ubranie, chłopcy pokonali resztę drogi w zwolnionym tempie. Przez cały czas rozglądali się za Samem Ragnarsonem, ale nigdzie nie było śladu po nerwowym młodzieńcu. W końcu dojechali do przecznicy, przy której stał dom rodziców Boba. Kiedy skręcili w nią, usłyszeli dochodzące z głębi krzyki.

- Czego ode mnie chcecie, łobuzy? Zabierać się stąd!

- To mój tata! - krzyknął Bob.

O parę domów dalej chłopcy zobaczyli pana Andrews, opierającego się plecami o swój samochód, zaparkowany na podjeździe. Tuż przed nim stało dwóch zamaskowanych mężczyzn. Ojciec Boba trzymał w ręku dużą kopertę w żółte i czarne prążki z napisem ZDJĘCIA.

- Chłopaki, przędzej! - wrzasnął Pete. - Oni polują znowu na te fotografie!

Nie czekając na odpowiedź kolegów barczysty Drugi Detektyw rzucił swój rower na ziemię i popędził w kierunku pana Andrews i atakujących go dwóch mężczyzn w narciarskich kominiarkach. Tuż za nim ruszył Bob, za którego plecami sapał z wysiłkiem Jupiter. Jeden z napastników usłyszał tupot ich butów po chodniku i obejrzał się szybko przez ramię.

- Na pomoc! - wrzasnął nie przerywając biegu Pete. - Na pomoc, łapać złodzieja! Krzyczcie, chłopaki!

- Ratunku! - zawtórował mu Bob.

Pan Andrews również usłyszał ich wołania i na moment przestał opędać się

napastnikom. Jeden z nich wyrwał mu kopertę, po czym obaj ruszyli biegiem przez ulicę ku czekającej po drugiej stronie białej, poobijanej furgonetce z zapuszczonym silnikiem. Byli oddaleni od niej mniej więcej tak samo, jak Pete, który skręcił na pełnej szybkości i w biegu zaatakował mężczyznę uciekającego z kopertą. W chwilę potem zwałił się na nich obu Bob.

- Luuudzie! Na pomoc! - wrzasnął ze wszystkich sił Jupiter.

W stojących przy spokojnej zawsze uliczce domach zaczęły się otwierać okna i drzwi. Pojawiło się kilku sąsiadów. Zamaskowany mężczyzna wyrwał się Pete'owi i Bobowi, po czym błyskawicznie wskoczył do kabiny furgonetki. I zanim ktokolwiek mógł temu przeszkodzić, furgonetka ruszyła z piskiem opon, skręciła na pełnym gazie na najbliższym rogu i znikła.

- Nasze zdjęcia! - jęknął Jupiter.

Pete z triumfalnym błyskiem w oczach uniósł w odpowiedzi żółto-czarną kopertę.

- Tym razem nie zdołali ich capnąć!

- Dobra robota, Pete! - powiedział Bob, klepiąc go po ramieniu.

- Tato, nic ci się nie stało? - dodał po chwili, ruszając biegiem w kierunku stojącego po drugiej stronie ulicy ojca.

- Nic, na szczęście - odparł pan Andrews. - Ale, u diabła, co to wszystko ma znaczyć?

- To dalszy ciąg tego, co próbowałem ci wyjaśnić wczoraj - odparł trochę poirytowanym głosem Bob. - Ci faceci chcą nam wyrwać zdjęcia, które zrobiłem na Skale Ragnarsona.

Pan Andrews pokiwał smutno głową.

- Mam nadzieję. Bob, że nie gniewasz się na mnie, ale rzeczywiście dopiero teraz uwierzyłem w to, co powiedziałaś.

- Och, nie szkodzi, tato. Powiedz nam lepiej, co tu się stało. Pan Andrews zabrał się do przedstawienia chłopcom wypadków sprzed kilkunastu minut.

- Wracając do domu, zauważyłem ten stary wrak, ale nie zwrócił on mojej uwagi niczym szczególnym, jeżeli nie liczyć poobijanych błotników. Miałem ze sobą obiecane kopie zdjęć. Wysiadając z samochodu, wziąłem kopertę i właśnie wtedy ci zbóje napadli na mnie, żeby mi ją wyrwać. Czy któryś z was zapisał numery tego grata?

- Holender, tato, zapomniałem o tym na śmierć - przyznał ze wstydem Bob.

- Tablica pokryta była błotem - zrelacjonował swe obserwacje Pete. - Ale ja też nie mogłem dobrze się im przyjrzeć. Zauważyłem jednak coś innego. Jeden z tych facetów miał wytatuowaną rusałkę na lewym przedramieniu!

- Brawo, Pete! - powiedział Jupiter. - To świetny trop.

Wymieniwszy własne spostrzeżenia chłopcy zaczęli wypytywać mieszkańców sąsiednich domów, czy któryś z nich nie zapisał numeru rejestracyjnego albo nie zauważył u zamaskowanych mężczyzn czegoś charakterystycznego. Wyniki tej indagacji były jednak bardzo mizerne. Dostrzeżono tylko to, że jeden z napastników był wyższy od drugiego i że obaj mieli na sobie stare dzinsy, robocze koszule i ciężkie buciory. Ponieważ ich twarze ukryte były w całości pod narciarskimi kominiarkami, nikt nie potrafił opisać, jak wyglądali.

- Nie odezwali się do mnie ani słowem - uzupełnił swą relację pan Andrews. - Po prostu wyskoczyli z furgonetki i rzucili się na mnie, żeby mi wyrwać kopertę. Odniosłem wrażenie, że byli dość muskularni, ale to już wszystko, co zdołałem zaobserwować.

Sąsiedzi zaczęli się rozchodzić. Chłopcy pobiegli po porzucone kilkanaście metrów dalej rowery, a potem poszli za panem Andrewsem do jego domu. Pani Andrews obejrzała ich dokładnie, czy nie doznali jakichś obrażeń, ale znalazła tylko niewielkie zadrapanie na ramieniu Pete'a. Opatrzywszy je środkiem dezynfekującym, stwierdziła, że mieli dużo szczęścia, wychodząc bez szwanku z przygód, które ich spotkały.

- Rzućmy okiem na te zdjęcia - ponaglił kolegów Jupe - zanim zdarzy się coś nowego.

Bob i Pete otworzyli kopertę i rozłożyli czterdzieści osiem kolorowych prostokątów. Zajęły cały stół do kawy w saloniku i jeszcze parę krzeseł.

W tym momencie do saloniku wszedł pan Andrews.

- Zadzwońmy właśnie na policję - powiedział. - Będą tu niedługo. Jeżeli na tych zdjęciach nie ma czegoś, co oni powinni zobaczyć, pozbierajcie je, proszę, i znajdźcie sobie jakiś inny kącik.

- Słusznie - powiedział Jupe. - Zabierzemy je do naszej Kwatery Głównej.

Pozbierawszy je z powrotem, chłopcy popędzili na dwór, żeby jeszcze raz wskoczyć na rowery. Bob zapomniał naprostować skrzywione koło, szybko jednak znalazł zapasowe w garażu. Kiedy zabrał się do wymienienia koła, Jupiter zmarkotniał nagle.

- Jupe, czym się tak zmartwiłeś? - zaniepokoił się Pete.

- Coś mi w tym wszystkim nie pasuje - odparł szef dzielnej trójki. - Ci dwaj zamaskowani faceci mogli dowiedzieć się tylko z popołudniowej gazety, że zabierając nam czterdzieści osiem negatywów, nie zabrali nam wszystkiego. Ale Sam Ragnarson był w gabinecie swego ojca w tym samym czasie co i my, a potem próbował nas nastraszyć na motocyklu, więc w jaki sposób mógł zdążyć przejrzeć na czas gazetę i przysłać tu tych zbiorów, jeszcze zanim my tu dotarliśmy?

- Nie miał żadnej szansy, żeby to zrobić - stwierdził Bob, dokręcając śruby po założeniu zapasowego koła. - W naszych rękach znalazło się pierwsze wydanie gazety.

Musiałby skontaktować się z tymi dwoma już po tych szaleńczych atakach na nas i wysłać ich pod nasz dom, żeby zaczaili się na mojego tatę, a na to z całą pewnością nie miał dość czasu.

- Więc jaki z tego wniosek, szefie? - zapytał Pete.

- Taki, że albo Sam zdążył przejrzeć gazetę wcześniej, niż my to zrobiliśmy, albo na te zdjęcia poluje jeszcze ktoś inny!

- Co ty, Juve? - zapytał Bob. - Dlaczego miałby polować na nie jeszcze ktoś inny? Ja przecież nie fotografowałem nic innego prócz tych przebierańców na wyspie.

- Tak, kolego analityku, zadaję sobie to samo pytanie: dlaczego? - odparł Jupiter, marszcząc w zamyśleniu czoło. W chwilę potem wypogodził się jednak. - Odpowiedź musi się kryć w tych zdjęciach - stwierdził pewnym siebie głosem. - Wszystko, co nam pozostało do zrobienia, to obejrzyć je dokładnie i znaleźć na nich klucz do całej zagadki.

Bob dokończył mocowania koła i wskoczył na rower.

- W takim razie nie traćmy czasu i jedźmy je oglądać, chłopaki!

Droga powrotna do składnicy złomu przebiegła piorunem i bez żadnych przykrych niespodzianek. Kiedy wjechawszy na podwórze skierowali się do warsztatu, z biura wyszła ciocia Matylda i zawołała za nimi:

-Wróciliście wreszcie, obwiesie. Jest u mnie ktoś, kto chciałby z wami porozmawiać. Tym razem wpadliście jak śliwka w kompot!

ROZDZIAŁ 10

CIEMNOŚCI PEŁNE STRACHÓW

Z drzwi baraczkę mieszczącego biuro wyszedł w ślad za ciocią Matyldą kierownik podstawówki, Karl Ragnarson.

- Musieliście porządnie nabroić, nicponie, żeby fatygować aż tutaj kierownika waszej szkoły - powiedziała ciocia tonem zwiastującym, że to nie przelewki. W jej oczach można było dostrzec przekorne iskierki.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Jones - zwrócił się do niej pan Ragnarson - to chciałbym porozmawiać z chłopcami na osobności.

- Nic, absolutnie - odparła ciocia Matylda i uśmiechnęła się do trzech "nicponi". - Mogliby wskazać panu drogę do tego ich warsztatu, w którym ukrywają się przede mną całymi godzinami. Tylko niech się pan nie da nabrać na te niewinne buzie i słodkie oczy. Jeżeli nabroili, to powinni dostać za swoje!

Rzekłszy to, ciocia Matylda wycofała się, chichocząc pod nosem, do swego biura i zamknęła drzwi. Chłopcy poprowadzili kierownika szkoły do warsztatu. Usiadłszy na uratowanym od złomowania starym obrotowym fotelu, pan Ragnarson uśmiechnął się. A raczej wykrzywił koślawo usta, najwidoczniej odrętwiałe wciąż jeszcze po niedawnych zabiegach stomatologicznych.

- Nie gniewajcie się, chłopcy, jeżeli trochę was zaniepokoiłem, ale nie chciałem, aby ktokolwiek dowiedział się, dlaczego tu jestem. Nawet wasza ciocia.

- Założę się, panie kierowniku, że chodzi o Sama! - wyrwał się Pete.

- A ja mam nadzieję, że Sam nie ma z tym nic wspólnego - odparł pan Karl. - W każdym razie muszę stwierdzić, że zaniepokoiłem się mocno po tym, co usłyszałem dziś od was, ponieważ na naszej Skale dzieją się jakieś dziwne rzeczy!

- Co się tam stało? - zapytał pełnym podniecenia głosem Jupiter.

- Przez ostatnie dwie noce słyhać było jakieś niesamowite odgłosy, przypominające wycie dzikich zwierząt, a także śmiechy, do których nie przyznał się nikt z moich krewniaków. Poza tym można było dostrzec jakieś cienie, jakby duchy, i dziwne błyski, dochodzące nie wiadomo skąd.

- Jakiego rodzaju były te... duchy? - zapytał lekko zaniepokojony Pete.

- Jeden z nich przypominał topielca okrytego morskimi wodorostami, drugi natomiast wyglądał jak kapitan jakiegoś dawnego żaglowca i miał na sobie długi oficerski płaszcz z

mosiężnymi...

- ...guzikami, sięgający kolan, a poza tym obcisłe spodnie i małą czapkę ze złotym szamerowaniem! - dokończył Jupiter.

- A w rękę trzymał mosiężną, teleskopową lunetę, zgadza się?

- Tak, dokładnie tak! - Pan Karl z podziwem spojrział na krągłe oblicze Pierwszego Detektywa. - Jupciu, skąd dowiedziałeś się o tym?

- Widzieliśmy tego ducha na własne oczy, proszę pana - odparł Jupiter, a potem opowiedział o spotkaniu z dziwną postacią w domku Sama Ragnarsona. - Czy to już wszystko, co pan tam zaobserwował?

Kierownik szkoły potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie. Zaginęło nam parę rzeczy. Latarka, myśliwska finka, kilka kocy, długa kurtka, kempingowa kuchenka i sporo jedzenia, a nawet puszki z piwem. Oczywiście, zaginięcie tych rzeczy nie musi mieć związku z upiorami i hałasami, o których wspomniałem wcześniej, ale nie można tego wykluczyć.

- A pan podejrzewa zapewne, że to Sam zwędził te brakujące rzeczy - zauważył Bob.

- Zwędził i posprzedawał - kiwnął głową pan Karl. - Kiedy rozmawialiście z Ingmarem, przyszło mi do głowy, że być może zrobiliście Samowi przypadkowe zdjęcie w chwili, gdy on coś nam podkładał, korzystając z tego, że jesteśmy zajęci pozwaniem do waszych aparatów fotograficznych!

- Dlaczego pan przyszedł nam to powiedzieć?- zapytał Jupiter.

- Te hałasy i "duchy" napędziły mnóstwo strachu dzieciom, a nawet dorosłym. Wiele osób unika spędzania nocy na wyspie, co robiliśmy zwykle do tej pory. To nam kompletnie rujnuje całotygodniową zabawę. Jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie w ogóle zrezygnować z tych spotkań. A jeśli tym złodziejaszkiem jest rzeczywiście Sam, może udałoby się wam, chłopcy, powstrzymać go na czas, zanim nie posunie się za daleko albo nie zrobi czegoś naprawdę głupiego.

Powiedziawszy to, kierownik szkoły przeciągnął wzrokiem po twarzach chłopców. Na jego ustach pojawił się tajemniczy półuśmiezek.

- Bo ja, kapujecie, chłopcy, ani przez chwilę nie wierzyłem w tę historyjkę ze szkolnym wypracowaniem. Doskonale wiem, że wasza nauczycielka historii, panna Hanson, nie zadała wam na wakacje żadnej pracy domowej.

Trzej Detektywi zaczerwienili się odrobinę, spuszczać przy tym oczy.

- Słyszałem też - ciągnął kierownik - o waszych detektywistycznych wyczynach. Szef policji, pan Reynolds, wyrażał się z wielkim uznaniem o waszej umiejętności rozwiązywania

zagadek, którym nie dali rady jego ludzie. Przyszedłem tu do was dlatego, że moim zdaniem wy już teraz prowadzicie dochodzenie w sprawie Sama.

- Zgadza się, proszę pana - stwierdził Jupiter. - Oto nasza wizytówka - dodał, a potem wyjął z kieszeni na piersiach mały kartonik i wręczył go panu Karłowi. Widniały na niej takie oto informacje:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

Kierownik szkoły uśmiechnął się i skinął głową.

- Myślę, że to jest dokładnie to, czego potrzebuję. A więc mogę uważać, że wynająłem was do wyjaśnienia dziwnych zjawisk na Skale Ragnarsona? Może powinienem wręczyć wam małą zaliczkę? - zapytał, a potem zrobił uroczystą minę. - Żeby zadośćuczynić wszelkim wymogom formalnym...

- O rany! - wrzasnął Pete. - Ma pan na myśli prawdziwą forszę?

- Dziękujemy panu, ale to nic nie będzie pana kosztować - pospieszył z wyjaśnieniem Jupiter. Jego dwaj koledzy rzucili mu zawiedzione spojrzenia. - Ze względu na niefortunny wymóg w prawie stanowym, dotyczący się wieku, nie można nas zatrudnić w charakterze licencjonowanych detektywów - stwierdził, kręcąc smutno głową. - Tak więc wykonujemy nasze usługi bezpłatnie, dla własnej przyjemności. Proponuję, żebyśmy przyjrzeni się tu, w warsztacie, zdjęciom, które przywieźliśmy ze sobą. Może pan Karl dostrzeże coś, co nam by umknęło?

Kierownik szkoły pomógł chłopcom w rozkładaniu na prowizorycznym stole czterdziestu ośmiu odbitek. Całą czwórką pochylili się nad nimi, nie dostrzegli jednak nic, co byłoby w sposób oczywisty podejrzane.

- Skąd mamy wiedzieć, który z tych Wikingów jest Samem? - zapytał z zakłopotaną miną Pete. - Dla mnie wszyscy oni wyglądają prawie jednakowo.

- Tylko on ma hełm z ochraniaczem na nos - wyjaśnił pan Karl. - O, to jest Sam - dodał, wskazując palcem włochatego wojownika.

Chłopcy doliczyli się szesnastu fotografii, na których dało się stwierdzić obecność Sama. Na większości z nich brał on udział w ogólnej zabawie, walcząc z Czumasami o

panowanie nad Skałą, pożywiając się przy ognisku, strojąc miny do aparatu Boba. Tylko na dwóch zachowywał się odmiennie.

- Robiłem te zdjęcia jedno po drugim - powiedział w zamyśleniu Bob.

Na dwóch ujęciach Sam znajdował się samotnie, z dala od reszty towarzystwa, bawiącego się wesoło na skalnej wyniosłości. Na pierwszym z nich pochylał się nad czymś, czego nie można było zidentyfikować. Drugie przyłapało go w chwili, gdy spoglądał z przestraszoną miną w górę, wyciągnąwszy przed siebie rękę, tak jakby coś w niej trzymał.

- Co on tu kombinuje? - zamyślił się głośno Bob.

- Jedną rzecz na pewno - zauważył Pete. - Widzi, że Bob wycelował aparat prosto na niego.

- Tak - zgodził się Jupiter - nie ulega wątpliwości, że zdał sobie sprawę, że w tym momencie robimy mu zdjęcia. Ale pozostaje wciąż do wyjaśnienia, co on tam robi schylony nad ziemią, tak daleko od całej ferajny?

- Może coś ukrywa? - podsunął pan Karl.

- Albo zakopuje to, co zwędził? - dodał Bob.

Jupiter kiwnął potakująco głową.

- Każda z tych wersji jest prawdopodobna. Myślę, że powinniśmy teraz wybrać się osobiście na tę skałę. Będziemy mogli przypatrzeć się tym "duchom" i przysłuchać odgłosom, może też uda się nam odkryć, dlaczego z obozowiska znikają różne rzeczy i z jakiego powodu nasze zdjęcia są tak ważne dla kogoś tam.

- Nie ma sprawy, Jupciu - powiedział pan Kart. - Będziemy tam wszyscy dziś wieczorem, może tylko oprócz tych, którzy przestraszyli się tych dziwnych zjawisk.

- Ale jak myślisz, Juve, czy Sam się nie pokapuje, że tam jesteśmy? - zapytał zaniepokojony trochę Pete. - Jeżeli to on jest sprawcą wszystkich tych kłopotów i zauważy nas, będzie się zachowywał przez cały wieczór jak niewiniątka.

- Biorę to na siebie - stwierdził pan Karl. - Większość z nas przyjeżdża na wyspę w strojach Wikingów albo Czumasów, a bywa tam też paru przyjaciół, których nikt nie zna. Dam wam więc po prostu kostiumy i powiem wszystkim, że jesteście moimi kolegami. Będziecie mogli zjeść z nami kolację i przenocować.

- W takim razie umowa stoi - powiedział Jupiter. - Powiemy naszym rodzicom, że zostaniemy na wyspie na całą noc, zapakujemy walkie-talkies, latarki i śpiwory i, powiedzmy, za godzinę spotkamy się z panem na przystani.

- Będę miał ze sobą kompletne stroje dla każdego z was. Przygotujcie się na szampańską noc!

ROZDZIAŁ 11

SYLWETKA WE MGLE

Sunąca po ciemnej powierzchni wody motorówka przybiła do brzegu w maleńkiej zatoczce. Piaszczysta plaża i skały skąpane były w blasku, bijącym od wielkiego ogniska i w księżycowej poświacie. Poruszający się wokół ognia ludzie rzucali fantastyczne cienie, które zdawały się tańczyć w mrokach nocy. Światło płonących szczap dochodziło aż do wody i ułatwiło Karłowi Ragnarsonowi i Trzem Detektywom dotarcie do miejsca, nadającego się do wylądowania. Kierownik szkoły i Pete wyskoczyli jako pierwsi i wyciągnęli łódź na plażę.

- Karl, to ty? - zagrział od strony ogniska głos doktora Ingmara Ragnarsona.

- Tak, we własnej osobie. Przywiozłem trzech gości.

- Świetnie, świetnie. Zawsze znajdzie się u nas miejsce dla nowych Wikingów i Czumaszów - powiedział dentysta. Miał na sobie pełny strój skandynawskiego wojownika.

Chłopcy skierowali się za panem Karlem do świetlnego kręgu wokół ognia. Ich obecny protektor miał na sobie długie spodnie i koszulę z kozłej skóry, przystrojoną szklanymi paciorkami. Wzorem Czumaszów wyprawiających się na wojnę, pomalował sobie twarz ciemną farbą. Bob i Pete ubrani byli w skandynawskie tuniki i hełmy Wikingów, nie zapomnieli też o sztucznych brodach. Nieśli tarcze i broń. Bob dźwigał długi miecz, a Pete - wojenny topór. Jupiter podązał na końcu, ukryty pod obszerną szatą z kozłej skóry i drewnianą, barwnie pomalowaną maską czumaskiego szamana. Pierwszy Detektyw nie czuł się dobrze w tym kostiumie.

- Zdaje mi się - mruknął niechętnie, włożywszy to wszystko na siebie - że jestem chodzącą górą.

- Nie mieli pod ręką stroju Wikinga, który pasowałby na ciebie - uśmiechnął się Pete, szczerząc zęby. - Może, gdybyś odstawił te ciasteczka w czekoladzie, jak ci mówi...

- Wyglądasz świetnie, Jupciu - powiedział pan Karl. - Szaman był najważniejszą postacią u Czumaszów wstępujących na ścieżkę wojenną.

- Zawsze chciałeś być sztukmistrzem, szefie - dodał Bob, starając się ukryć uśmiech na widok człapiącego ociężałego Jupitera, który co chwila przydeptywał sobie długą szatę, wypatrując drogi przez otwory groteskowej maski.

- Wiecie, jaką sztuczkę mam na myśli w tym momencie? Hokus-pokus, żeby znikło dwóch bladeńskich wesołków pogroził im palcem nadmiernie obciążony szef dzielnej trójki. - Wcale nie wyglądacie na takich znowu mocarzy w tych szlafrokach zjedzonych przez mole i

puszkach po kiszonych ogórkach!

Bob i Pete popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Dwaj Ragnarsonowie roześmiali się także, a zduszony chichot dobiegł nawet spod mamuciej, drewnianej maski. W chwilę potem wszyscy znaleźli się koło ogromnego ogniska, gdzie doktor Ragnarson przedstawił chłopców jako znajomych Karła, którzy przybyli tu, żeby powiększyć grono uczestników zabawy. Przywitały ich oklaski i wesołe okrzyki jakichś piętnastu osób, zgromadzonych wokół ognia, po czym wręczono im natychmiast porcje pieczeni z różną, kaczany prażonej kukurydzy, fasolkę w sosie pomidorowym i sałatę, wszystko to na tekturowych talerzykach.

- Rozglądajcie się za Samem - szepnął Bob.

- I zwracajcie uwagę na wszystko, dokładnie wszystko, co może się wam wydać podejrzane - dodał szeptem Jupiter, któremu jakimś cudem udawało się dotrzeć z mięsem i fasolką do ust przez wycięty w masce otwór gębowy.

Zajawszy miejsca w kole otaczającym ognisko, chłopcy zaczęli przyglądać się obecnym. Przebrani za Wikingów lub Czumaszów uczestnicy pikniku zajadali kolację, przyrządzoną na żarzących się obok ogniska węglach. Na krawędzi światła padającego od ognia widać było rzędy namiotów, rozbitych na sięgającej brzegu wyniosłości.

- Zauważyliście Sama? - zapytał szeptem Pete.

- Jeszcze nie - odszepnął mu Bob. - Ale widzę właściciela tego magazynu z żelastwem.

George Ragnarson siedział po drugiej stronie ogniska. Był w swoim zwykłym ubraniu i zajadał właśnie ogromną porcję pieczeni z fasolką.

- Tylko on się nie przebrał - zauważył Jupiter.

Przy ognisku panował pogodny nastrój. Wszyscy rozprawiali z ożywieniem, opowiadając anegdoty wzbudzające kaskady śmiechu. Parę osób miało ze sobą gitary i akordeony, ktoś inny zaczął nucić jakąś piosenkę. W chwilę potem przyłączyli się do niego pozostali. Jedną po drugiej wybrzmiewały stare skandynawskie pieśni i folkowe melodie amerykańskie. Chłopcy przyłączali się do tych śpiewów, jeśli tylko znali słowa, a jeśli nie, to starali się nucić samą tylko melodię. I właśnie w trakcie kolejnej piosenki rozległ się nagle szept Boba.

- Tam!

Jupiter, Pete i pan Karl spojrzeli we wskazanym kierunku.

- Tak, to Sam - odszepnął kierownik szkoły.

- Zastanawiam się, gdzie on był do tej pory - zamyślił się Jupiter.

- Zdaje się, że nadszedł od strony namiotów - powiedział Bob.

W takim samym stroju Wikinga, w jakim chłopcy widzieli go tamtego dnia, gdy zaczepił ich na nabrzeżu, Sam przyłączył się do kręgu osób siedzących przy ognisku i ich śpiewów. Zdawało się, że wydiera się tak samo głośno, jak cała reszta. Śpiewy nie umilkły z chwilą, gdy ostatni biesiadnicy dokończyli kolacji i powyrzucali talerzyki i plastikowe sztucce do ustawionych przy brzegu pojemników na śmieci. Kiedy zrobiło się chłodniej i wyspę zaczęła zasnuwać gęsta, idąca od oceanu, nocna mgła, wiele osób, a pośród nich także George Ragnarson, odpłynęło w kierunku lądu. Chłopcy starali się dotrzymać kroku rozśpiewanemu towarzystwu, nie spuszczać przy tym oka z Sama Ragnarsona.

- On obżera się tylko i śpiewa - zauważył Pete.

- Rzeczywiście, najadł się chyba na cały miesiąc - dodał Bob.

- Może mylicie się co do Sama, chłopcy - powiedział pan Karl. - Możliwe, że kłopoty, o których wam mówiłem, to sprawka kogoś innego. Albo czegoś innego.

- To może być ktoś inny - zgodził się z nim Jupiter. - Ale musiałyby to być któraś z osób przebywających tu, na wyspie.

- A co pan miał na myśli, mówiąc "czegoś innego"? - zapytał Pete.

- To, że hałasy i dziwne zjawy mogły być wynikiem jakiegoś złudzenia albo zjawiska naturalnego - wyjaśnił pan Karl. - Może były to jakieś figle światła i dźwięku... No a brakujące rzeczy mogły zaginąć z powodu zwykłego zbiegu okoliczności. W zamieszaniu, jakie tu panowało.

Jupiter chciał potrząsnąć głową, ale jego jaskrawo pomalowana, drewniana maska zakotłowała się tylko niezdarnie.

- Byłoby to strasznie dużo przypadkowych zbiegów okoliczności. Nie, jestem przekonany, że te zdarzenia tworzą jeden ciąg, a my musimy stwierdzić, co je łączy i co się za tym wszystkim kryje.

- Jupe! - rozległ się nagle szept Pete'a. Drugi Detektyw wpatrywał się ponad ogniskiem w miejsce, w którym jeszcze chwilę temu siedział i śpiewał Sam Ragnarson.

- Zniknął! - wykrzyknął przyciszonym głosem Bob.

Przy ognisku pozostały już tylko cztery osoby, prócz chłopców i Karla Ragnarsona, ale żadna z nich nie była nawet podobna do Sama! Jupiter zerwał się z miejsca tak żwawo, jak tylko mu na to pozwoliła ciężka maska. Jego zbytnio tu i ówdzie zaokrąglone ciało zaplątało się w fałdzistą szatę czumaskiego szamana.

- Biegiem, chłopaki! - ponaglił kolegów głosem zduszonym przez maskę, która przekręciła mu się na bok. - Ale najpierw niech któryś wyprostuje mi tę wstrętną maskarę!

Bob i Pete umieścili maskę na miejscu, pękając przy tym ze śmiechu. Skończywszy z tym, cała trójka wymknęła się z jasnego kręgu światła i zanurzyła w oparach mgły, dryfującej powoli w nikłych odblaskach księżycowej poświaty. Chłopcy biegiem minęli rozstawione w paru rzędach namioty i znaleźli się na płaskim terenie, ciągnącym się prawie do końca długiej na około półtora kilometra wyspy. Zobaczyli przed sobą poruszającą się żwawo postać Wikinga, częściowo przesłoniętą gęstniejącą mgłą.

- To on - szepnął cicho Pete. - Poznaję strój, który miał na sobie dwa dni temu.

Majająca we mgle, podobna do cienia sylwetka zmierzała ku zachodniemu cypłowi wyspy, gdzie wznosiła się gigantyczna skała, przypominająca w świetle księżyca jakieś ogromne zwierzę. Prócz niej nie było po tej stronie wyspy nic więcej, jeśli nie liczyć gęstych krzaków, rosnących u jej podnóża.

- Dokąd on tak pruje? - zastanawiał się Bob.

- Gdzie by to nie było - stwierdził z ponurą miną Jupiter - wali szybko i prosto do celu.

Chłopcy starali się poruszać za mającą we mgle postacią tak szybko i ostrożnie, jak tylko byli w stanie, gotowi przypaść do ziemi, gdyby maszerujący przed nimi osobnik odwrócił się. Na szczęście nie zrobił tego ani razu. Kierował się prościutko ku wielkiej skale, a w pewnym momencie...

- Zniknął! - wykrzyknął zduszonym głosem Pete.

Tam, gdzie jeszcze chwilę temu Sam Ragnarson pędził co tchu w grubym kaftanie ze sztucznego futra i hełmie z rogami, chłopcy ujrzeli nagle kłębiące się tylko mgiełki. I nic więcej!

ROZDZIAŁ 12

STATEK - WIDMO

- Po prostu wyparował! - krzyknął Bob.

- To niemożliwe - stwierdził Jupiter, rozglądając się po skąpanej w srebrzystym, księżycowym świetle bezdrzewnej wyspie, pełnej snujących się leniwie mgielek.

- W takim razie gdzie on się podział, szefie? - chciał koniecznie wiedzieć Pete.

- Na pewno nie wdrapał się na tę skałę - zauważył Bob.

- Może dostał skrzydeł i przefrunął nad nią - podsunął złośliwie Pete.

- Ludzie to nie ptaki, kolego, a on nie miał na głowie czapki-niewidki - upierał się Jupiter. - Musi tu gdzieś być jakaś kryjówka, w której się schował, i dał nogę, kiedy my nie mogliśmy go obserwować.

Rzekłszy to, Jupiter zdjął ciężką maskę, a potem pochylił się prawie do ziemi i zaczął obchodzić niedużym kołem miejsce, w którym zniknął Sam Ragnarson. Bob i Pete ruszyli za nim, przepatrując wąskie pasy terenu po obu jego bokach. Księżyc to ukazywał się, to znów znikał na przemian z mgłą.

Pete jako pierwszy znalazł strzęp sztucznego futra.

- Co to może znaczyć, szefie?

Pete oglądał właśnie wysoki na około półtora metra, gęsty krzak jałowca, jeden z wielu rosnących wokół wschodniego podnóża skały.

Jupiter wydobył spod fałdów swojej szaty małą latarkę i skierował jej światło na jałowiec. Wokół strzępka futra widać było kilka złamanych gałązek, a tuż za krzakami chłopcy zobaczyli wąską, pustą przestrzeń między nimi i skałą, tworzącą coś w rodzaju naturalnego tunelu, prowadzącego na lewo!

- To z całą pewnością przypomina kawałek stroju Wikingów - zadumał się Jupiter, obracając w palcach pęczek sztucznego włosia. - Jest tu nawet kawałek materiału. Według mnie został on wyrwany z kaftana któregoś z tych przebierańców. No a Sam mógł nam z łatwością umknąć, biegnąc tym tunelem.

Tym razem Jupiter poprowadził kolegów wąskim przejściem, ukrytym między krzakami jałowca i stromo wznoszącą się ścianą wielkiej Skały, zakrzywioną w tym miejscu ku południowi. Po niecałych dwudziestu metrach od miejsca, w którym znaleźli strzęp futra, krzaki się skończyły i chłopcy znaleźli się znowu w księżycowym świetle i oparach mgły. Usłyszeli dochodzący z bliska szum przyboju.

- Holender, nie uszliśmy daleko - zauważył Pete.

- Ale jemu to wystarczyło, żeby zniknąć nam z oczu i wyłonić się w tym miejscu, którego nie mogliśmy widzieć za tym skalnym wybrzuszeniem - stwierdził ponuro Jupiter. - Teraz już wiemy, jak on nam "zniknął".

- Ale co się z nim stało? - zdziwił się Pete, rozglądając się na wszystkie strony.

Znajdowali się na wąskim wrzosowisku, porośniętym krzewami jałowca, między południową ścianą wielkiej skały i klifowymi skałkami, opadającymi stromo ku morzu. Kamienisty, bezdrzewny teren pocięty był małymi parowami.

- Pełno tu dołków i żlebów - zauważył Bob. - Mógł się ukryć w którymś z nich.

- Ale powiedz, Jupe, po co miałby to robić? - zapytał Pete, wciąż jeszcze zaintrygowany tajemniczym zniknięciem Sama. - Zdaje się, że nie miał przy sobie niczego, co mógłby zwędzić przy ognisku.

- To jest właśnie problem - pokiwał głową Jupiter. - Poza tym, on gdzieś tu musi być. Nie mógł przecież odejść daleko, bo wyspa kończy się już tutaj. Musimy się rozdzielić i poszukać go. Używajcie latarek jak najoszczędniej. Nie powinien nas zobaczyć.

- Jupe ma słuszość - stwierdził Bob. - Złapaliśmy go w pułapkę. Nie zwieje stąd tak łatwo.

Nie zwlekając, chłopcy rozdzielili się niczym policjanci w starym filmie o Sherlocku Holmesie, przeszukujący wrzosowisko w poszukiwaniu psa Baskervillów. Nad wyspą wciąż unosiły się mgły, gęstniejące tu i ówdzie, to znów rozwiewające się od podmuchów morskiej bryzy. Także księżyc przesłaniały co chwilę małe obłoczki. Przepatrzwszy zagłębienia i skałki, znaleźli się wkrótce na zachodnim cyplu wyspy, kończącej się małą zatoczką, osłoniętą przed wodami Pacyfiku wąskim klinem lądu od strony południowej i wrzynającym się w morze występem wielkiej skały od północy.

- Zgubiliśmy go - powiedział Pete.

- Rzeczywiście na to wygląda - potwierdził smutno Jupiter, a potem poprowadził przyjaciół na wąski cypel lądu. Jednak i tam nie było żywego ducha.

- I co teraz robimy, szefie? - zapytał Bob, wpatrując się w pustą, zasnutą mgłami zatoczkę.

- Wracamy do miejsca, w którym zniknął Sam Ragnarson, żeby poszukać czegoś, co mogło umknąć naszej uwadze. A jeśli i tam nic nie znajdziemy - ciągnął bohatercko Jupiter z wnętrza swej śmiesznej maski - pójdziemy z powrotem do ogniska, żeby zobaczyć, czy sami Ragnarsonowie czegoś nie odkryli.

Rozejrzawszy się jeszcze raz po nikoło oświetlonym otoczeniu, zawrócili, aby przebyć

z powrotem znaną im już drogę i - zamarli w bezruchu.

Na samym brzegu zatoczki zobaczyli przykucniętą, ciemną sylwetkę, a jednocześnie rozbłysnął ku morzu snop światła z potężnej latarki!

Zaczęli z zapartym tchem przyglądać się, jak promienisty strumień błądzi pośród kłębiących się mgieł niczym poszukując czegoś długi palec. Od morza nadleciał wiatr, rozwiewając na moment mgliste opary, które już po chwili zgęstniały znowu. Świetlny jęzor opuścił zatoczkę i zaczął nagle penetrować otwarte morze.

- Jupe, tam! - przeszył nagle powietrze ostry szept Boba.

W mocnym świetle latarki ukazały się kontury statku, kołyszącego się na mrocznych, nocnych falach pełnego morza. Ukazywał się i znikał w miarę, jak błędzący wokół wyspy wiatr przepędzał i nawiewał nowe kłęby mgły. Z jedyne go masztu zwisały szare i sfatygowane, pełne dziur żagle. Z pokładu wystawały szare windy fałowe i bloki. Mgliste kontury ukazywały się i znikały w świetle latarki, przywodząc na myśl jakiś upiorny statek-widmo.

- Ccco to tttakiego? - wyszeptał poblady z przejęcia Bob.

- To chyba... chyba... - próbował zaspokoić jego ciekawość Jupe.

Ale zanim chłopcy zdążyli dobrze się mu przyjrzeć, widmowy statek zniknął im z oczu. Przez moment jego niewyraźna sylwetka unosiła się na szczycie fali, aby zatopić się we mgle i zniknąć na dobre!

Latarka zgasła także.

- Za mną, chłopaki - rzucił Pete, ruszając w dół po skalnych występach w kierunku piaszczystego brzegu zatoczki.

Nocną ciszę przeszył nagle niski dźwięk, przypominający warczenie dzikiego zwierza. A potem ozwał się groźny głos:

- Ni kroku dalej, kanalie, szelmy!

Chłopcy stanęli jak wryci, zadzierając głowy. Z górującego nad zatoką skalnego występu spoglądał na nich, spowity kłębami mgły, kapitan Coulter, dowódca "Gwiazdy Panamy". Stał wyprostowany w swym długim, granatowym płaszczu z mosiężnymi guzikami, w wąskich spodniach i szamerowanej złotem czapce, unosząc rękę z wycelowanym w nich chudym, kościstym palcem.

- Łotry! Szubrawcy! Nocne włóczęgi! - syknął groźnie.

W jego wychudłej jak u kościotrupa dłoni błysnął długi sztylet. W tej samej chwili upiorna zjawa ruszyła w kłębach mgły ku skamieniałym w bezruchu chłopcom.

- Wiejemy, chłopaki! - krzyknął Pete.

Tym razem nawet Jupiter nie dał się prosić dwa razy.

ROZDZIAŁ 13

SAM ZJAWIA SIĘ ZNOWU

Wymknąwszy się z wąskiego cypla. Trzej Detektywi ominęli Skałę szerokim łukiem tak, aby upiorny prześladowca nie przeciął im drogi. W szaleńczym pędzie do bezpiecznego obozowiska na drugim końcu wyspy Pete'owi spadł helm, a Jupiter zgubił maskę. Tylko Bob dotarł na miejsce w kompletnym stroju Wikinga.

Kiedy byli już niedaleko ogniska, spotkali Karla i Ingmara Ragnarsonów, którzy wybiegli im naprzeciw. Na ich twarzach malował się niepokój.

- Gdzie byliście, chłopcy? - zawołał kierownik szkoły. - Szukaliśmy was dosłownie wszędzie!

- Śledzi... liśmy... Sama - wysapał zdyszany Pete.

- Wymknął się stąd - dodał Jupiter, starając się złapać oddech. - kiedy wszyscy zajęci byli czym innym... no i...

- Widzieliśmy statek! - wykrzyknął Bob.

- I dducha - zająknął się Pete.

- No i jakiegoś faceta z latarką - dokończył to wyliczanie Jupiter.

Pan Kart uniósł rękę uspokajającym gestem.

- Opowiedzcie wszystko po kolei, chłopcy.

- A więc, proszę pana - zaczął Jupiter, wciąż jeszcze ciężko dysząc - zorientowaliśmy się, że Sam zniknął w chwili, gdy patrzyliśmy w drugą stronę. Pobiegliśmy za nim i zobaczyliśmy, że idzie na drugi koniec wyspy, w kierunku Skały. - Pierwszy Detektyw zrobił krótką pauzę dla zaczerpnięcia powietrza, a potem wysapał resztę przygód na zachodnim cyplu.

- To samo, co i przedtem! - wykrzyknął pan Karl.

- Z wyjątkiem statku-widma - poprawił go doktor Ragnarson.

- Tak - powiedział pan Karl. - To musiał być "Latający Holender".

- Latający kto? - zapytał Pete. - Co to takiego?

- "Latający Holender" - wyjaśnił trochę zbyt napszonym tonem Jupiter - to taki statek, o którym opowiada stara legenda. Według niej pewien kapitan pełnomorskich statków został skazany za jakieś złe uczynki na wieczne żeglowanie, bez możliwości zatrzymania się czy zawinięcia do portu, dopóki jakaś niewiasta nie ofiaruje mu swojego życia. Jest nawet opera na ten temat.

- I film - wtrącił Bob. - Widziałem go kupę lat temu.

Pete wzdrygnął się i przełknął ślinę.

- Chcecie powiedzieć, że to był tylko duch statku?

- Nie, Pete, Karl tylko tak żartował - powiedział doktor Ragnarson. - A wiesz co, Karl? Zamiast żartować i opowiadać historyjki, może powinniśmy pójść i sprawdzić, co tak naprawdę chłopcy mogli tam zobaczyć.

- Zaprowadźcie nas tam, chłopcy - powiedział pan Karl.

- Pete, Bob - powiedział Jupiter - będziecie pokazywać drogę.

- Jasne - odparł z niewyraźną miną Pete. - Bob, będziesz szedł jako pierwszy!

Specjalista od dokumentacji spojrział trochę spode łba na swych kolegów, ale odważnie ruszył naprzód.

Wzmagająca się nocna bryza prawie zupełnie przegnała mgłę, toteż wyprawa, mając za sprzymierzeńca jasno świecący księżyc, szybko dotarła do miejsca, w którym zniknął poprzednio Sam Ragnarson. Bob opowiedział, w jaki sposób udało się im znaleźć strzęp sztucznego futra, a potem przedostać naturalnym tunelem między jałowcami i skałą na rozpościerające się za nim wrzosowisko.

- Mieliśmy pewność, że Sam nie zawrócił w kierunku ogniska - wyjaśnił Jupiter - więc poszliśmy dalej, przeszukując po drodze wszystkie małe rozpadliny i krzaczki, ale nikogo nie znaleźliśmy.

- Aż do momentu, kiedy zobaczyliśmy światło latarki w zatoce - wtrącił Bob. - No i ten statek na morzu...

- I ducha kapitana Coultera, który zjawił się niemal tuż nad naszymi głowami! - dokończył Pete z lekkim wzdrygnięciem.

- W porządku, chłopcy - stwierdził pan Karl. - Prowadźcie teraz tą samą drogą, którą szliście poprzednio.

Chłopcy zanurzyli się w nie tak już mroczne jak przedtem ciemności. Rosnący wiatr podnosił bryzgi morskiej wody od wałącego o niskie, klifowe skałki przyboju. Znalazszy się na wysuniętym w morze cypelku nad małą zatoczką, rozejrzeli się naokoło, nie dostrzegli jednak nic podejrzanego. Wyraźnie rysowała się rozfalowana powierzchnia oceanu u wyjścia z zatoki, wolna już teraz od mgły, nigdzie jednak nie było śladu po widmowym statku.

- Nie widać nawet światła pozycyjnych - powiedział doktor Ragnarson, wyżejając oczy osłonięte dłonią. - Nie ma tam żadnego statku, chłopcy.

Rozejrzawszy się jeszcze raz, cała piątka zeszła po stromych skałkach na wąską, piaszczystą plażę zatoczki. Jupiter znowu rozglądnął się na wszystkie strony.

- To było gdzieś tutaj - powiedział pewnym siebie głosem. - Ten skulony nad wodą facet świecił stąd mocną latarką na morze.

- Ej, widzicie to? - wykrzyknął nagle Pete, a potem schylił się i podniósł z ziemi wielką latarkę na sześć baterii.

Pan Karl obejrzał ją dokładnie.

- Zgadza się, taka właśnie długa latarka zniknęła z jednego z naszych namiotów. Widzicie? Jest na niej nawet wymalowane imię Marcusa Ragnarsona.

- W takim razie ktoś rzeczywiście ją ukradł! - wykrzyknął Bob.

- Na to wygląda - stwierdził z namaszczeniem Jupiter. - A ten, kto to zrobił, musi mieć coś wspólnego z tym statkiem na morzu.

- Myślisz, szefie, że on przekazywał jakieś sygnały? - zapytał Bob.

- Tak, albo wprowadzał ten statek do zatoki - odparł Jupiter.

- A co z tym duchem starego kapitana, chłopcy? - zapytał doktor Ragnarson.

- Zobaczyliśmy go tam, na tym występie niedaleko Skały - wskazał ręką Bob. - Ale nie mamy pojęcia, czy mógł on mieć coś wspólnego z tym typkiem, który był tu na dole z latarką.

- Coś mi się zdaje, że ten duch dał nam wyraźnie do zrozumienia, że nie chce, żebyśmy się plątali koło zatoczki - powiedział Pete.

Jupiter kiwnął potakująco głową.

- Myślę, że masz rację - powiedział. - Bez względu na to, czy był, czy też nie był duchem, kapitan Coulter nie chciał, żebyśmy śledzili faceta z latarką. Ale ponieważ po raz pierwszy zobaczyliśmy tajemniczego kapitana w domu Sama Ragnarsona, można przypuszczać, że istnieje jakieś powiązanie między jednym i drugim.

- Myślisz, że to Sam mógł dawać te sygnały latarką, Jupiterku? - zapytał pan Karl.

- To jest całkiem prawdopodobne, proszę pana.

- I oznaczałoby, że ma on jakieś konszachty ze statkiem, który widzieliście - dodał z pewnym zakłopotaniem doktor Ragnarson. - Co z kolei mogłoby wskazywać, że Sam zamieszany jest w jakiś szmugiel albo w coś jeszcze gorszego.

- Obawiam się, że tak, sir - przytaknął mu Jupiter.

- I co teraz proponujesz? - spytał doktor.

Jupiter powiódł powoli wzrokiem po skąpanej w księżycowym świetle maleńkiej zatoczce, a potem spojrzął na rysujący się wyraźnie w wolnym od mgły powietrzu występ skalny.

- Ten duch nabawił nam niezłego cykora - powiedział - ale wydaje mi się, że my także

go nastraszyliśmy. Nie sędzę, aby dzisiejszej nocy wydarzyło się tu coś jeszcze. Proponuję, żebyśmy szukali w dalszym ciągu Sama, panie doktorze. Może on będzie mógł powiedzieć nam coś więcej.

Rozdzieliwszy się w równych odstępach między Skałą i klifowymi głazami południowego brzegu wyspy, ruszyli całą piątką z powrotem, przyświecając sobie latarkami. Minęli wielką skałę i, nie znalazłszy nic po drodze, dotarli w końcu do ogniska, przy którym ujrzeli jeszcze kilku ostatnich biesiadników.

- Jest, widzicie? - wykrzyknął Bob.

Sam Ragnarson, ubrany wciąż w futrzany kaftan skandynawskiego wojownika, ale już bez hełmu na głowie, siedział spokojnie przy ognisku wraz z dwoma małżeństwami, zjadając ze smakiem ślazowe cukierki. Na widok chłopców uśmiechnął się szeroko, a potem kpiącym gestem zaprosił ich do ognia.

Pete i Jupe mieli odkryte głowy, ponieważ podczas ucieczki przed duchem kapitana zgubili, jak pamiętamy, część swego ekwipunku.

- Dam sobie rękę uciąć, jeżeli to nie są Trzy łamagi, czyli Trzech Detektywów - powiedział z przekąsem Sam. - Wiedziałem o tym od początku, jak tylko wysiedliście ze stryjem Karlem z motorówki. Tego waszego tłściocha można rozpoznać z zamkniętymi oczami.

Jupiter otwierał już usta, żeby się odciąć, ubiegł go jednak Bob.

- Co jeszcze panu wiadomo? - zapytał porywczo spec od analiz. - Może pan wie, kto łązi po tej wyspie przebrany za kapitana Coultera z "Gwiazdy Panamy"?!

- Kapitana, który spadł z jakiejś gwiazdy? - zapytał szyderczo Sam.

- Niech pan nie udaje Greka! - wtrącił stanowczym tonem Pete. - Pan dobrze wie, kim jest kapitan Coulter! Widzieliśmy go w pańskim domu! Rozmawialiśmy z nim nawet.

- Z pewnością zna pan nazwisko kapitana i nazwę statku, z którego uciekł pański przodek, żeby schronić się na tej wyspie - przemówił wreszcie Jupiter. - To przecież na jego cześć wyprawiacie ten piknik.

- Nie mam pojęcia, o czym wy tu trajlujecie. Wpadłem na wyspę, żeby wypić parę piwek z moimi krewnymi, to wszystko.

- Sam zawsze był trochę na bakier z książkami i historią, chłopcy - stwierdził oschle doktor Ragnarson.

- Ale my naprawdę widzieliśmy kapitana w domu pańskiego syna - nie dawał za wygraną Bob.

Sam spojrzął na chłopców spode łba.

- A czego wy właściwie szukaliście w moim domu?

- Pojechaliśmy tam, żeby zapytać o nasze skradzione zdjęcia - odparł Jupiter. - Pan był jedyną osobą, która chciała je mieć.

- Mów do mnie jeszcze... - roześmiał się drwiąco Sam.

- Pewno nie wie pan też, kto dawał latarką sygnały w kierunku morza w małej zatoczce na drugim końcu wyspy? - zapytał Pete.

- Ja miałbym łączyć po tamtym końcu wyspy? Nigdy tam nie byłem.

- A gdzie pan ma swoją latarkę? - zapytał nagle Bob.

- Tu, przy sobie - odparł Sam, wyciągając spod futrzanego kaftana dużą latarkę, prawie taką samą jak ta, którą chłopcy znaleźli w zatoczce.

- A co pan wie o statku, który dopiero co podpłynął do wyspy? - spytał Jupiter.

- Nigdzie nie widziałem żadnych statków.

Doktor Ragnarson uważnie przyglądał się swemu synowi. Obie pary, które zasiedziały się do tak późnej godziny, poszły już do swych namiotów. Przy ogniu zostali tylko chłopcy. Sam i dwaj starsi członkowie klanu Ragnarsonów.

- Wiecie co, chłopcy, myślę, że Sam jest w porządku - stwierdził dentysta. - Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie wszystkich wypadków, które tu się rozegrały.

- Ja też tak przypuszczam - przytaknął mu pan Karl. - I co wy na to, chłopaki?

- Wszystko zdaje się na to wskazywać - kiwnął głową Jupiter.

- To pierwsze rozsądne słowo, jakie usłyszałem od kogoś z tych gnojników - oświadczył Sam Ragnarson, a potem podniósł się z miejsca. - Pójdę przespać się trochę, tato. Chyba że i to wyda się podejrzanym.

I Sam powlókł się ociężale w kierunku namiotów. Jupiter w zamyśleniu odprowadził go wzrokiem. Doktor Ragnarson podniósł się również, i dogoniwszy syna, zaczął perorować o czymś poważnym, przyciszonym głosem. Także pan Karl nie spuszczał z nich oczu, dopóki nie rozplynęli się w mroku.

- I co teraz, Jupiterku? - zapytał kierownik podstawówki.

- Proponuję, żebyśmy także poszli się zdrzemnąć - odparł Jupiter. - Trzej Detektywi będą na wszelki wypadek trzymać wartę. A jutro rano dokładniej przeszukamy tamtą zatoczkę i przeciwległy koniec wyspy. Duchy i faceci z latarkami nie znikają tak sobie, w powietrzu.

- Będę trzymał wartę razem z wami - powiedział pan Karl.

- A nawet, jeśli chcecie, obejmę ją jako pierwszy.

- Tak będzie doskonale, proszę pana - zgodził się Jupiter.

- Oznacza to, że będzie nas czterech, więc jeśli każdy popilnuje przez dwie godziny, dojedziemy z tym aż do rana. Będziemy mieli włączone nasze walkie-talkies. Może pan wziąć nadajnik Boba. Odda mu go pan o pierwszej, kiedy on będzie przejmował wachtę.

Ragnarsonowie przydzielili chłopcom pusty namiot jednej z rodzin, która nie została na noc z powodu dziejących się na wyspie dziwnych rzeczy. Znalazłszy się w środku, Trzej Detektywi długo omawiali wydarzenia tej nocy, nie doszli jednak do żadnych konstruktywnych wniosków. W końcu ułożyli się do snu, mając w uszach szum bijących o brzeg fal przyboju.

O pierwszej Bob zmienił na warcie pana Karla. Powiedziawszy kierownikowi szkoły “dobranoc”, specjalista od dokumentacji i analiz skulił się tuż obok żarzących się jeszcze węgla w ceglany rożnie do pieczenia szaszłyków. Zatopiwszy wzrok w dogasającym palenisku, zaczął wsłuchiwać się w szum wiatru i morza.

Nocną ciszę przeszło nagle mrozące krew w żyłach wycie!

ROZDZIAŁ 13

NIESPODZIEWANE ODKRYCIE

Struchlały ze strachu Bob siedział bez ruchu naprzeciwko wygasającego ognia.

Wycie rozległo się znowu. Dziki i przerażający, głośny dźwięk mógł się skojarzyć z jakimś upiornym wilkołakiem. Bob pochylił się do mikrofonu swego walkie-talkie, aby podnieść na nogi kolegów.

- Jupe! Pete! Wstawajcie! Szybko!

Przeraźliwy odgłos znowu przeciął powietrze!

Wycie wilkołaka!

Bob wzdrygnął się i rzucił na tłące się jeszcze węgle parę szczapek drewna. Ze wszystkich sił starał się przebić wzrokiem ciemności, panujące poza kręgiem światła padającego od ogniska.

- O co chchchodzi? - zapytał Pete, podchodząc do rozpalającego się na nowo ognia. Aby osłonić się przed nocnym chłodem, Drugi Detektyw owinął się szczelnie kocem.

- Nie mam pojęcia - odparł zdezorientowany Bob.

Ze swego namiotu wyszedł pan Karl, wciągając po drodze indiańską koszulę z koźlej skóry. W rękę trzymał karabin. Znalazłszy się koło ogniska, rozejrzał się na wszystkie strony.

- To jest takie samo wycie wilka, jakie słyszeliśmy w ciągu ostatnich dwóch nocy! Moglibyście powiedzieć, chłopcy, skąd ono dochodzi?

Wycie ozwało się znowu, przebijając się przez szum wiatru i fal, tak jakby tajemnicza bestia usłyszała słowa kierownika szkoły. Brzmiało groźnie i przejmująco, przesywało do szpiku kości.

Bob, Pete i pan Karl odwrócili się jednocześnie w stronę wielkiej Skąły na zachodnim końcu wyspy.

- To musi być gdzieś tam! - wykrzyknął Bob, a potem dorzucił jeszcze parę drewna do ognia buzującego już jasnym płomieniem.

- Tak! - potwierdził pan Karl.

- Pewno tam, gdzie widzieliśmy tego ducha - mruknął pod nosem Pete.

Do Pete'a i pana Karla podeszli Jupiter i doktor Ragnarson. Dentysta miał na sobie dres zastępujący piżamę i także trzymał w rękę karabin.

- Wiesz, Pete, duchy morskich kapitanów nie wyją jak wygłodzone wilki - zauważył Jupiter. - Muszę też podkreślić, że ani na tej wyspie, ani w całej w ogóle Południowej

Kalifornii nie ma wilków dziko żyjących.

Groźne wycie rozległo się znowu.

- Trudno nie uwierzyć własnym uszom - powiedział bez przekonania Pete.

- Wydaje się, że te odgłosy dochodzą skądś od strony wielkiej Skały - odezwał się doktor Ragnarson.

- Tak, z pewnością stamtąd - potwierdził Jupiter.

- Jesteś pewien, że na tych urwiskach nie ma żadnych wilków? - zapytał doktor. - Nawet jednego, który został tu jak w pułapce i udało mu się przeżyć?

Jupiter pokręcił przecząco głową.

- Nie, to niemożliwe, proszę pana. Na tych terenach nigdy nie było wilków.

- Mogło nie być żywych wilków - zauważył Pete. - Ale kto wie, czy to także nie jest duch, taki sam, jak kapitana Coultera?

- Mogę się zgodzić tylko co do jednej sprawy, Pete. Mocno podejrzewam, że kimkolwiek czy tam czymkolwiek by ten duch i ten wilk nie były, pojawiają się one z tego samego powodu - stwierdził Pierwszy Detektyw, a potem odwrócił się do doktora Ragnarsona. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest w tej chwili pana syn?

- Mmmm - odparł doktor - kiedy widziałem go po ostatni, siedł do...

- A kuku, grubasku, tu jestem!

Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Tuż za plecami swego ojca stał Sam Ragnarson, szczerząc zęby w blasku padającym od ogniska. Ze swych namiotów wyszły też dwie małżeńskie pary, jedyne, które zdecydowały się nie wracać na noc do domu. Obie panie wzdrygnęły się na dźwięk wycia, które ozwało się znowu.

- Nic mi się tu jeszcze nie ukazało - stwierdziła jedna z nich - ale mam już tego po dziurki w nosie. Wolałabym nie oglądać tej bestii nawet z daleka, bez względu na to, co to jest.

- Wynosimy się z tej wyspy. I to już - oświadczył jej mąż.

- Tak, pakujemy manatki i zabieramy się - powiedziała druga z pań.

Jupiter podniósł rękę.

- Posłuchajcie państwo. Zwracam się do wszystkich. Ten, kto udaje tego wilka, chce was właśnie odstraszyć od Skały.

- W takim razie dopiął celu - odparł jeden z mężczyzn. - Przyplłynęliśmy tu, żeby się trochę zabawić, a nie po to, żeby się dać straszyć jakiemuś terroryście.

- Jeśli zostaniemy tu wszyscy do rana - stwierdził z naciskiem Jupiter - to ręczę, że nikomu nic się nie stanie, a jutro dowiemy się, skąd pochodzą te odgłosy i co to takiego ten

duch.

- Co do mnie - wtrącił Sam - to nie mam zamiaru zwlekać ani chwili. Najwyższy czas, żeby stąd się zabierać. Jupiter rzucił mu zdziwione spojrzenie. Pan Karl stanął koło Jupitera.

- Proponuję, żebyśmy poszli wszyscy, tak jak tu stoimy, i znaleźli źródło tych hałasów. Jupiter ma rację, na tej wyspie nie ma żadnych wilków!

- Chyba że ktoś tu przywiózł jednego - podsunął Sam.

- Zaczekajcie! Moment! - powiedział Jupiter. - Zwróciliście uwagę na to wycie? Ono dochodzi przez cały czas z tego samego miejsca! Prawdziwy wilk poruszałby się przecież. Prawdziwy wilk szukałby pożywienia. Na pewno zbliżyłby się do naszego obozowiska.

- W takim razie może to nie jest prawdziwy wilk - odparł Sam. - Może to coś całkiem innego?

- No właśnie - stwierdziła jedna z pań. - Wynosimy się stąd bez zwłoki.

- Jak sobie chcecie - powiedział zrezygnowanym tonem pan Karl. - Pójdę tam z samymi tylko chłopcami i przepatrzymy razem teren. Zaczekajcie przynajmniej do naszego powrotu. Doktor ma broń. Będzie was pilnował, dopóki nie wrócimy.

- Jeżeli w ogóle wróćcie - rzucił kąśliwie Sam.

Żadna z małżeńskich par nie zareagowała na tę uwagę. Pan Karl i chłopcy zabrali latarki i cała czwórka ruszyła jeszcze raz w kierunku wielkiej Skały. Nad skąpaną w mrokach nocy wysepką unosił się szum fal, rozbijających się o południowy brzeg, mieszający się ze świstem wiejącego teraz ostro wiatru.

Przez całą drogę dochodziły ich odzywające się co pewien czas wycia. Jupiter kilka razy rzucił światło swej latarki na zegarek.

- Te wycia odzywają się co dwie minuty - stwierdził w pewnym momencie. - Ta regularność wygląda podejrzanie. Żaden dziki zwierz nie otwierałby paszczy w tak dokładnie wyliczonych odstępach czasu.

Pokonując otwartą, nie zadrzewioną przestrzeń, chłopcy rzucali na boki światło swych latarek.

Wycie ozwało się znowu.

- Tam! - zawołał Bob, wskazując północną krawędź wielkiej Skały.

Powietrze przeciął znowu przeciągły, zawodzący dźwięk.

- Ttto ggdzieś ttu... całkiem bbbiisko - wyszeptał Pete.

Pan Karl mocniej ścisnął karabin.

Tajemnicza bestia zawyła znowu, tym razem niemal na wprost podążającej ostrożnie czwórki. Wszyscy zamarli w bezruchu, wpatrując się w mroczną przestrzeń. Znajdowali się

koło północnej krawędzi Skały. Poniżej biała niewyraźnie wąska, piaszczysta plaża, zwrócona ku odległemu o jakieś piętnaście kilometrów lądowi.

Odgłos zdawał się dochodzić właśnie z plaży. Nie wiedzieli jednak dokładnie, z którego jej miejsca.

- Rozdzielmy się - ponaglił kolegów Jupiter. - To jedyna metoda, żeby przyszpilić tego wilkołaka.

Bob i Pete z duszą na ramieniu spełnili polecenie, po czym cała czwórka znieruchomiała w oczekiwaniu na odezwanie się tajemniczego zwierza. Minęły dwie minuty. Tym razem zawył on tuż nad ich głowami!

- Tam! - wskazał ręką pan Karl.

- Tttutaj! - krzyknął zdławionym głosem Pete.

Drugi Detektyw stanął akurat na środku plaży, dokładnie naprzeciwko piętrzącej się nad nią ściany wielkiej Skały. Schyliwszy się, podniósł z ziemi nieduży magnetofon.

- To tylko nagranie na taśmie - zawołał triumfującym tonem Jupiter. - Odzywa się co dwie minuty i odbija echem od tych skał. To jest ten pański wilk, panie kierowniku.

Karl Ragnarson skinął potakująco głową.

- Sam ma dokładnie taki magnetofon.

- Taki sprzęt ma wiele osób - zauważył Jupiter. - To nie jest żaden dowód.

- Może i nie, ale wystarczy, żeby przyprzeć obwiesia do muru - stwierdził kierownik podstawówki.

Nie zwlekając, ruszyli z powrotem w kierunku obozowiska. Przy ognisku siedział samotnie doktor Ragnarson.

- Odplynęli - powiedział. - Wszyscy, co do jednej osoby. Nikt nie chciał zaczekać.

- Masz pojęcie, Ingmar? To był magnetofon! - wykrzyknął pan Karl. - Ani śladu po wilkołaku czy choćby po zwyczajnym, poczciwym wilku. Sprytna sztuczka, mająca na celu, tak, jak to powiedział Jupiter, odstraszyć ludzi od Skały.

- Ale wytłumacz mi, Karl, po co? Czego nasi ludzie mieliby szukać na tej zatraconej Skale?

- To jest właśnie pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź - stwierdził Jupiter, a potem rozejrzał się na wszystkie strony. - Gdzie jest Sam?

- Popłynął z tamtymi na ląd - odparł doktor Ragnarson.

- On też się stąd zmył? - zdziwił się Bob. - Więc może to nie jemu tak zależy na tym, żebyśmy dostali cykora i także się ewakuowali! Być może...

- Chłopaki! - wrzasnął nagle Pete. - Tam, w wodzie!

Ze środka małej zatoczki, gdzie powierzchnię wody zdawały się muskać już tylko bardzo nagle odbłaski ognia, wpatrywało się w nich troje pomarańczowozółtych oczu!

ROZDZIAŁ 15

NIEMIŁY DOWÓD RZECZOWY

- Ccco to ttakiego? - zapytał, Pete szczękając zębami.

Oczy zdawały się sunąć powoli po powierzchni wody, a w końcu zamieniły się w długie i błyszczące, pomarańczowe paski, układające się w coś przypominającego kształtem ludzkie plecy i dwoje ramion!

- To jakiś człowiek! - krzyknął pan Karl, a potem pobiegł wraz z doktorem Ragnarsonem w kierunku dziwnego zjawiska. Obaj panowie śmiało wkroczyli do płytkiej w tym miejscu wody. Chłopcy przyglądali się z brzegu, jak pochylają się nad niewyraźnym kształtem. A potem wyprostowali się jednocześnie i ruszyli z powrotem, niosąc obszerną i grubą kamizelkę ratunkową.

- To tylko kamizelka - stwierdził z uczuciem ulgi Pete. - Taka w prążki odbijające światło!

- Rzeczywiście, kamizelka - przytaknął mu ponuro pan Karl. - Ale popatrzcie tylko na nią.

Cała kamizelka była podarta i poszarpana. Tu i ówdzie widać było długie rozcięcia i porozpruwane szwy, zwisające strzępy i głębokie dziury. A wszędzie mnóstwo ciemnych plam. Pan Karl wręczył ją Bobowi.

- Rany Julek, czyja to robota? - zdziwił się Bob.

- Te plamy wyglądają jak krew - stwierdził Pete. - Założę się, że to był rekin. I to duży. Takich dziur mogły narobić tylko zęby wielkiego żarłacza.

- Chcesz powiedzieć, że rekin dopadł faceta, który miał na sobie to wdzianko? - wzdrygnął się Bob.

- Obawiam się, że tak - wyręczył Pete'a doktor Ragnarson.

Bob obrócił kamizelkę w rękach, aby lepiej się jej przyjrzeć. Znalazłszy kieszeń zamkniętą na zamek błyskawiczny, otworzył ją i wyjął z niej jakiś błyszczący przedmiot.

- Zapalniczka - powiedział. - Ze znakiem firmy samochodowej produkującej jaguary.

- Ten William Manning był dealerem samochodowym - wtrącił Jupiter.

- Manning? Jaki Manning? - zapytał doktor Ragnarson.

- Człowiek, którego łódkę znaleźliśmy koło tej wyspy - powiedział przez ściśnięte gardło Pete. - Policja... nie znalazła go do tej pory.

- Wiesz, Jupe, to rzeczywiście może być jego kamizelka - przyznał z ponurą miną

Bob.

- Jeżeli się nie mylę, to pani Manning powiedziała, że jej mąż trzymał w kieszeni kamizelki ratunkowej małą krótkofalówkę - stwierdził Jupe, obmacując obie kieszenie, w których nie było jednak nic więcej. - Jutro zawieziemy tę kamizelkę na policję.

- A czemu nie od razu, Jupe? - zapytał Bob.

- Obawiam się, że pośpiech niczego tu nie zmieni.

- A poza tym - wtrącił pan Kart - została tu już tylko moja łódź. Wliczając Ingmara, jest nas trochę za dużo, żeby ryzykować nocną przeprawę. Lepiej zaczekajmy z tym do rana.

- W dodatku myślę, że ponieważ Sam też stąd pojechał - stwierdził Jupiter - musimy zostać do świtu, aby się upewnić, czy nie wydarzy się coś jeszcze. Proponuję, żebyśmy wrócili do naszej warty. Będę ją trzymał na zmianę z Pete'em.

- A reszta powinna się trochę zdrzemnąć - powiedział z głośnym ziewnięciem doktor Ragnarson.

Uzgodniwszy to, wszyscy wrócili do swoich namiotów. Bob przyglądał się z posępną miną Jupiterowi przygotowującemu się do wachty przy ognisku.

- Powiedz, Jupe, jeżeli to nie Sam robi te dziwne hałasy, to kto? - zapytał.

- Czy na wyspie może znajdować się ktoś jeszcze? - zamyślił się głośno Pete. - Oprócz nas... i obu panów Ragnarsonów?

- Nie - odparł Jupiter. - Tylko my trzej i ich dwóch.

Chłopcy popatrzyli w milczeniu po sobie, tak jakby nie byli całkiem pewni tej odpowiedzi, po czym Jupiter zabrał walkie-talkie i usiadł przy dogasającym ognisku, w chłodnym, nocnym powietrzu. Wyszedłszy o piątej, aby go zmienić, Pete wzdrygnął się z zimna. O siódmej obudził kolegów.

- Widzę, że ogień buzuje, jak należy, a ja umieram z głodu - powiedział Pierwszy Detektyw. - Co jest na śniadanie?

Nie czekając na odpowiedź, i on, i Bob z głośnym jęknięciem naciągnęli śpiwory na głowę.

W chwilę potem Bob przypomniał sobie jednak, gdzie się znajduje, i wychynął na powrót z ciepłego wnętrza.

- Ej, chłopaki, czy wydarzyło się coś nowego w czasie, gdy myśmy tu kimali?

- Absolutnie nic - odparł Pete. - Na moje szczęście.

- Jak to nic? - wymamrotał z wnętrza swego worka Jupiter. - A to, że zmarzłem na kość i straciłem dwie godziny na odtajanie, nie zdrzemnąwszy się nawet na minutę, to ma być nic? Precz mi z oczu, zbrodniarze! Dajcie mi spokojnie umrzeć.

- Zdawało mi się, że chciałeś zawieźć z samego rana na policję coś, co kiedyś było kamizelką ratunkową - zauważył Bob, a potem wygramolił się ze śpiwora i zaczął wciągać buty.

- A może także wykapować, czy Sam Ragnarson ma nadal swój magnetofon - dodał Pete.

Wydawszy z siebie stłumiony jęk, Jupiter wyskoczył ze śpiwora niczym wieloryb wynurzający się z właściwą sobie gracją z morskich otchłani. Złapawszy równowagę, ziewnął, przeciągnął się i zatarł ręce.

- Słusznie, koledzy! Ale... - uśmiechnął się, szczerząc zęby - najpierw śniadanko!

- No, nareszcie rozumiesz po ludzku! - powiedział Pete.

W chwilę później cała trójka była już przy ognisku, palącym się wesoło w jasnym świetle poranka. Nad wyspą unosiły się jeszcze leciutkie mgiełki, znikające jednak szybko pod coraz bardziej przygrzewającym słońcem. Powitał ich krzątający się przy ogniu pan Karl.

- A więc, chłopaki, na co macie ochotę? Na kiełbaski? Jajecznicę? Hot dogi? Gorące kakao? Mleko? Naleśniki?

Chłopcy jednomyślnie opowiedzieli się za kiełbaskami, naleśnikami i kakaem. Kierownik podstawówki ustawił przyczernione sadzą rondle na żelaznych koziołkach, stojących nad żarzącymi się węglami.

- I jak tam, były jeszcze wczoraj jakieś nocne strachy? - zapytał, układając kiełbaski w mniejszym rondelku.

- Nie, proszę pana, nie było - odparł Pete.

- Ponieważ na wyspie nie było Sama - ozwał się z tyłu doktor Ragnarson, który z nieszczęśliwą miną zbliżył się do ognia, przykucnął i roztarł sobie ręce.

- Można przyjąć to wyjaśnienie - przyznał Jupiter - ale ono nie jest jedyne, proszę pana. Wątpię, czy po tym, jak odkryliśmy ten magnetofon, ktoś próbowałby wystraszyć nas z wyspy tej samej nocy.

- Mimo wszystko jednak - powiedział dentysta - nic się tu dziwnego nie dzieje, kiedy nie ma Sama.

- Jest pan tego pewien? - zapytał cicho Jupiter.

Dwaj panowie na moment zagłębili się w swych myślach.

- Jeżeli o mnie chodzi - powiedział pan Karl - to mogę z całą pewnością potwierdzić, że on tu był za każdym razem, kiedy komuś ukazywały się jakieś duchy albo odzywały się te wycia.

- Ale parę rzeczy zaginęło w czasie, gdy go nie było - uświadomił sobie głośno doktor

Ragnarson.

- Co o niczym nie świadczy, bo nie wiemy dokładnie, kiedy je ukradziono - stwierdził pan Karl, wlewając naleśnikowe ciasto na dużą patelnię.

Jupiter kiwnął głową. Przez dłuższą chwilę wszyscy w milczeniu przyglądali się, jak pan Karl smaży naleśniki.

- I co macie zamiar zrobić najpierw, chłopcy? - zapytał kierownik szkoły.

- Wrócimy na ląd i będziemy obserwować poczynania Sama - odpowiedział Jupiter. - Czy nie zechciałby pan zawieźć osobiście na policję tej kamizelki, którą znaleźliśmy w wodzie? Bo czasu jest niewiele, a ja chcę sam zawiadomić o tym panią Manning. No i muszę jak najprędzej przyrzeć się jeszcze raz zdjęciom.

- Oczywiście, zawiozę ją - odparł pan Karl. - To smutne, że ludzie nie doceniają niebezpieczeństw czyhających na morzu.

Doktor Ragnarson spojrzał w zamyśleniu na Jupitera.

- Myślisz, Jupiterku, że Sam macza palce w jakiejś aferze? W co, twoim zdaniem, mógł się on wplątać?

Pierwszy Detektyw potrząsnął głową.

- Nie wiem, proszę pana, ale jestem przekonany, że on nie życzy sobie nikogo na tej wyspie.

- W takim razie, dlaczego wyjechał stąd w nocy razem z tamtymi? - zdziwił się Bob.

- To zagadka, która uderzyła mnie także, kolego analityku - przyznał Jupiter. - Może to oznaczać, że coś tu się zmieniło.

Kiedy naleśniki i kiełbaski były gotowe, chłopcy rzucili się na nie z takim apetytem, jakby nie jedli na wyspie nie przez jedną, ale co najmniej przez kilka długich nocy. Tylko doktor, przygnębiony sprawkami swego syna, ledwo tknął jedzenie. Po śniadaniu chłopcy zgasili ognisko, umyli się piaskiem i morską wodą, a potem wskoczyli do motorówki pana Karla.

- Zostawimy wszystko tak, jak jest - zdecydował pan Karl.

- Może nasza ferajna wróci, jak już odkryjecie, co tu się działo?

Po rannej mgle nie było już śladu. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień. Ucichł także wiatr, ale ocean był wciąż mocno rozkołysany, toteż przeładowana łódź powoli i z trudem przepychała się w stronę lądu. Kiedy dopłynęli do przystani, doktor Ragnarson wskazał ręką w kierunku publicznego basenu, w którym długim rzędem stały na cumach prywatne motorówki.

- Jest tam łódka Sama. Wiemy przynajmniej, że nie wrócił ukradkiem na Skagę.

Starsi panowie przywiązali łódź do nabrzeża, chłopcy zaś pobiegli po rowery zostawione na portowych stojakach.

- I co robimy, Jupe? - zapytał Pete.

- Ty i Bob pojedziecie do domu Sama - rozdzielił role Jupiter. - Obserwujcie każdy jego ruch. Gdyby gdzieś się wybrał, pojedźcie za nim.

- A jeśli nie będzie go w domu? - przewidująco zapytał Bob.

- Zaczekajcie, aż wróci.

- A ty, co masz zamiar zrobić? - zapytał Pete.

- Pojadę do pani Manning, a potem najszybciej, jak tylko będę mógł, dołączę do was pod domem Sama.

Po odjeździe Pete'a i Boba Jupiter podjechał do budki telefonicznej, aby odszukać w książce adres pani Manning. Okazało się, że żona nieszczęsnego wędkarza mieszka po przeciwnej stronie miasta niż Sam, w dodatku wysoko w górach. Krępy przywódca detektywistycznej trójki jęknął mimo woli. Czekająca go długa i ciężka rowerowa wspinaczka.

I rzeczywiście.

Postępując i ciężko dysząc, wspinał się mozolnie wąskim kanionem, prowadzącym do wzniesionego bez ładu i składu wiejskiego domu, przylepionego do podnóża jałowej, brunatnej góry. Wokół budynku zielenił się jednak trawnik i rosły drzewa, utrzymujące się przy życiu tylko dzięki nieustannemu podlewaniu. Kiedy zasapany Jupiter pokonywał ostatnie wzniesienie, ze strony podjazdu do domu Manningów wyjechał sunący bezgłośnie motocyklista.

Był to Sam!

ROZDZIAŁ 16

BOB I PETE ZNAJDUJĄ ODPOWIEDŹ

Bob wyrzął zza rogu i ostrożnie przeszukał wzrokiem uliczkę położoną naprzeciwko morskiego brzegu. Sfatygowane domostwo Sama Ragnarsona drzemało cicho w promieniach słońca. W bezludnym zaułku nie było widać ani jednego przechodnia.

- Podejźmy bliżej - powiedział cicho Pete.

Umocowawszy łańcuszkami rowery do ogrodzenia plaży, dwaj detektywi przemknęli chyłkiem w kierunku domku, niewidocznego prawie w gęstej dżungli dziko krzewiącej się roślinności.

- Garaż jest otwarty! - syknął Pete.

Sunąc tuż obok ściany odrapanego domku, chłopcy ostrożnie minęli podwórze i zbliżyli się do garażu. Jedne z prowadzących do niego drzwi były otwarte i można było zajrzeć do środka już zza rogu domu. Brązowa półciężarówka stała na swoim miejscu, nie było jednak motocykla.

- Zdaje się, że pojechał gdzieś na motorze - stwierdził Pete.

- W takim razie możemy przeszukać dom! - wykrzyknął Bob. - Założę się, że znajdziemy kapitana Coultera!

- Jeżeli tam w środku są jakieś duchy, to ja nie chcę nic o tym wiedzieć - odparł Pete. - Zostanę tutaj.

- Nie, Pete, duchów nie ma! Myślałem o tym jego przydzwiewku! - odparł Bob. - Coś mi się zdaje, że to Sam przebiera się za ducha.

Pete wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

- Chcesz powiedzieć, że osobnik, na którego natknęliśmy się tu za pierwszym razem, to był Sam?

- Jestem tego pewien, a wydaje mi się, że Jupe też - powiedział Bob. - Potrzebujemy tylko jakiegoś namacalnego dowodu. Być może znajdziemy go, przeszukując dom.

Pete nie wydawał się przekonany do końca.

- Jupe kazał nam tylko obserwować i czekać na powrót Sama.

- Ale to jest jedyna szansa, żeby dowiedzieć się, co on kręci, nie pytając go o zgodę - nie ustępował Bob. - Nie możemy robić zawsze tylko tego, co nam powiedział Jupe. Detektywi powinni myśleć bardziej samodzielnie.

- Czy ja wiem... - zawahał się Pete. - No dobra, spróbuję.

- Nic się nie bój. Trzeba podejść od frontu.

Prześliznąwszy się ostrożnie z powrotem wzdłuż ściany domu, Bob i Pete podeszli do chylącego się smętnie ganku i wspiąwszy się na palcach po jego stopniach, zaczęli zaglądać przez zakurzone okna do środka. Podarte firanki były tym razem rozsunięte. W domu nie było nikogo. Nie zauważyli najmniejszego nawet ruchu. Pete spróbował, czy okno nie dałoby się otworzyć. Było jednak zamknięte.

- Sprawdzę tamto z boku - powiedział. - Sam nie wygląda na faceta pamiętającego o tym, żeby pozamykać wszystkie okna.

- A czemu nie mielibyśmy wejść drzwiami? - zapytał Bob, a potem przekręcił gałkę.

Drzwi otworzyły się!

- To odbiera całą radość tej zabawie - westchnął Pete.

Podłoga w pierwszym pokoju zawalona była pojemnikami z żywnością do szybkiego przyrządzenia, puszkami z napojami i kurzem. Na podniszczonych, wytartych krzesłach wały się jakieś brudne łachy. Wyciągnięte do połowy szuflady w poobijanym kredensie i stole wypchane były starymi rupieciami. Z wyglądu tego pomieszczenia można było dowiedzieć się tylko tego, że Sam był wielkim bałaganierzem.

Dom miał dwie sypialnie. W jednej z nich znajdowały się tylko sterty starych samochodowych kół, bocznych i tylnych lusterek, dekli, klamek, pokrowców na siedzenia i innych części i akcesoriów nadających się do sprzedania. Były tu także supermarketowe wózki do zakupów, mosiężne klamki i okucia do drzwi, a nawet i stare odrzwia.

- Założę się, że on kradnie te rzeczy, żeby je potem przehandlować - powiedział Pete.

- To możliwe - zgodził się Bob. - Ale nie widać nic takiego, z czego moglibyśmy się dowiedzieć, co on tam kombinuje na Skale Rozbitków.

W drugiej sypialni stało nie zasłane łóżko ze zmiętą pościelą, która wydzielala taki zapach, jakby nie była zmieniana od miesiący. Była też jedna mała komódka i szafa.

- Nic tu nie ma - powiedział Pete, włożywszy głowę do szafy.

Ostatnie pomieszczenie służyło za kuchnię. W niej właśnie poprzednim razem chłopcy widzieli "kapitana Coultera". Także tu pełno było kurzu i śmieci. Półki świeciły pustkami, a w lodówce znajdowały się resztki zjełczałego masła.

- Masz ci los - powiedział z zawiedzioną miną Bob. - Nigdzie żadnych śladów.

- Nie zaglądaliśmy do garażu - przypomniał Pete.

- Masz rację!

Nie zwlekając, dwaj wywiadowcy popędzili na dwór i do walącego się garażu, zbitego z gołych, dziurawych desek. Znalazszy się w środku, Pete wskazał ręką plamę po oleju w

miejscu, w którym stał poprzednio motocykl. Bob kiwnął głową. Obaj chłopcy jednocześnie zobaczyli drzwi w tylnej części pomieszczenia.

- Wygląda mi to na podręczny magazyn - powiedział Bob.

Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Prowadziły one do małego, wąskiego pokoiku zavalonego sprzętem wędkarskim, deskami do surfingu, częściami rowerowymi, kawałkami połamanych skateboardów. Było tu nawet coś, co przypominało segmenty dużej lotni. W pomieszczeniu panował półmrok, rozświetlany tylko przez maleńkie okienko. Na samym końcu widać było warsztat z imadłem.

- Jest strój Wikinga! - zawołał Pete.

Na wbitym w ścianę gwoździu wisiał futrzany kaftan. Hełm, buty ze sztyłpami i skórzane rzemienie rzucone były na kupę na blacie warsztatu, a tarcza, miecz i nieduży, bajowy worek znajdowały się na podłodze. Pete otworzył worek i popatrzył na Boba.

- Tu są nasze duchy, kolego analityku!

W worku znajdowała się kapitańska czapka ze złotym szamerowaniem, długi, granatowy płaszcz marynarski z mosiężnymi guzikami, wąskie spodnie, staromodne trzewiki i luneta. Brakowało tylko sztyletu. Były za to także podarte marynarskie ubrania i morskie wodorosty, stanowiące ekwipunek innych "duchów", widzianych przez Ragnarsonów.

- Trafiony, zatopiony! - krzyknął Pete.

- Więc te duchy to sprawka Sama, tak, jak myślałem! - zapiszczał z radości Bob. - To on pokazał się nam w przebraniu, kiedy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy!

- Zmienił głos i zachowywał się rzeczywiście jak staruszek - powiedział Pete. - W każdym razie nie mieliśmy wtedy pojęcia, jak ten Sam naprawdę wygląda!

- To prawda - przytaknął mu Bob. - Musieliśmy wtedy zaskoczyć go w momencie, gdy ćwiczył swój występ w charakterze ducha. Przybierał różne pozy i kontrolował swoje odbicie w kuchennym oknie.

- Rozejrzyjmy się, czy nie ma jeszcze innych fajnych kłopotów.

Powiedziawszy to, Pete zabrał się do przeglądania leżących na podłodze pokoiku rupieci, a Bob zajął się rzeczami zwalonymi na warsztacie. Podczas gdy Pete myszkował po wszystkich kątach. Bob wspiął się aż pod sam dach. I to właśnie on znalazł pudełko, wciśnięte nad jedną z krokwi. Zeskoczył na dół i otworzywszy wieczko, pokazał Pete'owi jego zawartość.

- Co to takiego?

- Myślę, że tu się kryje cała tajemnica - odparł Bob. - Odpowiedź na pytanie, dlaczego Sam chce wystraszyć wszystkich ze Skały Rozbitków.

Pete podszedł bliżej i zajrzał do pudełka. W środku znajdowało się pięć dużych monet. Błyszczących, złotych monet i kilka bryłek w kolorze złota. Bob wziął do ręki jeden ze złotych krążków.

- Ma wybity rok 1847 - powiedział. - A te grudki to na pewno złote samородki. Założę się.

Dwaj detektywi popatrzyli po sobie.

- Złoto zrabowane z "Gwiazdy Panamy"! - gwizdnął przez zęby Pete.

- Sam musiał je znaleźć gdzieś na tej Skale - dodał Bob.

- I chce przepędzić wszystkich, żeby spokojnie szukać reszty skarbu! - stwierdził Pete.

Nagle ozwał się dudniący warkot motocykla. Zdrętwiali z przerażenia chłopcy wytrzeszczyli na siebie oczy.

ROZDZIAŁ 17

ZAGADKOWY GOŚĆ

Na widok Sama Ragnarsona Jupiter błyskawicznie skręcił w rosnące na poboczu drogi krzaki.

Dopiero kiedy motocykl znalazł się na idącej dnem kanionu drodze, jego silnik zawarczał na pełnych obrotach i w chwilę potem Sam Ragnarson przemknął obok Jupitera, nawet go nie zauważając. Grzmot z rury wydechowej zaczął się oddalać, aż w końcu ucichł zupełnie i w kanionie znowu zapanowała cisza.

Jupiter podniósł się powoli, a potem ruszył, popychając swój rower stromym podjazdem w kierunku długiego, utrzymanego w ranczerskim stylu domu.

Wdrapawszy się na górę, oparł rower o ścianę domu i zapukał do frontowych drzwi. Otworzył mu wysoki, poważnie wyglądający mężczyzna w ciemnym garniturze i w krawacie.

- Czy mogę zamienić kilka słów z panią Manning? - zapytał Jupe.

- Pani Manning parzy właśnie kawę w kuchni. Jeśli chcesz, to możesz wejść i poczekać razem ze mną.

Wprowadziwszy Jupitera do salonu, mężczyzna usiadł w fotelu i uśmiechnął się smutno, a potem spojrzał na zegarek, tak jakby i on czekał tu od dłuższego czasu.

- Czy był tu niedawno ktoś jeszcze, żeby zobaczyć się z panią Manning? - zapytał Jupiter.

- Ktoś jeszcze?

- Niejaki Sam Ragnarson. Dopiero co widziałem, jak stąd odjeżdżał.

- Nie, synku, nikogo tu nie zauważyłem.

Jupiter usiadł także i zaczął z podziwem wodzić oczami po drogich meblach i nowoczesnych obrazach. Z okien salonu rozciągał się malowniczy widok na otaczające dom góry. Z końca długiego pomieszczenia widać było rozległą panoramę dalekiego oceanu. Na stole zobaczył oprawione zdjęcie niskiego, krępego mężczyzny w średnim wieku, stojącego przed wielkim szyldem głoszącym: SALON SAMOCHODOWY MANNINGA, JAGUAR I TOYOTA.

- Przepraszam cię, Steven, że musiałeś czekać, ale... Och, widzę, że mamy gościa!

W drzwiach wielkiego salonu stała pani Manning, wycierając dłonie o fartuszek. Szczupła i rudowłosa, miała teraz na sobie prostą, czarną sukienkę. Była wymizerowana i blada. Jej zmęczone, niebieskie oczy spoczęły na twarzy Jupitera.

- My chyba skądś się znamy, nieprawdaż, chłopcze?

- Tak, psze pani, z przystani w porcie. Ja i moi koledzy znaleźliśmy łódź pani męża.

Pani Manning obrzuciła Jupitera pozbawionym wyrazu spojrzeniem, tak jakby wołała nie przypominać sobie tamtego dnia i widoku pustej łodzi. A potem westchnęła ze smutkiem.

- Ach, rzeczywiście. Masz na imię...

- Nazywam się Jupiter Jones, proszę pani.

- Tak, oczywiście - kiwnęła głowa pani Manning, a potem odwróciła się do siedzącego w salonie mężczyzny. - Steven, to jest jeden z chłopców, którzy znaleźli łódkę Williama - powiedziała, po czym znowu przeniosła wzrok na Jupitera. - Steven jest bratem mojego męża. Jest wam tak samo jak ja wdzięczny za to, co zrobiliście. Nie zdążyłam podziękować wam do tej pory za przyholowanie tej łodzi. Gdyby nie to, nigdy może nie dowiedziałabym się, co... przydarzyło się biednemu Billowi.

Jupitera odeszła nagle chęć do poinformowania pani Manning o nowym znalezisku. Mimo to zebrał się jakoś na odwagę.

- Wie pani, hmmm, wczoraj wieczorem byłem z moimi kolegami na Skale i odkryliśmy coś, co mogło należeć do pani męża.

Pani Manning utkwiała wzrok w twarzy chłopca.

- To taka gruba kamizelka ratunkowa - ciągnął Pierwszy Detektyw - z fluorescencyjnymi pasami na rękawach. W jednej z kieszeni znajdowała się zapalniczka ze znakiem firmy samochodowej jaguar.

- To jego rzeczy! - krzyknęła pani Manning. - Czy mogę je zobaczyć?

- Przykro mi - odparł Jupiter - w tej chwili znajdują się one już na komendzie policji. Ale jestem pewien, że oni pokażą je pani.

- Czy kamizelka była... cała? - zapytała z wahaniem pani domu. - To znaczy, czy znaleźliście ją w jednym kawałku?

Jupiter spuścił wzrok na podłogę.

- Tak naprawdę, proszę pani, to była poszarpana na strzępy i pokryta ciemnymi plamami.

Twarz pani Manning stężała w bolesnym skurczu.

- Co mogło...?

- Rekiny - wtrącił posępnym tonem Steven Manning. - Mój Boże. Chyba możemy mieć już pewność. Nie trzeba lepszego potwierdzenia.

Pani Manning zaniósła się płaczem. Usiadła na długiej, białej kanapie i zaczęła szlochać, ocierając oczy małą chusteczką. Steven Manning podszedł do niej i delikatnie

dotknął jej ramienia.

- Tak mi przykro, droga Phyllis. Pojadę na policję, żeby zidentyfikować tę kamizelkę, i wpadnę do ciebie dziś wieczorem. To powinno przekonać wreszcie firmę ubezpieczeniową, że biedny Bili nie żyje, i skłonić ich do wypłacenia jego ubezpieczenia na życie. Dasz sobie radę sama?

Szlochając bezustannie, kobieta kiwnęła głową. Jej falujące rude włosy zamigotały w wypełniającym obszerny salon porannym słońcu.

- To ładnie ze strony Billa, że dzięki tej polisie tak dobrze zabezpieczył cię na przyszłość - powiedział Steven Manning. - Winniśmy mu za to wdzięczność.

Rzekłszy to, mężczyzna skinął Jupiterowi głową i wyszedł. W chwilę potem Pierwszy Detektyw usłyszał odgłos zapuszczania silnika i szurania opon odjeżdżającego spod domu samochodu.

- Hmm, tego, czy można, pani Manning? - zapytał nieśmiało.

Siedząca na kanapie kobieta nie przestawała szlochać. Jupiter uniósł się lekko i zakasłał.

- Ehe, ehe, proszę pani, czy mógłbym porozmawiać z panią chwilę?

Rudowłosa kobieta westchnęła głośno i uniosła głowę. Otarła do sucha łzy z policzków i posłała Jupiterowi nieśmiały uśmiech.

- Przepraszam cię. Ta wiadomość sprawiła, że przeżyłam wszystko jeszcze raz. Ale życie musi się toczyć dalej, prawda? O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

- Kiedy jechałem tutaj, zobaczyłem mężczyznę wyjeżdżającego na motocyklu z podjazdu do pani domu. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, co on tu robił?

- Mężczyzna na motocyklu? Nie słyszałam żadnego motocykla - pokręciła głową pani Manning. - Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Nie widziałam tu żadnego mężczyzny.

- On nazywa się Sam Ragnarson - ciągnął Jupiter. - Czy to nazwisko coś pani mówi?

Pani Manning znowu pokręciła przecząco głową.

- Nic, zupełnie nic.

- A może znał go pani mąż? - nie dawał za wygraną Jupiter.

Pani Manning zmarszczyła brwi, a potem przyłożyła chusteczkę do oczu.

- Nie sądzę. Bili nigdy nie wspominał mi o żadnych Ragnarsonach.

- I nie rozmawiała pani dopiero co z tym mężczyzną na motocyklu?

- Nie, nie wiedziałam nawet, że był tu ktoś taki. Co, według ciebie, mógł on tu robić?

Czego chciał? Czy mógł przyjechać tu, żeby porozmawiać ze Stevenem?

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie, proszę pani. W każdym razie pani szwagier powiedział mi, że go nie widział.

- Wobec tego zupełnie nie wiem, czego on mógł tu chcieć.

Wychodząc od pani Manning, Jupiter zostawił ją siedzącą samotnie na kanapie, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym we własne dłonie. Znalazłszy się na dworze, Pierwszy Detektyw skierował się ku bocznej ścianie domu, aby zabrać swój rower.

Kiedy nabrał pewności, że nie widać go już z okien salonu, ostrożnie popchnął swój rower dróżką dojazdową w kierunku garażu i tylnej części domu. Garaż był na tyle przestronny, że mógł pomieścić co najmniej trzy samochody. Po drodze uważnie przyglądał się ziemi. Jednak aż do tylnych schodków nie znalazł żadnych śladów.

Schodki prowadziły do kuchni. Na przylegającym do nich pasie miękkiej ziemi, na którym rosły jakieś kwiatki, zobaczył wyraźny odcisk koła motocykla! Także na stopniach schodów, bliżej wejścia do kuchni, widać było rozdeptane grudki takiej samej ziemi, jaka znajdowała się na kwietnej rabatce. Były wciąż jeszcze wilgotne.

Sam Ragnarson był więc przy drzwiach do kuchni, gdzie znajdowała się pani Manning, w momencie, gdy Jupiter dojeżdżał do jej domu. Jedynym problemem było zatem, czy oboje znaleźli się przy drzwiach do kuchni jednocześnie? I jakim to gatunkiem kawy pani Phyllis Manning zamierzała poczęstować swego szwagra, że jej zaparzanie trwało tak długo?

Jupiter zamyślił się nad tymi kwestiami i usłyszał kroki dwóch mężczyzn dopiero wtedy, gdy znalazł się w zasięgu ich rąk.

Dwóch facetów w narciarskich goglach, osłaniających połowę twarzy. Na gołym przedramieniu jednego z nich zobaczył wytatuowaną rusałkę! Chciał uciec, oni byli jednak szybsi. Dopadli go i w tym samym momencie Jupiter poczuł, że na jego ustach zaciska się twarda, brudna łapa!

ROZDZIAŁ 18

DZIWNNE ZACHOWANIE

Bob i Pete usłyszeli, że motocykl zatrzymał się przed garażem.

- Okno! - szepnął Pete.

Podbiegłszy chyłkiem do jedyne go, wąskiego okienka, jakie znajdowało się w małym pomieszczeniu, sprawdzili, czy da się ono otworzyć. Poruszyło się! Zaczęli uchylać je ostrożnie. Rozległo się gło sne skrzypnięcie!

Chłopcy zamarli w bezruchu.

Pracujący jeszcze silnik motocykla na szczęście zagłuszył wszystko. W chwilę potem motocykl zatrzymał się wprawdzie, ale uszu chłopców nie doszedł odgłos zbliżających się ku nim kroków. Nie zwlekając ani sekundy, dwaj detektywi precyzyjnie się przez wąski otwór i dali nura w porastającą podwórze zieloną gęstwinę, skąd mogli obserwować zarówno dom, jak i garaż.

- Dobrze, że nie było z nami Jupe'a - szepnął Pete do ukrytego za sąsiednim krzakiem kolegi. - Musiałby przejść kurację odchudzającą, żeby się przepchnąć przez tę szczelinę.

- Pssss! - ostrzegł go Bob, szczerząc w uśmiechu zęby, a potem wskazał głową drzwi do garażu.

W tej samej chwili ukazał się w nich Sam Ragnarson w starych, obciętych u dołu dżinsach i podartej koszulce z krótkim rękawem. Był na bosaka. Pogwizdując wesoło, zepchnął motocykl z podpórki i wprowadził go do środka. A następnie otworzył na oścież oba skrzydła drzwi. Zaraz potem chłopcy usłyszeli szcęknięcie drzwiczek samochodu i odgłos zapuszczania silnika. Brązowa furgonetka wytoczyła się tyłem na podwórze.

- On gdzieś jedzie! - szepnął zaniepokojony Pete.

- Musimy pojechać za nim! - odszepnął mu Bob, podnosząc się z ziemi.

- Zaczekaj! - syknął Pete, łapiąc go za rękę.

Furgonetka zatrzymała się na dró żce dojazdowej. Sam wyskoczył z kabiny, pobiegł z powrotem do garażu i otworzył bagażowy pojemnik przy motocyklu. Pogwizdując pod nosem, wyjął z niego butelkę, a potem zaniósł ją i postawił koło furgonetki. Następnie wspiął się z tyłu na skrzynię ładunkową, odsunął na bok leżący tam brezent i zeskoczył, trzymając pusty, dwudziestolitrowy plastikowy kanister i lejek.

Bob i Pete przyglądali się ze swej kryjówki, jak Sam otwiera butelkę, wtyka lejek do otworu kanistra i przelewa do niego jej zawartość. A potem, z wielce zadowoloną miną, ciska

pusztą butelkę w krzaki, zamyka kanister i wkłada go z powrotem do skrzyni furgonetki. Wreszcie, po krótkim zastanowieniu się, jeszcze raz idzie do garażu.

- On gdzieś się wybiera z tym kanistrem - rozległ się w krzakach stłumiony okrzyk Pete'a.

- A my musimy ruszyć za nim, żeby wyśledzić, dokąd jedzie! Tylko jak to zrobimy?

- Jeden z nas mógłby spróbować ukryć się na skrzyni furgonetki - zaproponował Pete.

- Tak, pod tym brezentem!

Pete zagryzł nerwowo usta.

- Ale on w każdej chwili może wrócić i przyłapać nas na tym.

- W takim razie jeden z nas będzie musiał stanąć na czatach, a w tym czasie drugi...

- Ale to oznacza, że tylko jeden z nas tam wlezie.

- I tak któryś z nas dwóch musi zaczekać na Jupe'a albo pojechać go szukać - zauważył Bob.

- Pssss!

Z garażu wyszedł uśmiechnięty Sam. Tym razem trzymał w ręku drewniane pudełko, w którym chłopcy znaleźli wcześniej złote monety. Włożył pudełko do kabiny i zamyślił się znowu. Kiwnąwszy parę razy głową, tak jakby potakiwał sam sobie, obszedł furgonetkę dookoła i skierował się ku tylnym drzwiom domu. Drzwi były zamknięte. Obszukawszy na próżno kieszenie, mruknął coś pod nosem, a potem pomaszerował wokół domu do drzwi frontowych.

- Teraz albo nigdy! - rzucił zachęcająco Pete.

- Ja wejdę pod tę plandekę - powiedział Bob. - Jestem mniejszy.

Pete nie mógł temu zaprzeczyć.

- Dobra - powiedział. - Jedź z nim, a ja zaczekam tu na Jupe'a. Gdyby się nie pokazał, pojedę go szukać. Spiesz się. Jak zobaczę, że Sam nadchodzi, pomacham ci rękami!

Wyczołgawszy się z zielonej gęstwiny, Bob popędził w kierunku tylnej klapy brązowej furgonetki. Pete ubezpieczał go, obserwując róg domu, zza którego mógł ukazać się Sam. Bob błyskawicznie wspiął się na skrzynię ładunkową, wśliznął się pod grubą plandekę i naciągnął ją na siebie tak, aby ukryć się pod nią całkowicie i przywrócić jej poprzedni wygląd.

W parę sekund potem Sam wyszedł z tylnych drzwi domu i pospieszył do samochodu. Chichocząc pod nosem, wskoczył za kierownicę, nie spojrzawszy nawet w kierunku skrzyni, a potem wycofał się na tylnym biegu z podjazdu i odjechał. Pete przyglądał się w napięciu, jak brązowy samochód skręca na najbliższym rogu i znika, a potem rozsiadł się wygodniej w

oczekiwaniu na Jupitera. Nie czekał jednak długo. Widząc, że szef nie nadjeżdża, podniósł się i ruszył do miejsca, w którym zostawili wcześniej rowery. Wskoczył na swój rower i, pozostawiając rower Boba uwiązany do ogrodzenia plaży, popedałował ile sił do najbliższej budki telefonicznej.

Przyszło mu do głowy, że Jupiter mógł wcześniej zakończyć swoje sprawy u pani Manning i przed przyłączeniem się do nich obu wstąpić do Kwatery Głównej po jakiś dodatkowy sprzęt. Wszyscy mieli przy sobie walkie-talkies, ale Pete nalegał zawsze, aby zabierać ze sobą coś, co mogło posłużyć do sygnalizacji na wypadek nagłej potrzeby. A teraz Bob mógł przecież wpaść w jakąś zasadzkę albo nawet zostać gdzieś uwięziony. Być może Jupe też przypomniał sobie o tym...

Telefon w Kwaterze Głównej nie odpowiedział. Pete otworzył książkę telefoniczną, aby poszukać adresu pani Manning.

Znalazłszy go, popędził ile sił w nogach w kierunku gór, pośród których położona była rezydencja Manningów. Wkrótce potem zostawił miasto za sobą i zaczął się wspinać dnem kanionu, wcinającego się głębiej między góry. Stojąc na pedałach, pokonywał ostre zakręty drogi, aż wreszcie znalazł się u wylotu stromego podjazdu do domu pani Manning.

Wjeżdżając na podwórze, rozejrzał się, czy gdzieś nie stoi rower Jupe'a. Nie było go jednak. Drzwi otworzyła mu sama pani domu.

- Och, poznaję, ty też jesteś jednym z tych chłopców!

- Tak, psze pani - potwierdził zdyszczanym głosem Pete. - Czy jest tu jeszcze Jupiter?

- Był tu, rzeczywiście. To było miłe z jego strony, że fatygował się, aby osobiście poinformować mnie o... kamizelce mojego biednego Billa. Jestem wam ogromnie wdzięczna, chłopcy. Bo przecież gdyby nie to...

- Więc nie ma go już tutaj? - przerwał jej Pete.

- Och, nie... ehe... jak masz na imię?

- Pete - odparł prędko Drugi Detektyw. - jak dawno temu odjechał?

Pani Manning rzuciła okiem na stojący w przedpokoju wysoki, przedpotopowy zegar z wahadłem. - No, co najmniej z godzinę temu. Czy coś się stało?

- Nie wiem, psze pani - odparł z zakłopotaną miną Pete. - Czy nie powiedział przypadkiem, dokąd jedzie?

- Nie, obawiam się, że nie.

- A czy nie wydarzyło się coś ważnego, kiedy był u pani? Coś dziwnego albo nienormalnego?

- Nie przypominam sobie niczego takiego.

Pete dał za wygraną. Podziękował i odwrócił się, aby zabrać oparty o ścianę domu rower. Co też mogło się przydarzyć Jupiterowi? Przed odjazdem Pete sprawdził jeszcze teren wokół domu, nie znalazł jednak nic, prócz odcisku motocyklowego koła na grządce kwiatów przy kuchennych schodach, co nie wydało mu się jednak szczególnie, który mógłby mieć jakieś znaczenie. Nie było za to żadnych śladów po kołach od roweru.

Gdzie się podział Pierwszy Detektyw? Dlaczego nie przyjechał pod starą chałupę Sama, tak jak to było umówione? Zniknąć ot tak, bez jednego słowa, to nie było w jego stylu. A od chwili, gdy widziano go po raz ostatni, minęły pełne dwie godziny.

Zaniepokojony nie na żarty Pete zaczął schodzić powoli stromym podjazdem w kierunku drogi, prowadząc rower obok siebie.

Nagle jego uwagę przykuł bielejący z daleka zawijas. Znak zapytania! Pete zobaczył go na słupie telefonicznym po drugiej stronie drogi! Zamaszysty pytajnik wyrysowany w pośpiechu białą kredą!

Już dawno temu Trzej Detektywi wymyślili system znaków, pozostawianych w sytuacjach, gdy inne środki komunikowania się były zablokowane. Miały one służyć kolegom jako trop. Trzej Detektywi obrali sobie znak zapytania jako swój symbol, przy czym każdy z nich używał kredy w innym kolorze. Jupe'owi przypadł biały.

A teraz na telefonicznym słupie widniał znak zapytania pozostawiony przez Jupe'a!

Pete przyjrzał się dokładnie otoczeniu słupa. Zobaczył płytkie ślady po kołach lekkiej furgonetki i wąski odcisk kół roweru!

ROZDZIAŁ 19

TROPY SIĘ ŁĄCZA

Rozpłaszczony pod plandeką Bob zjeżdżał to pod jeden, to pod drugi bok skrzyni ładunkowej, kiedy furgonetka pokonywała z piskiem opon zakręty. Siedzący za kierownicą Sam bezustannie naciskał na klakson i wybuchał szaleńczym śmiechem. Bez względu na to, co zamierzał teraz zrobić, sprawiał wrażenie człowieka bardzo z siebie zadowolonego.

W pewnej chwili furgonetka zatrzymała się i Sam wyskoczył z kabiny, aby z kimś porozmawiać. Bob uniósł róg plandeki, próbując coś zobaczyć, ale rozmówca Sama stał poza zasięgiem wzroku chłopca. Udało mu się stwierdzić tylko tyle, że samochód stoi przed budynkiem, w którym doktor Ragnarson miał swój dentystyczny gabinet.

Zaraz potem ruszyli znowu. Kiedy pędząca z pirackim rozmachem furgonetka zatrzymała się w końcu, Bob poczuł słony zapach oceanu i usłyszał odgłosy portu. Doszły go też inne szmery:

Sam wspinał się na tylną klapę, aby zabrać plastikowy kanister, leżący pod plandeką tuż koło Boba!

I tak już najmniejszy z Trzech Detektywów, Bob skurczył się jeszcze bardziej, odsuwając się najdalej, jak tylko mógł, od pojemnika. Musiał jednak uważać, aby nieostrożnym ruchem nie zdradzić swej obecności. Żeby tylko Samowi nie przyszło do głowy odrzucić całej plandeki do tyłu!

Wstrzymał oddech. Szukająca po omacku ręka wśliznęła się pod plandekę i... nie znalazła kanistra!

Bob wciągnął do płuc odrobinę powietrza.

Ręka znowu zaczęła macać na oślep i natrafiła na małą łopatkę!

Do uszu Boba doszły gniewne pomruki Sama, który cisnął nieszczęsną łopatkę na chodnik. W każdej chwili mógł unieść plandekę, żeby zobaczyć, gdzie zapodział się plastikowy kanister! Jego ręka znowu wsunęła się pod brezent. Wziąwszy głęboki oddech, Bob popchnął kanister końcem stopy tak, że znalazł się on tuż obok błędzącej na ślepo ręki. A potem jeszcze bliżej!

Sam burknął coś pod nosem, a potem chwycił kanister i pociągnął go do siebie. W tym samym momencie furgonetka zakołysała się ostro i Bob usłyszał, że Sam zeskakuje na ziemię i oddala się. Po chwili jego kroki zadudniły głucho na drewnianym pomoście przystani.

Bob ostrożnie wyjrzał spod swego przykrycia. Jego oczom ukazały się otaczające port budynki. Usłyszał szum aut pędzących nadbrzeżną autostradą. Wytoczył się spod plandeki i wystawił głowę, aby rozejrzeć się ponad bocznymi ściankami skrzyni ładunkowej. Zobaczył Sama pochylonego nad łodzią Karla Ragnarsona, przycumowaną do pomostu, przy którym stały wszystkie łódki Ragnarsonów.

Szybko wyskoczył przez tylną klapę i przykucnął za kołem furgonetki. Zobaczył, że Sam jest już przy drugiej łodzi, mając ciągle pod ręką plastikowy kanister.

Bob rozejrzał się za jakąś lepszą kryjówką. Ujrzał stojące na dworze stoliki restauracji, położonej dokładnie naprzeciwko pierwszego pomostu. Szybkim krokiem pomaszerował do jednego z nich i usiadł za umieszczoną w wielkiej donicy palmą, aby obserwować stamtąd Sama, który przechodził od jednej łodzi do drugiej, a w pewnej chwili wskoczył nagle do swojej własnej łódki, odepchnął ją od pomostu i zapuścił motor. Zbity z tropu Bob zerwał się z miejsca, po to tylko, aby bezradnie przyglądać się, jak łódź Sama kieruje się do wyjścia z basenu. W chwilę potem zobaczył jednak, że Sam nie wypływa na pełne morze, ale zmierza w kierunku innego długiego pirsu, położonego w głębi portu. Nie namyślając się, Bob popędził prowadzącym w tamtą stronę chodnikiem dla pieszych.

Pete wskoczył na rower i zaczął zjeżdżać krętym kanionem w kierunku Rocky Beach, przeszukując po drodze oczami jezdnię, a także rosnące na poboczu drzewa i krzaki w nadziei, że znajdzie jakieś nowe znaki, pozostawione przez Jupitera. W końcu dotarł do skrzyżowania. Którą drogę wybrać?

Na drodze prowadzącej do miasta leżał okrągły, pomarańczowy korek. Widniał na nim narysowany białą kredą znak zapytania! Pete uśmiechnął się. Jupe zawsze znajdował jakiś sposób, aby zostawić za sobą wyraźny trop!

Jadąc w kierunku miasta, Pete bez przerwy rozglądał się za nowymi znakami. Ale aż do następnego skrzyżowania nie znalazł nic. Dopiero tam ujrzał na jezdni pomarańczowy korek z białym znakiem zapytania, wskazujący właściwą drogę.

Pete mocniej nacisnął na pedały, by jak najprędzej dotrzeć do kolejnego rozwidlenia dróg. Ale tym razem na próżno szukał oczami nowego znaku. Nie znalazł nic.

Nie było ani pomarańczowego korka, ani żadnego innego przedmiotu, na którym dałoby się narysować znak zapytania!

Zdawał sobie sprawę, że Jupe na pewno zostawiłby jakiś znak, gdyby mógł to zrobić. Widocznie obserwowano go, gdy furgonetka znalazła się na tym rozdrożu. W tej sytuacji Pete mógł więc zrobić tylko jedno: wybrać jedną z odnóg i jechać nią do końca albo do znalezienia następnego znaku. Gdyby go nie znalazł, musiałby zawrócić i zbadać drugą odnogę.

Wybrał drogę idącą na prawo, ponieważ aż dotąd wszystkie ślady prowadziły w kierunku śródmieścia i oceanu. Przebywszy nią około kilometra, zobaczył leżący niemal na środku jezdni kawałek drewna. Poczerniałe, zniszczone drewnienko z wyrysowanym pośpiesznie znakiem zapytania! Wybór okazał się właściwy.

Ten trop poprowadził Pete'a w dół, aż do portu, z jego licznymi basenami i pirsami. Gdzieś tam, między wszystkimi tymi pomostami i łodziami był Jupe. Ale gdzie? Przez chwilę Pete naprawdę nie wiedział, w którą stronę się zwrócić. Zaczął gorączkowo analizować sytuację. Pomarańczowe korki, które znalazł na drodze, wykorzystywane były jako pływaki przy rybackich sieciach, utrzymujące je tuż pod powierzchnią wody. Może Jupe znajdował się w samochodzie jakiegoś amatora ryb, który wybierał się właśnie na połów swoją łódką? W takim razie należałoby najpierw przeszukać pomosty i pirsy.

Pedałując powoli, zaczął przemierzać okrążający cały port deptak dla pieszych.

Zobaczył maleńki znak zapytania, wypisany białą kredą na stojącym obok chodnika telefonicznym słupie. Słup usytuowany był w miejscu, w którym prowadzący od autostrady podjazd skręcał na parking przeznaczony dla klientów oddzielnego, handlowego pirsu, obok którego wznosiły się budynki mieszczące magazyny i biura. Pete podjechał do stojaków, i przymocowawszy swój rower łańcuszkiem z kłódką, ruszył na piechotę w stronę parkingu.

Ostatni biały znak zapytania znajdował się na kole poobijanej, białej furgonetki z numerami stanu Kalifornia, zaczynającymi się od liczby "56". Furgonetki należącej do osobników, którzy atakowali Boba i jego ojca, aby zabrać im zdjęcia!

Pete rozejrzał się uważnie. Jedynym miejscem nadającym się na schowek mógł być któryś z budynków stojących na samym pirsie.

Nie tracąc ani chwili, Pete popędził przez parking w kierunku pirsu. Znalazłszy się tam, dokładnie obejrzał wszystkie budynki. Znajdowały się w nich magazyny i składy przeznaczone dla zawodowych rybaków. Wszędzie widać było piramidy beczek, stosy sieci i zwoje lin. Nie było jednak żadnych ludzi. Minęło już południe i większość robotników pojechała na weekend. Pete zaczął wodzić wzrokiem po brudnych oknach w nadziei, że znajdzie jakiś ślad obecności Jupe'a. Przyglądał się ścianom i pozamykanym drzwiom, szukając na nich białego znaku zapytania. Nie znalazł nic.

Na samym końcu pirsu, tuż za ostatnim budynkiem, stał na cumach jednomasztowy trawler, z którego zwisały rozpięte na bomie sieci. Z pomarańczowymi, korkowymi pływakami!

Coś poruszyło się nagle w cieniu, między wysokimi na dwa piętra ścianami ostatnich dwóch budynków. I znowu. Jakaś skradająca się, skulona przy ziemi postać.

Pete podszedł bliżej. Ktoś przycupnął pod samym murem, tak jakby chciał się przed kimś ukryć. Na dźwięk korków Pete'a odwrócił się.

- Pete!

- Bob!

Dwaj detektywi podbiegli do siebie.

- Bob, co ty tu robisz? - zapytał szeptem Pete. - Miałeś przecież śledzić Sama Ragnarsona.

- I tak zrobiłem. Śledziłem go aż do tego miejsca. Wszedł na chwilę do tego tutaj, ostatniego budynku, ale był w środku tylko przez moment. A potem wrócił do swojej łódki i wypłynął z portu! Nie mogłem przecież rzucić się do wody i popłynąć za nim - wyjaśnił Bob.

- A ty, co ty tu robisz? Gdzie jest Jupe?

Pete opowiedział szybko o swej wizycie u pani Manning, o zniknięciu Jupitera i pozostawionych przez niego śladach.

- Jestem pewien, że on wpadł w jakieś kłopoty - zakończył. - Bo w przeciwnym razie zostawiłby wyraźne znaki na wszystkich telefonicznych słupach.

Bob kiwnął głową.

- On musi być gdzieś tu blisko. Tylko gdzie?

Obaj chłopcy w milczeniu popatrzyli na rząd stojących cicho na skraju portu budynków. Wszystko wskazywało na to, że tak zazwyczaj zaradny i dzielny Pierwszy Detektyw po prostu wyparował!

ROZDZIAŁ 20

UWIĘZIONY!

Jupiter spojrział ze złością na stojących przed nim dwóch zamaskowanych mężczyzn. Siedział przywiązany do zwykłego krzesła w maleńkim pokoiku na piętrze, do którego światło wpadało przez jedyne, wysoko umieszczone okno. Gdzieś z dołu dochodził go szum fal bijących o falochrony i zapach ryb i smoły.

- Proponuję, żebyście mnie uwolnili, bo inaczej czekają was poważne kłopoty - powiedział groźnym tonem Pierwszy Detektyw.

- Chłopaś ma gębę nie od parady - zarechotał w odpowiedzi wyższy z mężczyzn w brązowych narciarskich goglach.

- Co za wścibskie dzieciuchy węszące tam, gdzie ich nie posieli - zawtórował mu niższy, z wytatuowaną na przedramieniu rusalką.

- Możecie być pewni, moi partnerzy mnie odnajdą - ostrzegł Jupiter. - Sprowadzą policję, Porywanie dzieci to poważna sprawa.

- Słyszysz, Walt, jaki z niego gaduła? - zaśmiał się znowu wyższy.

- Jeżeli chcesz zobaczyć się jeszcze z twoimi kolesiami, chłopczyku - odezwał się ten z tatuażem - to lepiej powiedz, gdzie są wszystkie zdjęcia, które tam zrobiliście.

- Obawiam się, że spóźniliście się o jeden dzień - odparł poirytowanym tonem Jupiter. - Pan Andrews wydrukował te zdjęcia we wczorajszej gazecie.

- Ted, chciałbyś mieć tyle sadła, co on? - zaszydził Walt. - Uważaj, żebyś sam się nie spóźnił o jeden cały dzień. Mamy na myśli całkiem inne zdjęcia.

Ted pochylił się groźnie nad siedzącym Jupiterem.

- Chcemy mieć wszystkie pozostałe obrazki, grubasie. I to już!

- Co wy i ten Sam Ragnarson właściwie robicie na Skale Rozbitków? - zapytał Jupiter.

- Szmuglujecie coś?

- Kto to jest Sam Ragnarson?

- Skąd wiesz, że mamy na tej skale coś do roboty?

- Omijamy tę wyspę z daleka.

- Zbyt niebezpieczna, zgadza się, Ted?

- Jasne.

- Widzieliśmy was tam wczoraj w nocy! - zablefował Jupiter.

Dwaj mężczyźni w milczeniu spojrzeli na swego więźnia. Panującą w małym pokoiku

ciszę zakłócał tylko głośniejszy teraz szum oceanu bijącego o falochrony.

- Czasami dzieciaki robią się takie sprytne, że nie wychodzi im to na dobre. Wiesz, co mam na myśli, Ted?

- O wiele za sprytne - potwierdził ten wyższy.

- Ktoś mógłby je znaleźć w którymś z basenów portowych.

- Jeżeli w ogóle zostałyby znalezione.

Jupiter przełknął ślinę. Nie drgnął jednak nawet żaden mięsień jego twarzy.

- Nie zastraszcicie mnie - powiedział spokojnym głosem. - Nie możecie sobie pozwolić na zrobienie mi najmniejszej krzywdy, dopóki nie dostaniecie tych zdjęć!

- Nie bądź tego zbyt pewien, chłopcze - warknął Walt.

- Jest was trzech - powiedział Ted. - Jeżeli dwaj pozostali znajdą twoje ciało pływające w basenie portowym, ich starzy nie będą zwlekać z dostarczeniem nam tych obrazków.

Jupiter poczuł, że błędnie. Nadal jednak panował nad sobą. Okazywanie strachu nie pomogłoby mu bez względu na to, co ci dwaj zamaskowani faceci mieli zamiar z nim zrobić. Ogarnęła go złość, granicząca z wściekłością.

- Co myśmy właściwie sfotografowali? Operację szmuglowania? - wykrzyknął na cały głos. - Czego? Złota? Nielegalnych imigrantów? Narkotyków?

- Szmuglowania? - powtórzył za nim Ted. - Ten gagatek myśli, że my jesteśmy przemytnikami.

- Widać po nim, że to myśliciel - stwierdził kpiąco Walt.

- Rzeczywiście, chytra sztuka - zgodził się Ted.

- Jeżeli jesteśmy przemytnikami, to niebezpieczni z nas faceci. Zgadza się, chłopczasiu? - powiedział Walt. - Lepiej powiedz nam od razu, gdzie mamy szukać tych zdjęć.

- Wystarczy, żebyś nam wręczył odbitki - zaproponował Ted - a wrócisz do domu cały i zdrowy. W każdym calu - dodał ze złośliwym uśmiechem.

- Zadzwoń do swoich kumpli i powiedz im, żeby przywieźli tu te zdjęcia - rzucił groźnie Walt.

- No, nie namyślaj się za długo.

- Zrób to, dopóki jeszcze możesz to zrobić.

- Chyba chcesz wrócić do swojej mamuski, no nie?

Jupiter znowu przełknął ślinę, a potem kiwnął głową.

- Dobrze. Zadzwoń do nich.

- Teraz dopiero widać, że jesteś naprawdę rozgarniętym bobasem - powiedział Ted.

- Tylko bez kawałów, chłopcze - ostrzegł Jupitera Walt. - W twojej bluzie znaleźliśmy waszą wizytówkę i znamy wasz numer telefonu. Powiedz, o co chodzi, i nie próbuj nic kręcić.

Jego kolega wyszedł z małego pokoiku i po chwili wrócił z aparatem telefonicznym w ręku. Włożył wtyczkę do gniazdka znajdującego się tuż obok Jupitera, a potem, pracowicie studiując wizytówkę Trzech Detektywów, nakręcił numer Kwatery Głównej. Następnie przyłożył słuchawkę do głowy Jupitera.

- Powiedz im, że przyszedł ci do głowy pewien pomysł - podpowiedział mu Ted. - Że musisz niezwłocznie przyjrzeć się wszystkim zdjęciom tu, na miejscu, żeby się upewnić, że masz rację. Powiedz im, żeby przywieźli je migiem.

- I zrób nam i sobie przyjemność - ostrzegł go Walt. - Żadnych kawałów.

Jupiter skinął głową. Było całkiem możliwe, że Pete albo Bob pojechali do Kwatery, żeby czekać na telefon od niego. Jeśli by któryś z nich tam był, Jupe przekazałby mu zakodowaną informację ostrzegającą, że jest uwięziony.

W słuchawce ozwał się sygnał dzwonka. Potem następne. Nikt jednak nie odpowiadał.

Ted rzucił w końcu słuchawkę na widełki aparatu.

- Odczekamy trochę, a potem spróbujemy znowu.

Do pokoiku dotarł stłumiony odgłos pukania do drzwi wejściowych na dole. Zamaskowani faceci znieruchomieli.

- Skocz i zobacz, co się dzieje - powiedział Ted.

Jego niższy kolega, Walt, sięgnął ręką do maski, tak jakby miał zamiar ją zdjąć, i wyszedł z pokoju. Po chwili zadudniły jego kroki na schodach. Nastąpiła chwila ciszy. A potem rozległo się wołanie.

- Hej, Ted, przyszedł nowy szef rybnego rynku! Zejdź na dół!

- Siedź spokojnie - ostrzegł Jupitera Ted i wybiegł z pokoju. Jupiter usłyszał szczeł klucza przekręcanego w zamku u drzwi. Zaczął naprężać sznury, którymi przywiązane były do krzesła jego ręce i nogi. Zdawało się, że ustępują odrobinę, o wiele jednak za mało, aby rozluźnić się zupełnie. Zdesperowany, rozejrzał się szybko po małym pokoiku za czymś, co pomogłoby mu się uwolnić. Nie zobaczył nic takiego. Okno było wprawdzie trochę uchylone, znajdowało się jednak za wysoko, aby mógł go dosięgnąć, nawet gdyby wszedł na krzesło.

Był pewien, że Pete albo Bob pojechali go szukać i że znaleźli pozostawione przez niego na drodze znaki. Umieszczenie pierwszego z nich na słupie telefonicznym koło dróżki dojazdowej do domu Manningów nie sprawiło mu żadnego kłopotu. Jupiter stał wtedy twarzą do swych porywaczy, oparty plecami o słup, podczas gdy oni ładowali na skrzynię furgonetki jego rower. Trzymając ręce za sobą, narysował tamten znak zapytania jednym szybkim

ruchem. Potem było już znacznie trudniej.

Jedyną możliwością było rysowanie znaków zapytania na walających się po skrzyni ładunkowej korkowych pływakach i kawałku wyrzuconego przez morze drewna, a potem ciśnienie ich na jezdnię w chwili, gdy jadący razem z nim na skrzyni Walt patrzył w inną stronę. Najłatwiejszy był ostatni znak, narysowany w momencie, gdy porywacze kazali mu usiąść i oprzeć się plecami o koło furgonetki, podczas gdy Ted poszedł sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, a Walt czekał na jego sygnał, aby zaprowadził Jupitera do budynku na końcu pirsu.

Przy odrobinie szczęścia Bob albo Pete mogli przyjechać po tych śladach aż tutaj. Gdyby jednak Jupe nie zdołał rozluźnić sznurów, nie miałby możliwości skontaktowania się z nimi. Jeszcze raz naprężył się, próbując uwolnić się z więzów. Opadł jednak, ciężko dysząc, na krzesło, rozglądając się rozpaczliwie za czymkolwiek, co mogłoby mu pomóc.

Nie było jednak nic prócz jego własnego roweru.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się beznadziejnym wzrokiem w skórzane torebki, wiszące pod siodełkiem. Naraz olśniła go zbawcza myśl. Jeśli ci zamaskowani bandyci nie zabrali go stamtąd, w jednej z torebek powinno być jego walkie-talkie! Włożył je tam rano po powrocie ze Skały Rozbitków.

Nadludzkim wysiłkiem naprężył się jeszcze raz i stanął na nogach, z krzesłem wciąż uwiązany do jego kończyn. Nie mógł iść, był jednak w stanie poruszać się małymi skokami i w ten sposób dotrzeć do roweru. Znalazłszy się koło niego, rzucił się na kolana i obmacał nosem torebkę, znajdującą się po tej stronie.

Walkie-talkie było w środku!

Odpiąwszy zębami skórzaną sprzączkę, uniósł nosem pokrywkę, a potem, przytrzymując ją w górze głową, ostrożnie ujął aparat ustami i wyjął go z torebki. Najwidoczniej jednak chwyt nie był dość mocny, bo śliski plastik zaczął mu się wymykać, wysuwać, aż wreszcie walkie-talkie rąbnęło z łoskotem o podłogę...

Jupiter wstrzymał oddech.

Panującą w budynku ciszę zakłócały tylko dalekie odgłosy oceanu i dochodzące od czasu do czasu z dołu niewyraźne głosy.

Żadnych zbliżających się kroków.

Przewróciwszy się na bok, popchnął aparat do ściany, a potem wcisnął nosem guzik z napisem "Nadawanie".

- Koledzy! - jęknął przez nos. - Bob! Pete! Jesteście tu? Słyszycie mnie? Chodźcie tu prędko...

ROZDZIAŁ 21

RYZYKOWNE ODBICIE

- Bob! Pete! Jesteście tu? Słyszycie mnie? Chodźcie tu prędko...

Bob i Pete przycupnęli za jakimiś skrzyniami, stojącymi tuż obok piętrowego, drewnianego budynku na końcu pirsu. Dopiero co zauważyli mężczyznę, który zapukał do drzwi budynku, a potem wszedł do środka. Znany im tak dobrze głos zdawał się dochodzić z samego nabrzeża.

- To Jupe! - krzyknął Pete.

- Moje walkie-talkie! - zawtórował mu Bob, sięgając do kieszeni bluzy. Błyskawicznie wyjął mały, zrobiony przez Jupitera, aparat i nacisnął przycisk "Nadawanie".

- Szeffie! Gdzie jesteś? Nic ci się nie stało?

W głośniku odezwał się dziwnie zniekształcony głos Jupitera, tak jakby Pierwszy ścisnął sobie nos palcami.

- Bob, to ty? Jestem w jakimś budynku na samym końcu rybackiego nabrzeża w porcie. Dwóch bandziorów, tych samych, którzy zabrali twoje negatywy, porwało mnie z domu pani Manning. Gdzie jesteś?

- Siedzimy obaj z Bobem koło tego właśnie budynku! - rzucił skwapliwie Pete do mikrofonu swojego aparatu. - Przyjechałem tu po śladach, które zostawiłeś!

- A ja przyjechałem... - zaczął Bob.

- Musicie uwolnić mnie stąd - przerwał mu głos Jupitera. - W tej chwili jestem tu sam. Oni poszli coś tam omawiać z kierownikiem rybnego targu i powinno im to zająć jakiś czas. Musimy się jednak spieszyć!

- Jupe, powiedz nam dokładnie, gdzie jesteś - poprosił Bob.

- Znajduję się w małym pokoiku, zdaje się, na pierwszym piętrze ostatniego budynku przy nabrzeżu. Jestem przywiązany do krzesła. W pokoju jest tylko jedno małe okno, które jest uchylone na dwa albo trzy centymetry. Ale ono znajduje się za wysoko, żebym mógł go dosięgnąć.

- Co widzisz przez to okno?

- Tylko kawałek nieba.

- A co słyszysz?

- Fale łamiące się na falochronie. Może także coś ciężkiego, co uderza o budynek.

Pete kiwnął głową Bobowi i wskazał ręką rybacki kuter, obijający się o pirs tuż koło

budynku.

- Czy jesteś w stanie zobaczyć cokolwiek z okna, szefie? - zapytał Pete do mikrofonu swego aparaciku.

Zapadła cisza. Dopiero po chwili ozwał się przyciszony głos Jupitera.

- Widzę małą, prawie okrągłą chmurkę.

Bob i Pete unieśli głowy i niemal jednocześnie ujrzeli mały obłoczek, wędrujący powoli po zachodniej stronie nieba. Nie tracąc ani chwili, zerwali się z miejsca i pobiegli na zachodni kraniec pirsu, odwrócili się i zadarli głowy. Wysoko w górze dostrzegli, jedyne w całej zachodniej ścianie budynku, małe okienko, wychodzące na ocean. Między budynkiem i wodą znajdowało się tylko bardzo małe wąskie przejście.

- W porządku Jupe. Zdaje się, że mamy to twoje okno - zameldował Pete. - Co możesz zrobić sam, żeby się stamtąd wydostać?

- Nic - zabrzmiała w głośniku odpowiedź Jupitera. - Jestem przywiązany do krzesła i nie mam czym przeciąć sznurów.

Bob i Pete przykucnęli w zamyśleniu przy ścianie budynku. Słysząc było tylko poskrzypywanie ocierającego się o nabrzeże trawlera. Nieco dalej, już na otwartej wodzie, śmigały motorówki ciągnące narciarzy wodnych. Widać też było kilka żagli amatorów windsurfingu.

- Jupe nie da rady wydostać się stamtąd o własnych siłach - odezwał się po chwili Pete. - W takim razie my będziemy musieli tam się wdrapać.

Bob uniósł głowę i popatrzył na jaśniejące wysoko w górze okienko.

- Jasne - powiedział. - Tylko jak?

Pete zamyślił się. Podniósłszy się, ruszył powoli wzdłuż ściany budynku i popatrzył na pokład kołyszącego się na łagodnej portowej fali trawlera.

- Ej! Tam są jakieś liny! Myślę, że udałoby się podciągnąć ten bom tak, żeby się znalazł w pobliżu okna. A wtedy jeden z nas wdrapie się po nim na górę!

Bob zmierzył wzrokiem długi bom trawlera, a potem spojrział jeszcze raz na małe okno.

- Tylko który z nas? Pytam się, tak jakbym nie wiedział... - mruknął pod nosem, robiąc tak zwaną rzadką minę.

- Masz dziś dobry dzień! - zachęcił go z chytrym uśmiechem Pete. - A poza tym, Bob, tu potrzeba kogoś niedużego i lekkiego. Nie wiemy przecież, ile może unieść ten bom i ta linka, a dojdzie jeszcze ciężar Jupe'a. Wiesz chyba, ile on waży?

W jednej chwili obaj chłopcy wskoczyli na pokład trawlera. Pete ujął koniec długiej,

zwiniętej spiralnie linki i obwiązał nią Boba w pasie, wyjaśniając jednocześnie, dlaczego to robi.

- Wdrapiasz się po sieci na sam koniec bomu, a potem ja przy pomocy drugiej liny przeciągnę bom tak, żebyś się znalazł przy linie, którą jesteś obwiązany. Odetniesz Jupe'a i ja wyciągnę was po kolei na górę. Potem złapiecie się obaj bomu, ja przeciągnę go z powrotem tam, gdzie jest teraz, i obaj zejdzicie na dół po siatce! Kapujesz?

Na twarzy Boba malowała się niepewność.

- Sam nie wiem, Pete. Zdaje mi się, że jest tu mnóstwo rzeczy, które mogą pójść nie po naszej myśli.

- Jediną rzeczą, która nam grozi, jest to, że złapią nas faceci, którzy porwali Jupe'a. Nie traćmy więc czasu. Masz tu mój scyzoryk, uwolnisz nim szefa. Kiedy będziecie gotowi do wyjścia, pociągnij za tę linkę.

Kiedy Pete dokończył obwiązywania kolegi, Bob zaczął się wspinać po siatce. Poszło mu to łatwiej, niż mógł przypuszczać, bo rybacka sieć zachowywała się zupełnie jak drabina. Kiedy znalazł się na czubku długiego bomu, który przymocowany był do dolnej części masztu i wznosił się pod ostrym kątem do góry, Pete zaczął ciągnąć za drugą linkę, aż Bob, zatoczywszy szeroki łuk, mógł dosięgnąć okna. Znalazłszy się naprzeciwko niego, specjalista od dokumentacji i analiz otworzył je na oścież i wdrapał się na parapet.

Pete na pokładzie trawlera umocował linkę idącą od bomu, obserwując jednocześnie Boba, który zaczął już opuszczać się na dół po drugiej stronie okna. Drugi Detektyw zabrał się teraz do luzowania linki; na jej drugim końcu uwiązany był Bob, który w chwilę potem zniknął mu z pola widzenia.

Tymczasem leżący na boku Jupiter wyszczerzył zęby do opuszczającego się na linie Boba. Znalazłszy się na podłodze, dzielny analityk odwiązał linkę i popędził do Jupitera.

- Prędko! - ponaglił go Jupe. - Oni mogą wrócić w każdej chwili!

Wystarczyło kilka szybkich cięć scyzoryka, aby wiążące Jupitera sznury puściły.

Obaj chłopcy rzucili się z powrotem do okna, zabrawszy ze sobą krzesło. Bob wskoczył na nie jako pierwszy i chwyciwszy się końcami palców za parapet, podciągnął się błyskawicznie do okna.

Teraz przyszła kolej na Jupitera, który stanął na krześle i złapał się wysuniętej ku niemu ręki Boba, a potem, sapiąc i postępując, wygramolił się w końcu także na wysoko położony parapet. Pewnym problemem było dla trochę zbyt... krępego Pierwszego Detektywa przecięnięcie się przez wąski otwór. Ostatecznie jednak wyskoczył z niego po drugiej stronie niczym korek z butelki, łapiąc się zwisającej z bomu sieci. Kiedy i on, i Bob chwycili się jej

solidnie, Pete pociągnął z całej siły za umocowany do noku szot, aby odciągnąć bom od okna.

Nie docenił jednak potencjału energii, skupionej w znajdującym się w ruchu szefie. Rozpędzony bom wyrwał mu linę z ręki i, przeleciawszy nad pokładem, zatoczył łuk nad wodą po drugiej stronie trawlera, aby zatrzymać się z ostrym szarpnięciem, po dojechaniu do krańca swej drogi. Sieć wyrwała się z rąk Jupitera i Boba i obaj chłopcy, zatoczywszy wdzięczny łuk, wpadli z głośnym chlapnięciem do portowego basenu.

W chwilę potem obaj wypłynęli na powierzchnię, parszkając niczym dwa swawolne morświny.

- Rzuć linę! - wysapał Jupiter.

Stojący na pokładzie trawlera Pete zanosił się od śmiechu. Niewiele brakowało, a nie dosłyszałby gniewnych pokrzykiwań za plecami. Obejrzał się w ostatniej chwili i zobaczył dwóch pędzących ku niemu zamaskowanych mężczyzn.

- Płyńcie do brzegu! - krzyknął do szamocących się w wodzie kolegów. I w tej samej chwili zgrabnym skokiem z pokładu trawlera dołączył do nich.

Znalazłszy się w komplecie, cała trójka skierowała się do miejsca, w którym pirs przechodził w niezabetonowane, naturalne nabrzeże. Wkrótce poczuli pod nogami dno i brodząc w płytkiej wodzie, mokrzy i ociekający wyszli na brzeg. Wmieszali się najpierw w zażywających słońca plażowiczów, a potem między ludzi spacerujących po portowym deptaku.

- Nie będą nas tu ścigać - powiedział Pete. - A w każdym razie nie odważą się tu pokazać w tych maskach.

- Łapmy autobus i spadajmy stąd czym prędzej! - ponaglił kolegów Jupiter.

- A co z moim rowerem? - zapytał Pete.

- Rowery odzyskamy później - zdecydował Jupiter.

Wsiadłszy w ociekających wciąż wodą ubraniach do autobusu, chłopcy zajęli miejsca na samym jego końcu. Kilku pasażerów rzuciło im zdziwione spojrzenia, oni byli jednak zbyt zajęci sobą, aby zwracać uwagę na takie drobiazgi. Bob i Pete opowiedzieli Jupiterowi o tym, co udało się im znaleźć na zapleczu garażu Sama Ragnarsona i co on sam robił potem w porcie.

- Więc to on udawał ducha kapitana Coultera, ducha utopionego żeglarza, a może także i wilka, a wszystko to dlatego, że znalazł na Skale Rozbitków część złotego skarbu z "Gwiazdy Panamy"! - dokończył swej relacji Bob.

- Ci dwaj w narciarskich maskach to na pewno jego obstawa - dodał Pete.

- A on przyjechał tu po to, żeby się z nimi spotkać! - zauważył Bob. - Założę się, że

wczoraj w nocy jeden z nich był na tym statku, drugi sygnalizował latarką z brzegu, a Sam próbował nas odstraszyć, przebrany za kapitana Coultera. Statek przyплыł tam po to, żeby zabrać złoto!

- Może i tak, szanowny poeto - zamyślił się Jupiter - ale ja ciągle nie widzę powodu, dla którego Sam miałby korzystać z ich pomocy przy wywiezieniu skarbu.

- W takim razie, co oni mogą mieć innego do roboty na wyspie i dlaczego Sam popłynął dziś na handlowe nabrzeże, żeby z nimi rozmawiać? - zapytał Pete.

- Zgoda, rzeczywiście wygląda to tak, jakby oni ze sobą współpracowali - przyznał Jupiter. - Sam musiał mnie jednak spostrzec, jak jechałem do pani Manning, i posłał ich do jej domu, żeby mnie porwali.

- Sam jeździł do pani Manning? - zapytał Bob.

- Tak. Prawdopodobnie usłyszał od swego ojca, że ja wybieram się do niej, i zdążył dojechać tam motocyklem przede mną.

Na twarzy Pete'a pojawiło się zakłopotanie.

- Nie rozumiem, po jakie licha miałby robić taki kawał drogi?

Jupiter wzruszył ramionami.

- Być może stara się mieć nas przez cały czas na oku. Ja na wszelki wypadek zapytałem panią Manning, czy z nim rozmawiała, ale ani ona, ani jej szwagier nie widzieli go tam nawet. Przypuszczam, że Sam próbował może coś ukryć koło jej domu. Ale nie, czekajcie! Przecież koło jego motocykla zostawiło wyraźny odcisk na grządce tuż obok kuchennych schodów. Więc nie krył się tam wcale. Ale w takim razie dlaczego nikt go nie widział?

Pierwszy Detektyw zamilkł z zakłopotaną miną. - Coś mi tu ciągle nie pasuje - powiedział po chwili. - Wiecie co, pojedźmy do Kwatery Głównej i jeszcze raz zastanówmy się nad tym wszystkim!

ROZDZIAŁ 22

ROZGRYWKA SAMA

Wróciwszy do służącej za Kwaterę Główną, zamaskowanej przyczepy, chłopcy jeszcze raz rozłożyli na biurku, krzesłach i wyciągniętych szufladach regału czterdzieści osiem odbitek fotograficznych, z których Pete i Bob wyselekcjonowali wszystkie zdjęcia, na których widać było Sama.

- To on - pokazał palcem Pete. - Pochyliła się za plecami całej reszty. Założę się, że wygrzebuje z jakiejś szczeliny te monety i samородki.

- Zobaczył, że robię zdjęcia - wtrącił Bob - i dlatego chciał je potem zdobyć.

Trzej Detektywi byli w trakcie analizowania szczegółów sprawy. Jupiter krążył powoli po małym pomieszczeniu, przyglądając się kolejnym zdjęciom.

- Tak, musiało mu chodzić o te właśnie zdjęcia - przytaknął. - Tak naprawdę to one wcale nie pokazują, co on robi, ale on o tym nie wie i nie chce ryzykować, że ktoś mógłby domyślić się, co tam znalazł. Chce przegonić wszystkich z wyspy, żeby spokojnie rozejrzeć się za resztą skarbu. I dlatego odtwarzał z magnetofonu wilcze wycia, a sam przebrał się za ducha.

Powiedziawszy to, Jupiter zrobił znowu parę kroków i wziął do ręki następne zdjęcie.

- A ci dwaj osobnicy w maskach pracują dla niego. Z myślą o nim ukradli negatywy i próbowali wyrwać nam również duplikaty zdjęć - podsumował Bob. - Sam wysłał ich, żeby cię porwali, a potem poszedł do nich, żeby się dowiedzieć, czy zdobyli już te odbitki. Nie chciał, żeby ktokolwiek inny dowiedział się o złotym skarbie.

- Może znalazł już wszystko? - zamyślił się głośno Pete. - I ukrył to gdzieś na wyspie, a te dwa typki chcą to przewieźć tym rybackim kutrem w jakieś bezpieczne miejsce?

- To właśnie zamierzali zrobić zeszłej nocy, korzystając z mgły - stwierdził Bob - ale my ich odstraszyliśmy. Jestem pewien, że wybrali wczorajszą noc właśnie ze względu na mgłę, mimo że na wyspie było jeszcze kilka osób!

- Tak - kiwnął w zamyśleniu głową Jupiter. - To jest logiczne wyjaśnienie sprawy. Ale ciągle wraca to samo pytanie: po co w ogóle potrzebni są Samowi ci dwaj faceci? Dlaczego nie stara się zatrzymać całego złota przy sobie? Mógłby przecież ukryć je gdzieś na wyspie i zabierać je stamtąd po trochu, dopóty przynajmniej, dopóki nikt inny nie dowiedziałby się o tym, że je znalazł.

- Może zatrudnił ich, ponieważ uważał, że domyśliliśmy się z tych zdjęć, co on tam

knuje - zasugerował Pete. - Chciał wywieźć całe złoto jak najprędzej.

- Tak, Pete, to możliwe - zgodził się Jupiter, marszcząc brwi.

- Wciąż jednak nie pojmuję, w jaki sposób Sam mógł wysłać wczoraj tych dwóch, żeby napadli na pana Andrewsa, zanim jeszcze zdążył zobaczyć sześć zdjęć wydrukowanych w gazecie. Pamiętajcie przy tym, co powiedział doktor Ragnarson. Według niego Sam znajdował się na wyspie w czasie, gdy te dwa bandziory zabierały Bobowi we środę kopertę z negatywami.

- Ale jeżeli to nie Sam wysłał tych dwóch po zdjęcia, szefie - zamyślił się Bob - to kto w takim razie to zrobił?

- A poza tym - zauważył Pete - Bob widział, jak Sam rozmawiał z nimi na nabrzeżu!

- To prawda - przyznał Jupiter. - Oni rzeczywiście muszą współpracować ze sobą.

- Może powinniśmy powiedzieć o tym doktorowi Ragnarsonowi i panu Karlowi? - zapytał Bob. - A może i policji?

Jupiter zaczął miętosić dwoma palcami dolną wargę - nieomylny znak, że jego szare komórki ruszyły do intensywnej pracy. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po rzędach kolorowych obrazków.

- Brak nam przekonującego dowodu, że Sam ma więcej złota, prócz tych paru monet. Nie jestem też pewien, czy wszystko, co dzieje się tam, na wyspie, kręci się wyłącznie wokół tego skarbu. W dodatku jedynym przestępstwem, jakie dotąd zostało popełnione, było porwanie, którego nie możemy przypisać Samowi, nie mając na to żadnego dowodu. Tak więc zanim pójdziemy na policję, musimy przyłapać Sama na gorącym uczynku. A jedynym miejscem, gdzie da się to zrobić, jest Skala Rozbitków. Popłyniemy tam znowu dziś wieczorem z doktorem Ragnarsonem i z panem Karlem. Proponuję, żebyśmy wrócili teraz do domów, aby zabrać ciepłe ubrania i uprzedzić starszków, że prawdopodobnie spędzimy na wyspie jeszcze jedną noc.

Uzgodniwszy plan działania, chłopcy wypełzli na dwór Tunelem Drugim, po czym Bob i Pete oddalili się lekkim truchtem w kierunku swoich domów. Kiedy Bob dotarł do siebie, było już po piątej. Jego ojciec siedział w salonie.

- I jak tam. Bob, dowiedziałeś się czegoś o tych dwóch, którzy próbowali zabrać nam twoje zdjęcia?

- Przypuszczamy, że oni pracują dla Sama Ragnarsona, tato. A on znalazł złoto z "Gwiazdy Panamy" i nie chce, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

- A ty sfotografowałeś złoty skarb!

- Tak przypuszczamy. Albo coś w tym sensie.

Wpadłszy na chwilę do swego pokoju. Bob zabrał tylko ciepłą bluzę i w moment później był znowu na dole.

-Tato, powiedz mamie, że nie będę dziś na kolacji, bo jedziemy znowu na Skałę. Być może zostaniemy tam do rana.

- W porządku - uśmiechnął się pan Andrews.

Przy mocno jeszcze przygrzewającym słońcu Bob popędził z powrotem do składnicy złomu. Znalazł się na miejscu prawie jednocześnie z Peteem. Jupiter czekał już na nich. Pierwszy Detektyw był mocno podekscytowany czekającą ich przygodą.

- Prędzej, chłopaki! Hans siedzi już w kabinie ciężarówki! Musimy jak najszybciej znaleźć się w porcie, żeby dopłynąć na Skałę, zanim zrobi się całkiem ciemno!

- O rany, Juve! - wykrzyknął Pete. - Masz coś nowego?

- Nie jestem tego całkiem pewien - odparł szef dzielnej trójki - ale przyjrzałem się jeszcze raz tym zdjęciom i jeżeli się nie mylę, to na Skale Rozbitków dzieje się coś znacznie bardziej groźnego, niż się nam wydawało!

- Ale skąd ten pośpiech, szefie? - zapytał Bob, kiedy wszyscy trzej biegli już do czekającej na nich ciężarówki.

- Ponieważ Sam już tam jest, a po zmroku może być za późno.

- A co z doktorem Ragnarsonem i panem Karlem? - przypomniał Bob.

- Są już w porcie - odparł Jupiter. - Dzwoniłem do nich zaraz po waszym odejściu. Zaplanowali, że wyruszą o szóstej, razem z przyjaciółmi, którzy w dalszym ciągu mają ochotę popłynąć na wyspę.

- A co z naszymi strojami? - zapytał Pete.

- One nie mają już prawie żadnego znaczenia - odetchnął z ulgą Jupiter. - Sam i tak przecież wie, kim jesteśmy i co tam robimy.

Chłopcy błyskawicznie wdrapali się na skrzynię ładunkową i Hans ruszył w kierunku portu. Grzechotanie podwozia starej ciężarówki i skrzypienie resorów nie zachęcały do prowadzenia rozmowy, toteż w czasie drogi Bob i Pete zastanawiali się tylko, jakiego też asa ich szef może mieć tym razem w rękawie. Wkrótce znaleźli się na bulwarze biegnącym wzdłuż wybrzeża, w pobliżu miejsca, przy którym więziony był Jupiter.

- Mój rower jeszcze tam stoi - zauważył z uśmiechem Pete.

- Ma nawet towarzystwo - dodał Bob.

W tym momencie Pete dostrzegł drugi rower tuż obok swojego.

- To maszyna naszego szefa! - wykrzyknął zaskoczony.

- Hans, zatrzymaj się na chwilę - zawołał Jupiter.

Cieżarówka stanęła przy krawężniku i chłopcy pobiegli całą trójką, aby obejrzeć rower Jupe'a. Na pierwszy rzut oka wydawał się nie uszkodzony. Stał oparty o rower Pete'a.

- Ci dwaj zamaskowani faceci bali się, że mogą tam wrócić z policją! - powiedział Jupiter. - Wynieśli więc mój rower i zostawili koło twojego, Pete. Na szczęście zdążyliśmy na czas, zanim ktoś go sobie "pożyczył".

- I jak udowodnimy teraz, że zostałeś przez nich porwany? - zapytał zmartwionym głosem Bob.

- Nie będziemy w stanie tego zrobić - odparł z posępną miną Jupiter. - Zatarli w ten sposób ślady. A wobec braku dowodów policja mogłaby dojść do wniosku, że ja to wymyśliłem.

Oba rowery znalazły się na ciężarówce i Hans ruszył do publicznego nabrzeża, przy którym przycumowane były łodzie Ragnarsonów. Czekają przy nich tylko parę osób. Pan Karl i doktor wyszli chłopcom na spotkanie.

- Coś się stało z naszymi motorówkami! - zawołał już z daleka kierownik podstawówki. - Nie możemy uruchomić żadnego silnika!

- Ktoś specjalnie je popsuł! - powiedział doktor Ragnarson.

ROZDZIAŁ 23

Z POWROTEM NA SKALE

- To sprawka Sama! - wykrzyknął Bob, a potem opowiedział o plastikowym kanistrze z podejrzanym płynem i o tajemniczym manipulowaniu przy stojących w porcie łódkach. - Musiał nalać do zbiorników z paliwem jakiegoś płynu, który uniemożliwia uruchomienie silników! Zrobił to tak, żeby wszyscy myśleli, że dolewa po prostu benzyny.

- W takim razie jest na Skale zupełnie sam - zauważył Pete.

- Proszę pana - zwrócił się do kierownika szkoły Bob - czy pana przyjaciele nie dysponują innymi łódkami?

- Sam unieruchomił wszystkie! - odparł gniewnym tonem pan Kart. - Nie jestem w stanie pojąć, co mu strzeliło do głowy. I dlaczego to zrobił?

- Te duchy, wilcze wycia i wszystko, co się tam działo, to jego sprawki - stwierdził Pete.

- Ponieważ znalazł tam zrabowane złoto - wyjaśnił Bob.

- Złoto? - zdumiał się pan Karl.

- Tak, proszę pana - potwierdził Jupiter. - Kiedy pana przodek Knut Ragnarson uratował się z tonącej "Gwiazdy Panamy" i schronił się na Skale, kapitan statku mógł znaleźć się tam także, razem z załogą i ładunkiem złota, a przynajmniej zatrzymać się tam na krótki okres czasu. Wiemy, że na Skale pozostała co najmniej część złota, a może i cały skarb, a Sam natrafił na nie w trakcie waszej tegorocznej zabawy. A że nie chciał się nim podzielić z nikim z was, starał się wypłoszyć z wyspy całe towarzystwo.

- A zeszłej nocy prawie mu się to udało - wtrącił Bob. - Uciekli wszyscy prócz panów i nas. Dzisiaj postanowił więc unieruchomić wasze łódki, żeby nie mógł tam dotrzeć dosłownie nikt.

- Może z wyjątkiem tych dwóch rybaków - powiedział Pete.

- W takim razie wynajmiemy łódź z portu! - oświadczył pan Karl.

- To nie będzie konieczne - powiedział Jupiter. - Jeżeli moje podejrzenia są słuszne. Sam znajduje się tam w tej chwili z dwoma niebezpiecznymi osobnikami, którzy ukradli negatywy naszych zdjęć i porwali mnie. - Rzekłszy to. Pierwszy Detektyw opowiedział w paru słowach o dwóch zamaskowanych bandziorach, ich napaściach na całą trójkę i na pana Andrewsa, a także o porwaniu. - Obawiam się, że Sam mógł się wmieszać w coś jeszcze prócz tego złota, a w dodatku nie zdaje sobie sprawy, że ci dwaj to naprawdę bandyci i

kidnaperzy. I niezależnie od tego, czy zrobił coś złego, jemu także, moim zdaniem, może grozić wielkie niebezpieczeństwo. Musimy zawiadomić o wszystkim komendanta Reynoldsa i poprosić, żeby razem z nami popłynęła tam natychmiast policja.

- No to jedźmy na komendę - powiedział doktor Ragnarson.

- Mój samochód stoi najbliżej - dodał pan Karl.

Odesławszy Hansa z powrotem do składnicy, chłopcy usadowili się na tylnym siedzeniu samochodu kierownika szkoły, który błyskawicznie zawiózł całą piątkę na komendę. Doktor Ragnarson wyjaśnił pełniącemu służbę dyżurnemu sierżantowi cel wizyty i w chwilę potem komendant Reynolds osobiście zaprosił wszystkich do swego gabinetu. Jupiter zwięźle przedstawił sprawę.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób mój syn spiknął się z tymi dwoma, którzy napadli na chłopców i porwali Jupitera - oświadczył doktor Ragnarson - ale z tego, co chłopcy nam powiedzieli, wynika, że tym razem, panie komendancie. Sam może się znajdować w prawdziwych opałach. Płynmy tam czym prędzej!

Komendant wstał z fotela.

- Przykro mi, Ingmar, ale rzeczywiście na to wygląda. Z opisu chłopców wnioskuję, że ci dwaj to Ted i Walt Gruberowie, miejscowi rybacy, którym w przeszłości zdarzało się już łamać prawo. Policyjna motorówka będzie na nas czekać w porcie. Jedziemy.

W kilka minut potem chłopcy wraz z oboma Ragnarsonami byli znowu w porcie. Tuż po nich zjawił się komendant Reynolds z trzema funkcjonariuszami. Wszyscy zajęli miejsca w policyjnej łodzi patrolowej, która niezwłocznie odbiła od brzegu. Minęła już siódma i słońce znajdowało się nisko nad horyzontem. Stojący na dziobie łodzi Jupiter wpatrywał się w widniejące w oddali, ostre zarysy Skały Rozbitków.

- Mam nadzieję, że zdążymy na czas, panie komendancie - powiedział w zamyśleniu do siedzącego obok szefa policji.

- Dlaczego właściwie myślisz, Jupiterku, że Samowi może grozić niebezpieczeństwo?

- zapytał doktor Ragnarson.

- Mam tylko takie przeczucie - odparł Jupiter. - Ale jeżeli mnie ono nie myli, musimy znaleźć się na Skale możliwie najprędzej po zapadnięciu zmroku.

Komendant Reynolds spojrzał ku słońcu.

- Zmierzch zapadnie lada moment. Obawiam się, że nie dotrzemy na miejsce przed zachodem.

- Mrok będzie nam nawet na rękę - stwierdził Jupiter - zbliżymy się niezauważeni. Ale gdybyśmy dopłynęli tam długo po zmierzchu, mogłoby być za późno. A jak już będziemy

niedaleko wyspy, panie komendancie, wyłączmy motor i podjedźmy do brzegu bez świateł.

- Zaraz powiem o tym załodze - zgodził się Reynolds.

Okazało się, że szef policji miał rację. Patrolowa łódź dotarła do wyspy dokładnie w chwili, gdy ogarnęły ją pierwsze mroki wieczoru. Wsunęła się bezszelestnie, z wyłączonym silnikiem do zatoki, nad którą majaczyły stojące nadal na skalnym wzniesieniu namioty Ragnarsonów.

Policyjna łódź musiała rzucić kotwicę na środku zatoki, toteż chłopcy i obaj Ragnarsonowie, a także komendant ze swymi ludźmi dostali się na brzeg maleńką łódką ratunkową i dwiema gumowymi tratwami. Znalazszy się na wyspie, wciągnęli i złożyli je cicho na pustym brzegu.

- Widzicie? - szepnął Pete.

- To motorówka Sama - potwierdził doktor Ragnarson.

Na brzegu leżała mała łódź z podniesionym zaburtowym silnikiem. Prócz niej w zatoce nie było innych łódek.

- Nie widzę żadnych innych łodzi - powiedział cicho komendant Reynolds, rozglądając się po oceanie.

- Rzeczywiście, sir, jeszcze tu pusto - odparł Pierwszy Detektyw, omiatając wzrokiem mającą w rosnących ciemnościach Skalę. - Jeżeli dobrze się domyślam, co Sam kombinuje z tymi dwoma rybakami, to powinniśmy zobaczyć, co się dzieje na drugim końcu wyspy, przy samej Skale.

- Doskonale, mój chłopcze - kiwnął głową komendant. - Proponuję, żebyśmy poszli tam tyralierą. Dzięki temu pokryjemy całą szerokość wyspy.

Rzekłszy to, szef policji wydał rozkazy swym ludziom. Bobowi przypadła północna krawędź wyspy, zaś jej południowym brzegiem, wzdłuż niewysokich skałek, poszedł pan Karl. Policjanci rozstawili się w środku, żeby w razie zagrożenia mieć bliżej do potrzebujących pomocy. Po czym wszyscy ruszyli wolnym krokiem w kierunku wielkiej skały na zachodnim końcu wyspy.

Doszedłszy do krzaków jałowca u podnóża skały, zboczyli na południe, aby przedostać się do zachodniego cypla wyspy wąskim pasem ziemi, przypominającym wrzosowisko. Wtedy właśnie Pete natrafił na leżące na pełnym zagłębieniu i dołków terenie małe, drewniane pudełko, z którego po potrąceniu nogą wysypały się złote monety i samородki.

- Sam musi być gdzieś tu niedaleko - powiedział cicho Drugi Detektyw. - Wygląda to tak, jakby zgubił swoją szkatułkę.

W pobliżu pudełka nie było jednak śladu po Samie Ragnarsonie.

- Lepiej rozejrzyjmy się za nim porządnie - powiedział komendant Reynolds.

- Myślę, panie komendancie - odezwał się spokojnie Jupiter że mam lepszy sposób na znalezienie go!

ROZDZIAŁ 24

JUPITER DEMASKUJE SZALBIERSTWO

- Jaki sposób? - zapytał komendant.

- Niech wszyscy pójdą za mną - odparł Jupiter - a jestem pewien, panie komendancie, że mi się uda. Pod warunkiem, że nikt nie będzie hałasował ani używał latarki.

Rzekłszy to. Pierwszy Detektyw ruszył w kierunku wąskiego cypla, wcinającego się w morze nad małą zatoczką na zachodnim krańcu wyspy. Cała reszta poszła cichutko za nim. Tego wieczoru nie było mgły, ale księżyc nie ukazał się jeszcze, trzeba więc było stąpać bardzo ostrożnie.

- To tu zobaczyliśmy dducha - szepnął Pete.

- Powiedziałem ci, że duchów nie ma - przypomniał koledze Bob. - To był przecież Sam przebrany za kapitana Coultera.

- Mów do mnie jeszcze - odparł nie dający się tak łatwo przekonać Pete.

Jupiter położył palec na ustach i przykucnął przy ziemi, omiatając oczami piętrzącą się po drugiej stronie zatoczki Skałę, a także wąski pas piaszczystego brzegu u jej stóp i łagodnie falującą wodę.

- Za czym tak się rozglądasz? - zapytał szeptem komendant Reynolds.

- No właśnie, sir - zaczął cicho Jupiter. - Myślę, że...

Na położonym niżej brzegu zatoczki zaczęło nagle błyskać światło latarki, którego snop skierowany był na otwarte morze.

- Czy to Sam? - zapytał szeptem komendant.

Ale zanim Jupiter zdążył odpowiedzieć, rozległ się chrapliwy, niemal zbyt głośny szept Pete'a.

- Chłopaki, widzicie?

Na morzu pojawiły się nagle światła statku, najwyraźniej zmierzającego w kierunku wyspy. W parę chwil potem jego ciemne kontury zamajaczyły u wejścia do zatoczki. Znalazłszy się na jej środku, statek rzucił kotwicę. Jasna żarówka paląca się na dachu sterówki oświetliła całą zatoczkę.

- To ten statek-widmo! - powiedział zduszonym szeptem Bob.

I rzeczywiście, był to ten sam jednomasztowy statek z "poszarpanymi" żaglami, który widzieli we mgle zeszłej nocy. Dopiero teraz mogli stwierdzić, że obwisłe "żagle" były rybackimi sieciami, zwisającymi z długiego bomu, a tajemniczy statek-widmo okazał się

rybackim trawlerem, który stał przycumowany tuż koło budynku, w którym przetrzymywano Jupitera. Na pokładzie statku było dwóch ludzi.

- Zgadza się, to bracia Gruberowie - powiedział komendant Reynolds. - Jesteś pewny, Jupiterku, że ci dwaj ludzie są osobnikami, którzy cię porwali?

- Wyglądają podobnie do tamtych - stwierdził Jupiter. - Jeden jest wysoki, drugi niski i tęgawy, tyle że za każdym razem, kiedy ich widzieliśmy, mieli na twarzach maski.

Z burty rybackiego trawlera spuszczone na wodę gumowy ponton, do którego wszedł wyższy z dwóch mężczyzn i powiosłował w stronę brzegu. Dobiwszy do wąskiego pasa piasku, wyskoczył i wciągnął ponton za sobą, a potem stanął wyprostowany, tak jakby czekał na coś.

- Na co on czeka? - zapytał pan Karl.

- Prawdopodobnie na Sama - powiedział zasmuconym tonem doktor Ragnarson.

Jupiter nie zareagował. Czatował w milczeniu, trzymając nadal palec na ustach.

Oczekujący na brzegu rybak spojrzął na zegarek.

Jupiter odwrócił twarz w kierunku Skały.

- Są! - powiedział cicho, z odcieniem triumfu w głosie. Wszyscy jednocześnie obrócili głowy, idąc za jego wzrokiem.

Z mroku, spowijającego podnóże wielkiej skały wyłoniły się dwie postacie. Jedną z nich był Sam Ragnarson. Towarzyszył mu niski i krępy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jasne spodnie i narciarską kurteczkę.

- Ta kurtka! - szepnął pan Karl. - Zupełnie taka sama zniknęła z jednego z naszych namiotów!

Krępy mężczyzna zdawał się popychać Sama przed sobą po prowadzącej ku wodzie pochyłości, a potem wzdłuż piaszczystego brzegu do miejsca, w którym czekał na nich z pontonem wyższy z rybaków. Sam potknął się i zaparł nogą o ziemię, tak jakby wcale nie miał ochoty iść dalej. W ręku idącego za nim mężczyzny błysnął jakiś metalowy przedmiot.

- On ma nóż! - powiedział zaniepokojony doktor Ragnarson. - Terroryzuje nim Sama!

Komendant Reynolds podniósł się z ziemi.

- Stać! Policja! Wszyscy jesteście aresztowani! Rzucić ten nóż i nie ruszać się!

Rozbłysły policyjne latarki. Policjanci wycelowali pistolety w krępego mężczyznę i Sama, a także w rybaka stojącego przy pontonie. Jeden z funkcjonariuszy podbiegł na sam koniec cypla i świecąc latarką wziął na muszkę swej broni niższego rybaka, który pozostał na trawlerze.

- Jego ręka! - krzyknął Pete. - Tego mniejszego, na statku! On ma na niej

wytatuowaną rusałkę!

- W takim razie porwali mnie rzeczywiście bracia Gruberowie! - stwierdził z ponurą miną Jupiter.

Przez dłuższą chwilę krępy mężczyzna i dwaj rybacy stali nieruchomo, tak jakby świecące im prosto w oczy policyjne latarki oślepiły ich zupełnie. A potem mężczyzna wypuścił z dłoni nóż i podniósł obie ręce do góry.

Wszyscy ruszyli w dół ku wąziutkiej plaży. Na swej pozycji został tylko policjant pilnujący wejścia do maleńkiego portu. Ujrawszy swego ojca i Trzech Detektywów Sam pokręcił z niedowierzaniem głową i przetarł ręką oczy.

- Nigdy nie przypuszczałem, że będę się tak cieszył na wasz widok, chłopcy - przyznał z nutką uznania w głosie. - Jak na to wpadliście?

- No właśnie, właśnie - podchwycił komendant Reynolds.

- Może mi wreszcie powiesz, Jupciu, co tu się dzieje? Kim jest ten człowiek? - zapytał, wskazując ręką krępego mężczyznę w jasnych spodniach i kradzionej kurtce, który wlepił w Jupitera gniewne spojrzenie.

- Przedstawiam panu Williama Manninga, panie komendancie - powiedział Jupiter. - Mówienie o jego tragicznej śmierci było trochę przedwcześnie.

- To jest Manning? - zdumiał się Reynolds.

- Tak, sir - potwierdził Jupiter. - Człowiek, który według wszelkich przypuszczeń miał utonąć. Obawiam się, że chodziło tu o zwyczajne szalbierstwo na szkodę firmy ubezpieczeniowej. Zaplanował, że "straci życie" podczas "nieszczęśliwego wypadku" przy wędkowaniu, a potem ukryje się tu, na Skale. A jego przyjaciele, rybacy, zabiorą go stąd i pomogą wydostać się poza granice kraju. Tymczasem "wdowa" po nim zrealizuje jego ubezpieczeniową polisę na życie i następnie połączy się z nim w jakimś innym państwie, w którym on urządzi sobie kryjówkę. A przekona się pan, mam nadzieję, że był ubezpieczony na potężną sumę.

William Manning rzucił szpetne przekleństwo pod adresem szefa detektywistycznej trójki. Nie zrażony tym Jupiter ciągnął dalej swój wywód:

- Na nieszczęście, tuż po przybyciu pana Manninga na wyspie zjawili się Ragnarsonowie i akcję wydostania się stąd trzeba było odłożyć ze względu na ryzyko wydania się całej sprawy. Dopiero zeszłej nocy umożliwiła ją gęsta mgła i fakt, że większość Ragnarsonów opuściła wyspę. Pan Manning miał nadzieję, że w takiej mgle jego ucieczka nie zostanie zauważona, ale my pokrzyżowaliśmy jego plany.

- Nie jesteś w stanie udowodnić żadnego z tych twierdzeń, ty gnojku! - krzyknął

William Manning. - Miałem wypadek i straciłem pamięć. Dopiero dziś odzyskałem świadomość!

Jupiter roześmiał się.

- Pierwszy lepszy brzdąc z mojej klasy wymyśliłby lepszą historyjkę niż pańska!

Samochodowy dealer rzucił mu tylko wściekłe spojrzenie.

- Panie Manning, widzę, że będzie pan musiał wyjaśnić całą kupę rzeczy - wtrącił komendant Reynolds.

- Jego plan był w gruncie rzeczy całkiem niezły - stwierdził Jupiter. - Myślę, że gdyby nie zjawili się tu ci Ragnarsonowie, mógł mieć pełne szansę powodzenia.

- No, nie tylko Ragnarsonowie - odparł z uśmiechem komendant Reynolds. - Zapomniałeś wspomnieć o Trzech Detektywach?

ROZDZIAŁ 25

WIZYTA U PANA HITCHCOCKA

- W jakim momencie zaczęłeś podejrzewać, Jupiterku, że William Manning nie spoczął na dnie oceanu? - zapytał Alfred Hitchcock.

Od pamiętnej nocy na Skale minął już cały tydzień i Trzej Detektywi rozpierali się wygodnie w głębokich, skórzanych fotelach, które ostatnio uzupełniły umeblowanie ogromnego salonu pana Hitchcocka. Siwowłosy reżyser i autor słynnych dreszczowców zakończył właśnie lekturę notatek Boba, poświęconych "Tajemnicy Skały Rozbitków". Chłopcy przyjechali do jego domu na wzgórzach koło Malibu, aby podzielić się z nim swymi wrażeniami z ostatniego dochodzenia. W tym właśnie domu, niedaleko Rocky Beach, pan Hitchcock pisał swe scenariusze i książki, a także obmyślał filmy, które uczyniły go sławnym.

- Tak naprawdę to dopiero wtedy, gdy zobaczyłem Sama Ragnarsona wyjeżdżającego od pani Manning, która twierdziła, że nie widziała go nawet - odparł Jupiter. - Po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Ale już wcześniej zastanawiałem się, czy przypadkiem ktoś jeszcze, oprócz Sama, nie ma ochoty na nasze zdjęcia. Po napadzie na pana Andrews'a zdałem sobie sprawę, że Sam miał za mało czasu, aby obejrzeć zdjęcia w popołudniowej gazecie i wysłać tych zamaskowanych bandziorów. Doszedłem do wniosku, że usiłowania Sama, który chciał ukryć fakt znalezienia złotego skarbu, nie wyjaśniają całej tej gorączki wokół naszych zdjęć. Kiedy więc Bob i Pete pobiegli do swych domów po ciepłe ubrania na drugą noc na Skale, zostałem w Kwaterze Głównej i jeszcze raz dokładnie obejrzałem wszystko. - Rzekłszy to, Jupiter wyjął z brązowej koperty cztery kolorowe obrazki i położył je przed panem Hitchcockiem. - Jeśli popatrzy pan uważnie, zobaczy pan, oprócz wracających po bitwie do ogniska Ragnarsonów, twarz, widoczną u podnóża wielkiej Skały.

Pan Hitchcock pochylił się nad zdjęciem, mrużąc oczy, a potem sięgnął po szkło powiększające i zaczął wodzić nim nad barwnym kartonikiem.

- No, no, trzeba się naprawdę dobrze przyjrzeć, żeby ją zobaczyć. Rzeczywiście, widać małą twarzyczkę, która z wyrazem zdumienia filuje zza krzaka!

- Tak - potwierdził Jupiter. - I uderzyło mnie to nagle, jak piorun z jasnego nieba... A jeśli to pan Manning, zdrowy i cały, ukrywa się na Skale? I zobaczył może, że Bob robi mu zdjęcie? A potem nie mógł dopuścić, aby ktokolwiek z firmy ubezpieczeniowej zobaczył je i stwierdził, że on, William Manning, żyje? Taka możliwość wyjaśniała mi mnóstwo spraw,

które się wydarzyły.

Z piersi Pete'a wyrwał się stłumiony jęk.

- Ciągłe nie rozumiem, co ma z tym wszystkim wspólnego firma ubezpieczeniowa.

- To taka forma zabezpieczenia rodziny ubezpieczonego na wypadek jego śmierci - wyjaśnił pan Hitchcock. - Co miesiąc płaci się takiemu towarzystwu ubezpieczeniowemu małą kwotę na poczet ubezpieczenia. No i jeśli umrze się w młodym wieku, towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaca rodzinie zmarłego wielką sumę pieniędzy, o wiele większą niż to, co on zdążył im wpłacić. Wysokość tej sumy zależy od warunków umowy.

- Jeżeli chodzi o pana Manninga, to ubezpieczenie opiewało na pół miliona dolarów - wtrącił Bob.

- O rany! - wykrzyknął Pete. - Całkiem jak w jakimś lotku! Tyle że trzeba kipnąć, żeby to wygrać!

- No, Pete, stawiasz sprawę z trochę zbyt brutalną otwartością - uśmiechnął się pan Hitchcock. - Ale rzeczywiście można powiedzieć, że jest tu coś z hazardu, i to po obu stronach. Towarzystwo ubezpieczeniowe zakłada, że nie umrzesz młodo, bo na ogół przydarza się to niewielu ludziom, i że przez wiele lat będziesz im płacił miesiąc po miesiącu. A ty zyskujesz pewność, że gdybyś jednak umarł w młodym wieku, twoja rodzina nie zostanie bez grosza. W przypadku pana Manninga rzecz polegała na tym, że chciał on zainkasować tę grubszą forszę jeszcze przed przeniesieniem się na tamten świat. Domyślam się, że przeżywał może jakieś finansowe kłopoty?

- Tak - odparł Jupe. - I on, i jego żona lubili dużo wydawać, a w ostatnich latach sprzedaż samochodów mocno zmalała. Obmyślili więc plan, który wydawał się bardzo prosty. Pozorowany wypadek z odrobiną krwi na łodzi i na rybackim kapturze, a potem jeszcze podrzucenie poszarpanej i zakrwawionej kamizelki ratunkowej. No i przeczekanie do wieczora na Skale, skąd mieli go zabrać bracia Gruberowie.

- Ale rodzinny zlot Ragnarsonów i fotografie Boba pokrzyżowały te plany - dodał, szczerząc zęby, Pete.

- Manning zorientował się, że Bob robi zdjęcia - podjął Jupe - połączył się więc przez krótkofalówkę z Gruberami i polecił im, żeby odebrali nam filmy. Powiedział im też, że nie może opuścić wyspy, mając na karku tych Ragnarsonów. A że wcześniej nie brał pod uwagę dłuższego pobytu na Skale, musiał zabrać się do podkradania jedzenia i ubrań z ich namiotów, żeby po prostu przeżyć.

- A dlaczego wywiezienie go z wyspy zajęło tym Gruberom tyle czasu? - zapytał pan Hitchcock.

- Przez pierwsze dwie noce było bardzo jasno - odparł Pete - nie chcieli więc ryzykować, że Ragnarsonowie ich zobaczą.

- Ale trzeciej nocy - włączył się Bob - zrobiło się mgliście i większość Ragnarsonów została przepędzona z wyspy przez Sama. Manning zaryzykował więc i zaczął przyzywać latarką swych przyjaciół z trawlera. Był to błąd z jego strony, bo zobaczyliśmy to nie tylko my, ale i Sam.

- No właśnie, i w ten sposób wracamy znowu do jego osoby - powiedział słynny reżyser. - Czy on także maczał palce w tym ubezpieczeniowym szalibierstwie?

- Nie - wyjaśnił Jupiter - a przynajmniej nie od początku. W pierwszej chwili chciał tylko odstraszyć wszystkich od Skały, żeby nikt mu nie przeszkadzał w szukaniu reszty złotego skarbu. Przebrał się więc za ducha i puścił w ruch magnetofon z wilczym wyciem. Potem jednak odkrył obecność Williama Manninga na Skale i domyślił się, kim on jest. Zdał sobie wtedy sprawę, że ma szansę zdobycia większej forsy dzięki szantażowi, niż dzięki szukaniu tego skarbu. Wrócił na ląd i parę minut przede mną złożył wizytę pani Manning, która poczuła się zmuszona do ustąpienia przed jego żądaniami. Od tego momentu Sam zaczął współpracować z braćmi Gruber, aby mogli niezauważenie zabrać Manninga z wyspy. W tym właśnie celu unieruchomił motorówki wszystkich pozostałych Ragnarsonów. A potem wrócił na wyspę, żeby pomóc Gruberom w całej operacji.

- Okazał się zbyt chciwym młodzieńcem i to go zgubiło - zauważył pan Hitchcock.

- Z całą pewnością! - wykrzyknął Pete. - Bo ani Manningowi, ani tym dwom nie była do niczego potrzebna taka pijawka, jak ten Sam. Uzgodnili, że zabiorą go z wyspy siłą i mógłbym się założyć nie wiem o co, że postanowili rzucić go po drodze rekinom na pożarcie!

- Nic dziwnego, że tak się ucieszył na wasz widok - stwierdził reżyser. - I co się teraz dzieje z tym bosonogim kopaczem złota?

Jupiter uśmiechnął się, szczerząc zęby.

- Siedzi uziemiony we własnym domu. Sędzia zawiesił mu karę na okres próbny za pomaganie Manningom i zakazał mu wypływania na Skałę Rozbitków.

- A od paru dni kopią tam wszyscy pozostali Ragnarsonowie - dodał, śmiejąc się, Pete. - I jeśli coś znajdą, on obejdzie się smakiem. Musi mu być naprawdę głupio.

- Ale jak dotąd, nie znaleźli nic wielkiego - wtrącił Bob. - Parę złotych monet, to wszystko.

- W każdym razie kapitan Coulter i jego zbrodnicza załoga rzeczywiście zatrzymali się na wyspie i zostawili tam trochę złota - stwierdził pan Hitchcock. - Ale zarówno ich los, jak i losy reszty skarbu nadal pozostają tajemnicą Skały Rozbitków.

Trzej Detektywi kiwnęli potakująco głowami.

- A jaki koniec spotkał tych Manningów i Gruberów?

- Wiemy tylko to, co z pewnością wyczytał pan już w gazetach - powiedział Jupiter. - Wszyscy zostali aresztowani pod różnymi zarzutami: oszustwa, napadów, zmowy w przestępczym celu, a nawet kidnaperstwa. I oni, i ich adwokaci będą przez dłuższy czas mocno zajęci. Jediną osobą, której nie zagraża nic wielkiego, jest w całej grupie brat pana Manninga, który nie wiedział o spisku i naprawdę myślał, że William Manning nie żyje. Był na nich bardziej nawet wściekły niż towarzystwo ubezpieczeniowe.

- Tak więc i tym razem wygrał człowiek uczciwy - podsumował sprawę słynny reżyser. W jego oczach zatańczyły nagle wesołe iskierki. - A w jaki sposób Karl Ragnarson wynagrodził was za rozwiązanie tej zagadki? Przypominam sobie, że w szlachetnym odruchu odrzuciliście jego finansową ofertę?

Na policzkach Pierwszego Detektywa wykwitł blad różowy rumieniec.

- Tak, sir, rzeczywiście tak było. Pan Karl był... ehe... naprawdę bardzo zadowolony z wyników naszego dochodzenia. Jego brat przestał się ustawicznie martwić, rodzinny zlot można było kontynuować bez przeszkód, no a i jego bratanek Sam wyszedł z tego bez większego szwanku.

- No to w czym problem, Jupe? - zapytał pan Hitchcock.

- Ponieważ nie chcieliśmy pieniędzy, pan Karl pomyślał, że najlepiej wyrazi nam swoje uznanie poprzez wręczenie nam upominku - odparł Jupiter, a potem zaczął grzebać w stojącym koło jego krzesła plecaku. Bob i Pete wymienili wesołe spojrzenia. - O, mam, przyniosłem go, żeby pokazać panu, co dostaliśmy - dodał wyciągając... nic innego, jak maskę czumaskiego szamana, która była częścią jego stroju na wyspie. Ciężką, drewnianą maskę, której noszenie kosztowało go tyle nerwów przy każdym kroku.

Pete i Bob ryknęli zdrowym, młodzieńczym śmiechem. Także pan Hitchcock nie był w stanie zachować powagi i musiał zasłonić ręką wykrzywione śmiechem usta.

- Szkoda, że Don jest nieobecny. Byłby zachwycony tym widokiem.

Pan Hitchcock miał na myśli Hoang Van Dona, swego wietnamskiego służącego i kucharza.

- No właśnie, dlaczego nie ma Dona? - zapytał Bob.

Pan Hitchcock zrobił minę niczym kot, który przed chwilą połknął kanarka.

- Don pojechał parę godzin temu w zupełnie niesamowitej sprawie. Niedługo zobaczycie to sami. Przed wyjazdem przygotował dla nas wyborną piknikową ucztę w stylu francuskim, ale musiałem mu obiecać, że nie rzucimy się na te przysmaki przed godziną

drugą, która właśnie dochodzi. Wybije za pięć minut. A zatem, moi drodzy, za mną, do ataku! Czas na wielką wyzerkę!

W chwilę potem chłopcy wrócili z kuchni obładowani koszykami z długimi, francuskimi bułeczkami, domowymi pasztecikami i egzotycznie wyglądającymi ciastkami. Pete nie mógł nadążyć z przelętkaniem ślinki, a Jupiterowi oczy omal nie wyszły z orbit na widok apetycznych słodkości.

- Posilajcie się, chłopcy - zachęcił ich pan Hitchcock. - A oto główny punkt dzisiejszego programu!

Rzekłszy to, słynny reżyser włączył telewizor. Na ekranie ukazał się, stojący obok jowialnego jegomościa w kucharskim czepku i fartuchu, uśmiechnięty szeroko Hoang Van Don.

- Don napisał do Guru Wybrednych Smakoszy, jakim darzy go podziwem, i oto co z tego wynikło - poinformował chłopców pan Hitchcock. - To życiowy sukces Dona.

Posilając się frykasami ze swych koszyków, chłopcy przez dobre pół godziny przyglądali się Donowi, występującemu w roli asystenta telewizyjnego szefa kuchni, z zapalem krojącemu na plasterki, siekającemu w kostkę i wywijającemu wielką warząchwą. Nawet pulchniutki i rozpromieniony Guru bił mu brawo.

- Oto nasz dzisiejszy bohater, Hoang Van Don, który zajmuje się gotowaniem dopiero od roku - oświadczył w pewnym momencie. - Za kilka lat będzie przygotowywał bankiety dla sławnych ludzi.

Don uśmiechnął się szeroko.

- Już to robię. Moim bossem jest pan Alfred Hitchcock.

Na twarzy reżysera pojawił się wyraz zadowolenia.

- Chodzi oczywiście o słynnego pisarza i filmowca - powiedział szef telewizyjnej kuchni.

- Obsługuję też Trzech Detektywów! - oznajmił z radosnym uśmiechem Don.

Jupiter zdrętwiał. Wędrująca do jego ust ekierka znieruchomiała w pół drogi. Pochylił się w fotelu i utkwiał wzrok w ekranie. Także Bob i Pete wybałuszili ze zdumienia oczy.

- Ach, tak - podchwycił szef kuchni. - Chodzi o trzech odważnych chłopców, którzy w zeszłym tygodniu udaremnili wielkie ubezpieczeniowe oszustwo w Rocky Beach.

- Trzech brrrrdo sławnych detektywów! Są to: Jupiter Jones, Bob Andrews i Peter Crenshaw. Ja być dumny gotować dla nich!

Jupiter, Bob i Pete nie mogli oderwać oczu od ekranu, z którego padły przed chwilą ich nazwiska, teraz już znane milionom widzów w całym kraju!

- No, chłopcy, od tej chwili jesteście naprawdę sławni - powiedział z uśmiechem pan Hitchcock.

Przez dłuższą jeszcze chwilę Trzej Detektywi siedzieli nieruchomo, jakby ich zamurowało. W końcu wszystkie trzy buzie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, rozjaśniły się uśmiechem od ucha do ucha.